W NUMERZE: Tadeusza Gicgiera reportaż z przeszłości ■ Andrzej Makowiecki w dziecięcej stolicy ■ Nasza sonda z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet ■ Reportaże z Kuby, NRD i Bułgarii ■ Polityka, recenzje, polemiki, felietony, poezja ■ 16 stron — jest co czytać.

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 10 (1109) ROK XXII 11 MARCA 1979 R. CENA 3 ZŁ

Serdeczne życzenia składa z ukłonami wszystkim kobietom męska część Redakcji „ODGŁOSÓW"

JERZY WAWRZAK

NASZA JANECZKA

1.

Dlaczego ona? Już do niej wydeptali ścieżki dziennikarze, znają ją ludzie ze szklanego ekranu, bo zabierała głos z trybun, na które były zwrócone oczy całego kraju; podczas VII Zjazdu, spotkania łódzkich kobiet z I Sekretarzem KC. Postać więc znana, chociaż ktoś mógłby z przekąsem napomknąć o lokalnej wielkości, co w żadnym stopniu nie byłoby słuszne, już ze względu na odniesienie do sfery jej działania. To drugie miasto w Polsce, zwane czasami „miastem kobiet", chociaż osobiście nazwałbym je miastem, w którym jak w soczewce zagęszczają się wszystkie problemy naszej współczesności, skala wielkości postępu i bolesnych zapóźnień.

Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego Janka Szydlecka? W ludziach dobrych, sprawdzonych, za którymi stoją dokonania, których nikt nie może zakwestionować — można przebierać. Znam ich setki, a nawet nie znając, znalazłbym ich z łatwością w każdej fabryce... Tutaj może przeważyła ciekawość, jaka jest naprawdę za tą oficjalnością? Na co dzień, bo między wydarzeniami, kiedy wynosimy jakby w górę swoich przedstawicieli i słuchamy ich głosu, jest ta zwykła codzienność. I nowe zadania, i zmiany, których trzeba dokonać i które zmieniają człowieka. A poza wszystkim w 75 roku Janka wygrała plebiscyt czytelników „Odgłosów" na ŁODZIANINA ROKU i — wtedy „tylko" jeden z wielu przodujących sekretarzy KZ — stała się naszym redakcyjnym odkryciem. A takie sympatie mają długi żywot, bo wystawiliśmy ją do trudnej konfrontacji z artystyczno-naukową czołówką miasta. I by rzec prawdę, nie wierzyliśmy w jej szanse. Przez wiele lat dorocznego plebiscytu działacze zawsze przepadali. A tu taki zwrot, że sekretarz KZ „Gwardii Ludowej" zostawia daleko w tyle doborowych konkurentów... Niech więc argumentem będzie ciekawość i sympatia, i pytanie: jak pracować, żyć, myśleć, walczyć — by uzyskać nie tylko aprobatę swojej władzy, popularność w środowisku, zakładzie, mieście i ten stosunek najbliższego otoczenia zawarty w dwóch słowach, które posłużyły za tytuł niniejszej opowieści.

2.

Łódzkie Bałuty, 1905 rok. W domu przy ulicy Młynarskiej wielodzietna rodzina. Podczas kozackiej szarży ginie matka, w rękach trzyma krwawiące dziecko. Rany obłożono chlebem i pajęczyną, uratowali. Odstawione od piersi kulą oprawcy, jedno z gromadki sierot. To matka Janki. Dziadek jest działaczem SDKPiL, jego brat Konstanty, znany tylko z fotografii, nie wraca z Sybiru. Nade wszystko bieda, jedna izba, nie zawsze starcza na chleb.

Potem przeskok w lata trzydzieste, w wojnę. Matka pierze po ludziach, sprząta. Ojciec jest stolarzem, także z bałuckiej nędzy, bo mimo, iż fachowiec, częściej łazi za robotą, niż pracuje. Normalnie, za komunizowanie. Znów bieda, bo jest na głowie czworo drobiazgu, same dziewczynki. Jakby dalszy ciąg tamtej biedy, mimo, iż pod niepodległym niebem, ale z takim samym porządkiem społecznym wokół, w fabryce i w kamienicy na Górnym Rynku.

Wojna jest w tej rodzinie podwójnie okrutna. zabiera matki, godzi w dzieci. Epidemia tyfusu, umiera Danusia. Ojciec z odpadków drewna robi trumnę. Potem jest czekanie, trwanie. Ojciec pracuje w drukarni. Dzieci z matką kleją torebki w domu, od szóstej do szesnastej. Czy są jeszcze dziećmi? Po tej edukacji nędzy i głodu, smaku gliniastego chleba, marmolady z brukwi, zupy z peluszki. No i tych gruszek kradzionych z niemieckich sadów przy obecnej alei Politechniki, gdzie dozorcy strzelali do tych głodnych dzieci jak do kaczek.

Wyzwolenie nie wnosi nic do tej rodziny oprócz radości.

Nazajutrz poszła Janka z ojcem na plac Niepodległości, gdzie stała kolumna radzieckich czołgów. Mimo jednej izby wzięli na noc żołnierza. Podzielił się z nimi chlebem, tuszonką, żółtą słoniną. Została po nim frontowa gazetka. Janka wycięła z niej portret Stalina, powiesiła na ścianie na honorowym miejscu, przystroiła czerwoną wstążeczką. Scena w obecnym ujęciu naiwna, ale wpisana w tamtą rzeczywistość — wymowna. Gotów jestem w niej widzieć późniejsze konsekwencje, nawet nie wdając się w nadmierne psychologizowanie.

Na szkołę trzeba było trochę poczekać. Kiedy już była, też to nie wyglądało normalnie. Był przecież ten „niezaradny" ojciec i bieda. Załatwił jednak, by dziewczęta chodziły na zmiany, bo była jedna para butów, pocerowana sukienczyna.

Dalszy ciąg na str. 4

Janina Szydlecka (z lewej) z pracownicami ZTK Teofilów — Iwoną Rzepecką i Ireną Mielecką.
Foto: W. Parys.

TADEUSZ GICGIER

przybrana matka

Tak się składa, że trasa mych reporterskich wyjazdów z Łodzi prowadzi najczęściej na zachód, do Sieradza i na południowy-zachód, do Wielunia. W Wieluniu mam wypróbowanego przyjaciela, dr Tadeusza Olejnika, dyrektora miejscowego Muzeum, który wędruje że mną po miasteczkach i wsiach Ziemi Wieluńskiej.

Ostatnio odwiedziliśmy razem Konopnicę, wieś zadbaną, gospodarną, której społeczność zawsze świadczyła na patriotyczne cele, wyróżniając się m. in. ofiarnością w okresie powstań śląskich — i tak się jakoś zgadało, że prawie nietknięty jest temat udziału wieluniaków w śląskich powstaniach. Dr Olejnik od dłuższego czasu zajmuje się tym tematem, zbiera pamiątki, listy, dokumenty, opublikował kilka prac z tego zakresu w „Kwartalniku Opolskim" i w roczniku „Głos Olesna".

— Przyjedź koniecznie, pokażę ci pamiętnik pielęgniarki ze szpitala powstańczego w Praszce. Są tam listy, które pisała do matki i do narzeczonej ciężko rannego powstańca. To wątek bardzo dramatyczny, a przy tym rdzennie polski. Myślę, że cię zainteresuje.

„Muter. Dziękuję Wam za to, żeście mnie wychowali i wyuczyli, a przebaczcie, żem Was nie usłuchał i poszedł. Zośce, mojej siostrze, takoż dziękuję, że była dla mnie dobra. Mojej pannie Zośce powiedzcie, niech mi przebaczy i nie płacze, fotografki moje niech spali, by inszy na nich oczu nie wykalał. Chrzestną Muter pozdrówcie ode mnie. Bądźcie zdrowi, przebaczcie.

Wasz Józek Grzęda

Pierścionek z rubinkiem zdjął z małego palca i kazał oddać swojej Zośce.

Siostra Teleśnicka".

— To jest właśnie ten list, który pisała siostra szpitalna Kazimiera Teleśnicka-Lewandowska do matki powstańca — mówi dr Olejnik. — Niestety, pani Kazimiera już nie żyje, ale mamy tu pracownicę Muzeum, panią Helenę Kalinowską, która z nią się przyjaźniła. Może będziesz chciał z panią Heleną porozmawiać? Przeczytaj jednak przedtem dalszy fragment pamiętnika.

„Józef Grzęda został ugodzony w prawy obojczyk i kula przeszywając oba płuca wyszła lewym bokiem. Leżąc w szpitalu, wciąż wołał szwester. Gdy podeszłam i zapytałam, co pan sobie życzy? odpowiedział:

— Ja nie jestem pan, ino Ślązak.

— Więc co sobie życzycie ode mnie?

— Napisz mi list do mojej Muter.

Gdy list mu napisałam, Józef powiedział:

— Musisz mi dać słowo, kiej Zośka, moja panna, przyjedzie, że przyjdziesz z nią na moją mogiłę.

Odpowiedziałam mu:

— Wy przecie nie umrzecie i zaprosicie mnie na wasze wesele.

— Ni, ni, ja umrę. Daj słowo, że przyjdziesz z nią.

Chciało mi się płakać, gdyż był blady, a ciemne jego włosy dodawały mu jeszcze większej bladości. Później powiedział:

— W moim żakiecie jest dwie fotografki, przynieś mi je.

Cały alpagowy żakiet był zalany z lewej strony krwią. Wyjęłam dwa grupowe zdjęcia, przyniosłam i podałam mu je.

— Jedno poszlij Muter, drugie weź sobie.

Załączyłam zdjęcie do koperty i zapytałam:

— Czy wy ojca nie macie?

— Mam — odpowiedział.

— To co ojcu napisać?

— Nic. On był dla mnie niedobry.

Po chwili dodał:

— Napisz mu, że moje buty i zegarek są ostawione w Jastrzygowicach u Grzesiaków. Mają se pójść i wziąć, bo inaksze będą u ciebie dospominali.

Tak napisałam, jak Józef Grzęda sobie życzył. List i fotografię włożyłam do koperty, ale jej nie zaklejałam. Czekałam co przyniesie ranek. Po chwili Grzęda zawołał:

— Szwester, jesteś? Słyszysz, jak Muter we drzwi pukają?

Otworzyłam drzwi zapraszając jego matkę, a gdy matka nie wchodziła, powiedział:

— Za późno żeś otworzyła.

Podeszłam do stolika i myślałam, jakie to okropne będzie dla matki dowiedzieć się, że syn jej nie żyje i że go już nigdy nie zobaczy. Nagle Grzęda zawołał:

— Szwester! Ratuj mnie! Przecież widzisz, że się duszę!

Dałam mu przełknąć lodu. Jego puls już prawie nie bił. Chciałam mu wsunąć jeszcze jedną poduszkę pod głowę, by było wyżej i żeby krew nie napływała mu do gardła. Gdy wsunęłam prawą rękę pod jego obojczyk i splotłam palce obu rąk na szyi, on przyciskając mnie z całych sił do swych piersi wołał:

— Muter! Muter! Muter!

Panienki się wystraszyły i zaczęły uciekać. Rąk nie mogłam wyjąć, gdyż Grzęda siłą je przycisnął do siennika. Zdołałam zaledwie wykręcić głowę w bok i zawołać, by panienki nie uciekały, tylko zdjęły ręce rannego. Panna Feliksa Langiewicz wróciła i zdjęła jego ręce. Grzęda już nie żył. Stałam i patrzyłam na zmarłego powstańca. Uzmysłowiłam sobie, że odebrałam ostatni jego uścisk, który był przeznaczony dla matki, którą widział w agonii, w godzinie swej śmierci.

(...) Grzęda zmarł 15 czerwca rano. Był na twarzy blady, jego czoło i skronie były pokryte kroplistym potem. Stałam i patrzyłam. Czy matka Grzędy mogłaby stać i patrzeć na swoje dziecko, jak ja teraz stoję? Wzięłam ręcznik, wytarłam pot z jego czoła i skroni, po czym pochyliłam się, ucałowałam go w czoło. Uściskał mnie jak swoją matkę, więc ucałowałam go od jego matki.

Dalszy ciąg na str. 3

MŁODZI — STARSI

W Zaborowie w dniach od 16 do 18 lutego 1979 r. miało miejsce spotkanie młodych pisarzy zorganizowane przez Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Młodzieży Polskiej oraz Państwowe Wydawnictwo „Iskry". Udział „Iskier" jako współorganizatora tej imprezy nie jest bynajmniej przypadkowy. Właśnie to wydawnictwo patronuje młodzieży piszącej, publikuje liczne debiuty, a co najważniejsze — powołało tzw. „Redakcję debiutów", której głównym zadaniem jest praca z początkującymi literatami.

Na spotkanie zaproszono przedstawicieli Kół Młodych przy oddziałach ZLP, przedstawicieli Klubów Młodych Pisarzy przy organizacjach młodzieżowych.

W pierwszym dniu obrad, poświęconym młodej prozie, głos zabrali znani krytycy — J. Pieszczachowicz, H. Bereza, W. Sadkowski.

Jan Pieszczachowicz próbował w swym referacie dokonać podsumowania tendencji, jakie zaznaczyły się w prozie na przykładzie książek młodych pisarzy opublikowanych w 1976 roku. Autor stwierdził między innymi, że jest świadkiem powstania już trzeciego nurtu prozy współczesnej w przeciągu ostatnich lat. W latach 60 dominowała grupa pisarzy „Współczesności", po niej nastąpił zwrot w kierunku „małego realizmu" — modny stał się w literaturze typ bohatera — pechowca, lumpa, człowieka wyobcowanego, nie umiejącego znaleźć wspólnego języka z otoczeniem. W ostatnich latach powstał i ukształtował się nowy kierunek w prozie, który częściowo podjął tematy eksponowane przez poprzedników, jednakże uległy one znacznemu przetworzeniu i poszerzeniu. Autor wymienił kilka charakterystycznych, jego zdaniem, utworów — „Opis nocy miłosnej" Roszewskiego, „Łowcę gołębi" Pastuszka, wspomniał o utworach A. Fiali, J. Natansona i A. Andermana. Zdaniem krytyka w prozie ostatnich lat daje się zauważyć stałe podnoszenie się poziomu artystycznego dzieł literackich wyostrzenie obserwacji socjologicznej, dążenie do interpretacji i uogólnienia zjawisk. Inne zjawisko — to przerost problematyki nad fabułą, którą powieść ostatnich lat utraciła prawie całkowicie. Pieszczachowicz odnotował rówież fakt wzrostu popularności literatury science fiction zarówno wśród czytelników, jak pisarzy, zwłaszcza młodych.

Henryk Bereza w referacie swym stwierdził, że w chwili obecnej przeżywamy „rewolucję artystyczną". Znikł prawie zupełnie typ prozy, który królował przez ostatnie 200 lat. Stało się to dzięki **„oderwaniu języka literackiego od języka słownika poprawnej polszczyzny"**, zaś przemiany, które dokonały się na gruncie języka **„pociągnęły za sobą dalsze zmiany — likwidację fabuły, stosowanie wielogłosowości narracyjnej.** Wśród „literackich rewolucjonistów" H. Bereza wymienił Dżeżdżona, Kirscha, Szuberta. **„Trzeba uczyć się czytać nową prozę** — dodał na zakończenie — **Warto! chociaż niewątpliwie wymaga to ogromnego wysiłku".**

Wszystkie sformułowania, jakich użył H. Bereza wywołały sprzeciw słuchaczy.

Wywiązała się ostra dyskusja. Np. **doc. Jan Kurowicki** stwierdził: **„Rewolucja artystyczna w rzeczy samej nie jest żadną rewolucją. Jest to wynik awansu grup społecznych, które niedawna nie należały do inteligencji".** Zarzucono Berezie, że **„jego entuzjazm co do „rewolucji językowej" jest co najmniej bez pokrycia". Jeśli w ogóle jest jakakolwiek** — stwierdził jeden z oponentów — **to zupełnie mechaniczna. Ludzie po prostu piszą tym językiem, jakim mówią sami. Tak jest im łatwiej. Sytuacja wygląda w ten sposób, że to nie „oni piszą językiem, ale język pisze nimi".**

Wacław Sadkowski podzielił się uwagami krytyka, który odczuwa stały niedosyt dzieła **„naprawdę nowego, które wniosłoby nowe treści w nowej formie".** Jedną z największych, jego zdaniem, bolączek współczesnej literatury jest **„brak lub niepełna motywacja świata zewnętrznego".** Młodzi autorzy **„zadowalają się na ogół samym tylko opisem, nie próbują analizy.** „Na zakończenie swej wypowiedzi Sadkowski stwierdził, że **„stale popadamy z jednej skrajności w drugą — a przecież ani łączenie ze wszystkim, ani spychanie młodej literatury do jakiegoś, zupełnie odrębnego getta — nie jest dla tejże literatury pożądane".**

W dyskusji, jaka miała miejsce po wystąpieniach krytyków poruszono „odwieczny problem" nowości tematycznej literatury — czy naprawdę „wszystko już było", „czy można jeszcze wymyślić cokolwiek nowego"?

W drugim dniu spotkania poświęconym młodej poezji, wystąpili kolejno **B. Drozdowski, J. Kurowicki, P. Kuncewicz.** Najwięcej miejsca w dyskusji zajął problem roli poety we współczesnym społeczeństwie. Czy poeta dzisiaj ma jeszcze w sobie „cokolwiek z wieszcza"?, czy ma opisywać świat, czy „próbować go zrozumieć"? itp.

Tego samego dnia odbyło się również spotkanie pisarzy z przedstawicielami różnych wydawnictw (PW „Iskry", KAW, LSW, PIW, Wydawnictwo Literackie). Warto zacytować tu fragmenty niektórych wystąpień:

Dr Szymański („Iskry") — **„Liczba książek na głowę mieszkańca w Polsce jest jedną z najniższych w Europie. Na tym tle sytuacja debiutów nie wygląda najgorzej (...) Większość wydawnictw prowadzi prace mające na celu ułatwienie młodym startu. Jest to tym bardziej znaczące, że wydawnictwa są niezwykle przeciążone pracą. PIW np. udziela kilkaset odpowiedzi rocznie, LSW ok. 300. W „Iskrach" istnieje poradnia literacka, a od niedawna wyspecjalizowana „Redakcja debiutów". Również LSW i „Czytelnik" „postawiło" na młodych, zaś Wydawnictwo Poznańskie nawiązało stałą współpracę z oddziałami ZLP. PIW prowadzi tzw. „szkołę debiutów krytycznych", w ramach której ukazują się portrety współczesnych pisarzy polskich".**

Doc. Kurz (Wydawnictwo Literackie — Kraków) — **„Problem papieru jest prawdziwą bolączką polskiej literatury. A przecież bez dobrej książki nie będzie socjalizmu! (...) Wydawnictwa i prasa z takimi publikacjami jak pocztówki, kalendarze itp., przynoszą Ministerstwu Kultury i Sztuki spory dochód. Już od wielu lat wydawnictwa są przemysłem i to w pełni rentownym. Jednakże książka staje się opłacalna w granicach 15—20 tysięcy egzemplarzy. Stąd niezbyt chętnie publikuje się książki o mniejszych nakładach (...) Nie ma żadnej rewolucji słownej! Jest dyktatura ćwierćinteligenta. Nie ma niczego dobrego w tym, że ktoś posługuje się „basing Polish" — 800 słów po polsku, i nie jest argumentem fakt, że czytelnik, do którego jest taki „utwór" adresowany, nie zna więcej!".**

Tow. Stasiak z KC PZPR — „Odczuwa się niezadowolenie z obecnego systemu współdziałania z młodymi. Istnieje tendencja aktywizacji tej współpracy. Wyspecjalizowany sektor KC powołał grupę roboczą d/s wydawania utworów młodych pisarzy. Dzięki temu otworzy się możliwość sterowania zbieżności treści zawartych w młodej literaturze z zapotrzebowaniami społecznymi".

W trzecim dniu obrad uczestnicy spotkania postawili sobie zadanie wypracowania programu działania mającego na celu poprawę sytuacji młodego pisarza w Polsce. Poruszono szereg spraw dotyczących problesmów wydawniczych, pomocy warsztatowej, a także uprawnień socjalnych dla młodych twórców. Wielu mówców podkreślało konieczność utworzenia **„urzędu konsultanta literackiego"** przy wydawnictwach. Właśnie „urzędu". W praktyce młody pisarz proszący o pomoc, wskazówki, niejednokrotnie czysto warsztatowe, występuje w roli intruza zabierającego komuś cenny czas. Gdyby natomiast w wydawnictwach istniały osoby, których praca polegałaby właśnie na udzielaniu takowych wskazówek, młody pisarz nareszcie miałby się do kogo zwrócić nie czując przy tym skrępowania.

Dyskutanci żądali również jawności i rzetelności recenzji wewnątrzwydawniczych, zarówno pozytywnych, jak negatywnych. Wiadomo, że każdy uczy się na błędach i uczciwe, a sumienne ukazanie takowych początkującemu twórcy, przyniosłoby mu duże korzyści. Przy okazji wypłynął również problem recenzji zamieszczanych w czasopismach. Recenzja w żadnym wypadku nie powinna uwłaczać osobiście autorowi. Podano przykład „Maurycego" z „Nowego Wyrazu", który swymi recenzjami na podstawie sztucznie spreparowanych fragmentów tekstu ośmiesza tylko pozornie bezimiennego autora. Inną bolączką literatury (zwłaszcza młodej), jest niemożność publikowania w prasie. Nasza prasa literacka już dawno przestała być prasą literacką. W znacznie większym stopniu zajmuje się problematyką społeczno-polityczną. Stąd po prostu nie starcza jej już miejsca na publikowanie młodej poezji i prozy. Dawniej niemal każda gazeta (również nieliteracka, również gazeta codzienna) posiadała tzw. „wkładkę literacką", gdzie drukowano opowiadania, wiersze, przekłady — dziś zapomniano już nawet, że kiedyś istniało coś takiego!

Wiele uwagi poświęcono sprawom socjalnym. Jak dotąd nie uregulowano jeszcze statusu Kół Młodych przy oddziałach ZLP. Ich członkowie nie mają pełnych uprawnień socjalnych (chodziło przede wszystkim o opiekę lekarską), nie mają prawa do bezpłatnych urlopów twórczych — a przecież pozwoliłoby to wielu młodym pisarzom na formalne uregulowanie choćby niektórych nieporozumień z zakładami pracy.

Jedną z najciekawszych wypowiedzi był głos red. **Romana Kamionki** (z „Iskier"): — **„Jak dotąd redaktorzy wydawnictw są rozliczani z wydajności, zaś praca z debiutantem jest znacznie bardziej czasochłonna i stąd mniej opłacalna materialnie niż praca z doświadczonym pisarzem. Należy upowszechnić eksperyment „Iskier", które powołały specjalną redakcję debiutów. Pracownicy tej redakcji są rozliczani na zupełnie innych zasadach. Ponadto debiuty należy traktować jako serie informacyjne, dopiero w przypadku powodzenia danego utworu można powtórzyć wydanie w wyższym nakładzie. Posłużę się tu przykładem serii literatury iberoamerykańskiej, w której wydano dzieła wybitne, ale też dużo utworów miernych (Wydawnictwo Literackie). Było tak, ponieważ seria miała za zadanie zaznajomienie czytelnika polskiego z całokształtem nowości literackich Kontynentu. Podobną politykę należałoby zastosować również wobec debiutów i nie traktować debiutu jako skończenie doskonałego dzieła literackiego. Debiut powinien być zapowiedzią".**

Wszyscy uczestnicy spotkania w Zaborowie podkreślali konieczność stworzenia tradycji tego rodzaju dyskusji. W żadnym wypadku nie należy poprzestać na tym jednym „zjeździe". Obiecywano sobie, że za rok odbędzie się podobne spotkanie, na którym porówna się osiągnięcia minionego roku z programem, jaki wypracowano w Zaborowie w dniach 16—18.II. 1979 r.

ELEONORA KARPUK

LITERATURA POLSKA W ZSRR

Polska literatura w Związku Radzieckim to temat obszerny i rozległy, niewspółmiernie rozległy w stosunku do moich skromnych, ograniczonych czasem służbowej delegacji, możliwości spenetrowania go. To, o czym chcę napisać, będzie relacją z krótkiego, kilkudniowego pobytu w Moskwie, próbą przedstawienia dorobku dwóch moskiewskich oficyn, w których działają redakcje przygotowujące edycje naszych książek dla potrzeb radzieckiego — bardzo polską literaturą interesującego się — odbiorcy.

Na Zubowskij Bulwar, do mieszczącego się w dużym, nowoczesnym gmachu wydawnictwa „Progress", m.in. edytora współczesnej polskiej prozy i poezji, trafiłam wprawdzie najpierw, zacznę jednak od zaprezentowania oficyny szczególnie zasłużonej dla popularyzacji naszego piśmiennictwa w Związku Radzieckim — wydawnictwa „Chudożestwiennaja Litieratura" (IHL). Kierowane obecnie przez W. Osipowa — dyrektora i A. Puzikowa — redaktora naczelnego, działa od 1930 r. jako wydawca klasyki ojczystej i obcej. Ukazują się tu książki znane, sprawdzone, zbiory i wybory dzieł pisarzy o ustalonej już renomie. W planach wydawnictwa (w r. 1978 plan obejmował 271 tytułów, na rok bieżący przewidziano wydanie 239-ciu), nie znajdziemy nowości ani debiutów — tym zajmuje się np. „Sowietskij Pisatiel". Zgodnie z charakterem oficyny, jej dorobek w dziedzinie literatury polskiej to edycje polskiej klasyki i tych utworów współczesnych, o wysokiej randze artystycznej, które zaliczamy już do pewnego kanonu lektur.

Na początku był Tuwim — pierwszą bowiem książką wydaną po wojnie, w r. 1946, w serii „Biblioteka Słowiańska", były wiersze autora „Kwiatów polskich". Rok później powstaje redakcja polska działająca w ramach kierowanej przez p. Smirnowa redakcji literatur krajów socjalistycznych. W następnym roku, 1948, ukazuje się pięć polskich książek, autorzy: A. Mickiewicz i H. Sienkiewicz. — Na przestrzeni trzydziestu lat (1946—76), „Chudożestwiennaja Litieratura" wydała 166 polskich książek, przeciętnie 5—6 tytułów rocznie (w nakładach: najczęściej 50 tys. egz., niekiedy do 100 tys., zaś poezja — od 10 do 25 tys. egz.), w łącznym nakładzie 16,5 mln egz. Podstawę dorobku redakcji polskiej stanowią wielotomowe edycje dzieł zebranych najwybitniejszych naszych twórców: A. Mickiewicza (5 tomów), J. Słowackiego (dwutomowe, zawierające wiersze i dramaty), B. Prusa (dwukrotnie: pierwsze wydanie pięcio-, drugie siedmiotomowe), E. Orzeszkowej (5 tomów), M. Konopnickiej (4 tomy), S. Żeromskiego (5 tomów) i J. Iwaszkiewicza (aktulanie wydawane, ośmiotomowe, dotychczas ukazało się 5 tomów). Są to wydania opatrzone obszernymi artykułami wstępnymi pióra wybitnych literaturoznawców — polonistów, oparte o polskie krytyczne opracowania.

Nasza rodzima klasyka prezentowana jest również w rozmaitych seriach (ich tytuły podaję w polskim brzmieniu). I tak w serii „Skarby poezji lirycznej" wydano w małych tomikach kolejno utwory poetyckie. A. Mickiewicza, J. Słowackiego i J. Kochanowskiego; w międzywydawniczej „Bibliotece powieści historycznej" polską literaturę prezentowały aż cztery książki (udział innych literatur był skromniejszy): „Czerwone tarcze" J. Iwaszkiewicza, „Popioły" S. Żeromskiego, „Faraon" B. Prusa i „Potop" Sienkiewicza; w otwartej wciąż jeszcze serii „Zagraniczna powieść XX wieku" ukazały się: „Popiół i diament" J. Andrzejewskiego, „Granica" Z. Nałkowskiej, „Legenda Tatr" K. Tetmajera i „Pokolenie" B. Czeszki. W serii „Poezja w przekładach rosyjskich i radzieckich poetów" wyszła przygotowana przez B. Słuckiego — poetę i B. Stachiejewa — polonistę „Liryka polska w przekładach rosyjskich poetów". Miałam tę książkę w ręku i patrząc na jej staranne edytorskie przygotowanie, m. in. zagospodarowanie „skrzydełek": na jednym wymienieni zostali poeci polscy, na drugim — poeci tłumacze, pomyślałam o bojach toczonych przez naszą redakcję w sprawie wyposażania książek w elementarne informacje... „Współczesne zagraniczne opowiadanie" dorobek naszej literatury w tej dziedzinie reprezentowały utwory m. in. J. Iwaszkiewicza, S. Dygata, J. Kawalca, T. Różewicza, L. Wantuły, T. Nowaka, E. Brylla, i E. Stachury zebrane w tomie pt. „Wieczorny witraż"; ciekawostką tej serii jest to, że specjalnie dla niej każdy pisarz przysyła swoją autobiografię, zamieszczoną następnie w tomie. Wspomniany wybór ukazał się w r. 1969, w bieżącym roku przewidziano edycję nowego zbioru. Jest jeszcze jedna seria poetycka, nie nazwana, ale wyróżniająca się kształtem graficznym, ukazały się tu utwory B. Leśmiana L. Staffa, K. I. Gałczyńskiego i K. Baczyńskiego. I wreszcie 200-tomowa „Biblioteka literatury światowej", wydawana w latach 1967—76 w 300 tys. egz., w subskrypcji, uwieńczona nagrodą państwową dla naczelnego redaktora Puzikowa. Tu, jako tom 96 ukazały się A. Mickiewicza „Pan Tadeusz", „Dziady" i liryka, zaś jako tom 154 i 155 — „Sława i chwała" J. Iwaszkiewicza.

Jedną ze szczególnie ważnych inicjatyw edytorskich realizowanych w okresie ostatnich kilku lat (od 1973) jest międzywydawnicza „Biblioteka literatury polskiej": obok „Chudożestwiennoj Litieratury" w przedsięwzięciu tym partycypują również „Progress", „Mołodaja Gwardia" oraz „Isskustwo". W ramach „Biblioteki" IHL wydało 5 pozycji: wybór poezji i prozy J. Iwaszkiewicza, dwa tomy współczesnych polskich opowieści (tak należy tłumaczyć rosyjskie „powiesti", jest to coś innego niż „roman" — powieść i „rasskaz" — opowiadanie); w I tomie znaleźli się: Z. Nałkowska, G. Morcinek, K. Brandys, W. Zalewski, J. Kawalec, R. Bratny; w II — E. Bryll, J. S. Stawiński, K. Filipowicz, S. Dygat („Disneyland), Żukrowski („Kierunek Berlin"). Trzecia pozycja zawiera: J. Anrzejewskiego „Popiół i diament", „Pokolenie" B. Czeszki i „Drzewo rodzi owoc" T. Hołuja. Wybór poezji J. Tuwima Wł. Broniewskiego i K. I. Gałczyńskiego — to następny tom, w kolejnym zaś zaprezentowano prozę T. Brezy. Wkrótce ma się ukazać jednotomowy wybór utworów L. Staffa, J. Przybosia, K. Iłłakowiczówny, W. Szymborskiej i T. Różewicza.

Niewielki pokój redakcji dosłownie zapchany jest polskimi książkami, czasopismami — to miło tak nagle, setki kilometrów od równie zawalonej tomami redakcji na Mazowieckiej, znów znaleźć się w otoczeniu kolorowych okładek naszych wydawnictw. Te książki, periodyki literackie — to warsztat pracy, mnie jednak bardziej interesuje produkt finalny działalności redakcji, czyli radzieckie edycje polskich tytułów. Przeglądam redakcyjne półki: „Poezja XVII wieku" i tom zawierający powieści J. Kawalca — „Tańczący jastrząb", „Ziemi przypisany", „W słońcu" i „Szukam domu"; „Rękopis znaleziony w Saragossie" J. Potockiego i „Dymy nad Birkenau" S. Szmaglewskiej; poezje I. Krasickiego, „Stara baśń" „Hrabina Cosel" i ludowe powieści J. I. Kraszewskiego; proza Wł. Reymonta, A. Dygasińskiego; niezależnie od zbiorów dzieł edycje utworów H. Sienkiewicza, E. Orzeszkowej, S. Żeromskiego; „Niebo w płomieniach" J. Parandowskiego, „Moralność pani Dulskiej", G. Zapolskiej, „Urząd" i „Uczta Baltazara" T. Brezy, „Minipowieści" K. Filipowicza. To pozwala żywić nadzieję, że czytelnik radziecki ma (powinien mieć) dobre rozeznanie w podstawowym kanonie naszej klasyki.

Kończąc swój kilkugodzinny zresztą pobyt w polskiej redakcji wydawnictwa „Chudożestwiennaja Litieratura", zadaję stereotypowe w takich wypadkach pytanie o nowości i plany na najbliższą przyszłość. W roku minionym ukazały się dwa tomy dzieł zebranych J. Iwaszkiewicza, zbiór trzech powieści: „Życie małe i duże", W. Macha, „Nagi sad" W. Myśliwskiego i „Linia" J. Wawrzaka, wiersze K. Baczyńskiego; na przełomie roku 78/79 miał wyjść wspomniany wybór poezji pięciu poetów w ramach „Biblioteki literatury polskiej". Na rok bieżący przewidziano edycję szóstego i siódmego tomu dzieł J. Iwaszkiewicza („Sława i chwała") i kilka charakterystycznych dla sposobu prezentowania polskiej literatury wydawnictw jednotomowych a w nich: wybrane utwory Z. Nałkowskiej, wybór prozy, poematów, dramatów i esejów, T. Różewicza, W. Żukrowskiego, wybór powieści i opowiadań J. Korzeniowskiego „Spekulant" i „Kollokacja" oraz wspomniany nowy zbiór współczesnych opowiadań.

* * *

Redakcja polska wydawnictwa „Porgress", reprezentowana przez panie Irinę Kołtaszewą i Maję Koniewą, interesuje się najnowszym naszym dorobkiem w dziedzinie literatury pięknej, o czym najlepiej świadczy to iż pod koniec rozmowy poproszono mnie o wymienienie i scharakteryzowanie kilku najciekawszych naszych nowości...

Wydawnictwo „Progress" pod tym właśnie szyldem działa od 1964 roku, powstało jednak już w r. 1945 — nosiło wówczas nazwę: „Inostrannaja Litieratura", co w pełni oddawało specyfikę oficyny. „Progress" jest bowiem wydawca książek (literatury pięknej, naukowej, ekonomicznej itd.) tłumaczonych ze wszystkich języków na rosyjski; działają tu także redakcje przygotowujące przekłady prac radzieckich autorów na języki obce, w tym oczywiście także ma język polski, o czym za chwilę. Początkowo edycje „Inostrannoj Litieratury" posiadały głównie charakter informacyjny, natomiast pierwsze książki dla szerokiego kręgu czytelników ukazały się tu w r. 1947. Ta sama data wydania figuruje na pierwszej książce przełożonej z języka polskiego — była to M. Rusinka „Z barykady w dolinę głodu".

Działająca w ramach redakcji literatury współczesnej krajów socjalistycznych sekcja polska przygotowuje rocznie ok. 3—4 książki, wydawane w nakładach od 50 do 100 tys. egz. Wymienienie wszystkich tytułów, które w ciągu minionych ponad trzydziestu lat pojawiły się na rynku księgarskim za pośrednictwem „Progressu" zajęłoby zbyt wiele miejsca. Dla zorientowania jednak w działalności polskiej redakcji warto wspomnieć przynajmniej o jej udziale w „Bibliotece literatury polskiej" oraz o najnowszym dorobku i planach na najbliższą przyszłość. Otóż jeśli chodzi o „Bibliotekę" — wydawnictwo włączyło się do niej pięcioma książkami, a były to: M. Dąbrowskiej wybór artykułów oraz fragmenty „Przygód człowieka myślącego", W. Macha „Agnieszka córka Kolumba", dalej I. Newerlego „Pamiątka z Celulozy", St. Lema wybór prozy (m. in. „Solaris") oraz J. Putramenta „Wrzesień".

Dorobek najnowszy? W r. 1977 obok wspomnianej „Pamiątki..." Newerlego (wydanej wówczas po raz drugi), ukazały się także „Tristan 1946" M. Kuncewiczowej, „Na spotkanie dnia" J. Wawrzaka oraz w ramach miedzywydawniczo-międzynarodowej — by tak rzec — „Biblioteki Zwycięstwa" J. Putramenta „Opowiadania". Rok 1978 zapisał się w działalności „Progressu" edycjami „Osoby" T. Hołuja, „Urodzony w dymach", L. Wantuły, „Myśli nieuczesanych" St. J. Leca oraz wyboru prozy J. Parandowskiego (m. in. „Dysk olimpijski", „Petrarca", „Aspazja").

Plany na najbliższą przyszłość? W roku bieżącym czytelnik radziecki najprawdopodobniej (bo kłopoty z papierem jednakowo dręczą poligrafie nad rzeką Moskwą jak i nad rzeką Wisłą!), a więc najprawdopodobniej będzie mógł przeczytać w „Progressowych" edycjach „Pole niczyje" Z. Safjana, „Stan nieważkości" A. Kuśniewicza, poezje St. Grochowiaka, J. Harasymowicza M Grześczaka i H. Poświatowskiej wydane w serii „Z poezji narodowych", a także prezentujące współczesną polską opowieść („powiest") lat siedemdziesiątych utwory J. Kawalca „Szara aureola", W. Bilińskiego „Wypadek", Wł. Terleckiego „Odpocznij po biegu". Wtajemniczono mnie też w ogólne na razie plany na rok 1980 — mowa była o „Kontuzji" Z. Bystrzyckiej, J. Ozgi Michalskiego „Kogo trafi grom"; dla serii „Mistrzowie prozy zagranicznej" (w serii tej w r. 1971 twórczość swa prezentował St. Dygat) przygotowane zostanie wydanie „Proroka" i „A jak królem a jak katem będziesz" T, Nowaka. Moim miłym rozmówczyniom marzy się również wybór wysoko przez radzieckiego czytelnika cenionej polskiej powieści kryminalnej.

IRENA BOLEK

(„NOWE KSIĄŻKI")

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI.

przy-brana matka

Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

Teraz między łóżkiem Grzędy, a jego kolegi, Antkiem Molskim, z którym byli sąsiadami tylko przez płot, ustawiłam krzesełko, na którym zawiesiłam ręcznik. Zdjęłam lampę ze ściany, by światło nie padało na Grzędę i postawiłam ją na podłodze".

Mój przyjaciel miał rację. Trudno, czytając ten pamiętnik, nie zostać nim poruszonym.

— Niestety, nie wiadomo, z jakiej miejscowości pochodził Józef Grzęda i w jakich okolicznościach przystał do powstania — mówi dr Olejnik. — Ale na pewno zwróciłeś uwagę, że w pamiętniku jest wzmianka o Jastrzygowicach i o rodzinie Grzesiaków. Jedźmy do Praszki, gdzie znajdował się szpital powstańczy, i do Jastrzygowic — może uda nam się natrafić na jakiś ślad.

Praszka. Przygraniczne miasteczko w okresie międzywojennym, jeden z pierwszych obiektów hitlerowskiej agresji. Odbudowane, rozbudowane. Byłem tu kilkanaście lat temu, teraz nie poznaję Praszki. Nowe bloki mieszkalne, rozległy kombinat zakładów sprzętu motoryzacyjnego „Polmo". Po wojnie miasteczko liczyło niewiele ponad dwa tysiące mieszkańców, teraz liczy osiem tysięcy.

Zachodzimy najpierw na miejscowy cmentarz. Z brzegu, po lewej stronie, grób rodziny Lewandowskich. Spoczywa w nim mąż pani Kazimiery, Edward, matka męża, Bronisława, a także ona — Kazimiera Teleśnicka-Lewandowska, zmarła przed trzema laty. Dalej, w głębi cmentarza, w otoczeniu czterech rozrośniętych lip, grobowiec-pomnik z kamiennym orłem rozpinającym nad nim skrzydła. U stóp pomnika dwie skrzyżowane kosy z ostrzami na sztorc i hełm żołnierski potrzaskany z jednej strony. Niemcy zburzyli ten pomnik, ale po wojnie został wzniesiony na nowo. „Tu spoczywają zwłoki bohaterów poległych w walkach o wolność Ojczyzny". Dwunastu powstańców z roku 1863, trzynastu uczestników walk o Śląsk w roku 1921 (jeden nieznany), jedenastu żołnierzy z wojny 1939. Wśród nazwisk trzynastu — nazwisko „Józef Grzęda".

Ta, która była mu matką w ostatniej chwili jego życia, spoczywa teraz o kilkanaście metrów od niego.

Idziemy w stronę rynku. Dowiaduję się od mego towarzysza, że w roku 1852 Praszkę strawił pożar, po którym jej mieszkańcy wznieśli statuę św. Floriana, aby ten uchronił ich od dalszych pożarów. Niemcy zburzyli i ten pomnik. Św. Florian, patrzący dziś na czworobok barwnych kamieniczek rynkowych, to dzieło powojennego artysty.

Nad jedną z pierzei rynku wieża kościoła, obok czerwone mury budynku parafialnego, gdzie w sali zwanej „wikariatką" znalazł w roku 1921 pomieszczenie szpitalik, niosący pierwszą pomoc rannym powstańcom. To tutaj właśnie zmarł Józef Grzęda, tu pracowała wtedy siostra Kazimiera, a pomagały jej młode praszkowianki, wśród nich — Zofia Kałwińska, mieszkająca do dziś w Praszce.

Pani Zofia jest trochę zaskoczona naszą wizytą, ale kiedy rozpoznaje towarzyszącego mi dyrektora Olejnika — bardzo się ożywia.

— Pan Olejnik! Jest u mnie pan Olejnik! — wykrzykuje raz po razie. — Syn opowiadał mi wiele o panu, szukał wszędzie „Kwartalnika Opolskiego", bo tam napisał pan o jego matce, wreszcie pojechał do Opola i tam tę książkę kupił.

Staruszka liczy sobie 79 lat, narzeka na kłopoty z pamięcią, ale zaraz opowiada nam, jak to w czerwcu 1917 roku przy chórze kościelnym powstał oddział Czerwonego Krzyża, który współdziałał z peowiakami, i jak w roku 1918 razem rozbrajali Niemców. A potem ważyły się losy Śląska, Wieluński Komitet Plebiscytowy wzywał do niesienia pomocy Ślązakom, aby Ziemia Wieluńska połączyła się z Ziemią Opolską w wolnej Polsce.

— Bo ta Polska miała być i dla Ślązaków, bardzo tego wszyscy chcieliśmy, proszę panów. A kiedy po plebiscycie wybuchło trzecie powstanie, ja z kilkoma koleżankami zostałam przydzielona do pomocy siostrze Teleśnickiej, było to jeszcze przed jej zamążpójściem za pana Lewandowskiego. Miałyśmy wielu ciężko rannych, tych odwoziło się do szpitala w Wieluniu i Częstochowie, ale niektórzy umierali w naszym szpitaliku i ci byli chowani w Praszce. Wszyscy szliśmy na te pogrzeby, młodzież szkolna z kwiatami, były salwy z karabinów, bardzo to przeżywałam, nie mogłam patrzeć na krew i rany, więc zaczęłam jeździć podwodami na wieś, po żywność, po bieliznę na szarpie.

Pani Zofia pokazuje nam list od siostry Kazimiery, ostatni, jaki od niej otrzymała. Są to życzenia wielkanocne, a przy okazji parę słów o tym, że nadawczyni listu wybiera się do Kalisza, do syna, ale będzie też chciała przyjechać na Górę św. Anny. Oglądam grupowe zdjęcia zrobione w szpitalu powstańczym, to siostry z ozdrowieńcami, pani Zofia w ciemnej sukni z niedużym dekoltem, siostra Kazimiera w białym fartuchu i chustce z przepaską na głowie — obie młode, rosłe, dorodne. To samo zdjęcie widziałem już w wieluńskim Muzeum.

— Ona jechała do syna, była szczęśliwa, a mój syn zmarł, proszę panów, musiałam go pochować. Ostatni raz byłam u niego na święta Bożego Narodzenia, posadził mnie przy stole wigilijnym na honorowym miejscu, kazał mi przypiąć do sukni mój prosty żelazny Krzyż Powstańczy, tak się cieszył, że dostałam też Krzyż, tak się tym delektował...

Stara kobieta płacze, próbujemy oderwać jej myśli od smutnego wspomnienia, zmienić temat, ale nie jest to rzeczą łatwą. Ratowała życie synom Ślązaczek, a nie wybroniła od śmierci własnego syna.

W rynku praszkowskim, noszącym nazwę Placu Grunwaldzkiego, mieszka pani Jadwiga Jungowska, córka Wincentego Jungowskiego, burmistrza miasta w okresie powstań śląskich, a zarazem przewodniczącego Komitetu Plebiscytowego, który należał do najczynniejszych Komitetów w Wieluńskiem.

— Ojciec spisał wydarzenia tamtych dni, spisał je również sekretarz Urzędu Miejskiego, także działacz plebiscytowy, Ignacy Kowalczyk — mówi pani Jadwiga. — Niestety, ojciec mój już nie żyje, zmarł w roku 1961. Ale przeżył szczęśliwie wojnę, mimo że zaraz po jej wybuchu aresztowało go gestapo. Wiedzieliśmy, co go czeka, matka radziła, żeby wyjechał z Praszki, ale on nie chciał narażać rodziny na prześladowania. Był więziony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie przez wszystkie lata wojny, wielu jego przyjaciół tam zginęło. Ojca trzymała wiara, że do nas powróci.

Przeglądam podniszczony maszynopis, opatrzony nagłówkiem „Udział Praszki i Pogranicza w III Powstaniu Śląskim". Czytam:

„Zaraz po odbytym plebiscycie, czyli po 20 marca 1921 r., przybył do Praszki por. Jan Hupa i z ramienia władz powstańczych utworzył Biuro Ekspozytury Powstańczej Górnego Śląska. On jako szef, a jego zastępcą został tutejszy mieszkaniec Wincenty Jungowski. Biuro to i magazyn broni, której sprowadzaniem się zajęli, mieściło się w lokalu tegoż zastępcy szefa, Jungowskiego. Tutaj też odbywały się spotkania z przedstawicielami władz powstańczych i kurierami. A gdy poczęło przybywać broni, przeważnie długiej, granatów, urządzono magazyn w domu szkolnym, w pokoju na strychu.

Oprócz Ekspozytury były i oddziały dywersyjne, złożone z młodych, pełnych poświęcenia Ślązaków, czasowo w Praszce zamieszkałych i stąd dokonujących wypadów na Śląsk. Oni to byli postrachem Niemców, jak i niemieckich bojówek. Również szef Ekspozytury ze swym zastępcą wyprawiali się czasami dla obserwacji i wywiadu na Śląsk, przechodząc nocą po kładce przez rzekę Prosnę w okolicy Wygiełdowa i Szyszkowa.

Gdy termin wybuchu powstania się zbliżał, szef Ekspozytury dobrał sobie jeszcze do pomocy Władysława Pawlińskiego i razem rozwozili wozami i autami zgromadzoną w dużej ilości broń i amunicję do różnych nadgranicznych polskich wsi, lokując broń u oddanych sprawie powstańczej obywateli. A wszystko w konspiracji, tajemnie, bez rozgłosu. Nie było wypadku zdrady, lecz wszędzie patriotyczne oddanie się sprawie.

...Wieczorem dnia 2 maja rozniósł się alarm powstańczy na całą okolicę, poruszając serca i odwagę ludności. Do biura Ekspozytury, mieszczącego się teraz w domu Morawiaka, zgłosiło się spontanicznie wielu ochotników, mieszkańców Praszki. Otrzymawszy broń i amunicję, jeszcze tej nocy udali się na Zawisnę, do tamtejszego dowództwa odcinka i przyjęci natychmiast, wzięli udział w przepędzeniu niemieckich oddziałów i w walkach, począwszy od oswobodzenia Zawisny i dalej w stronę Krzyżanowic, Zdziechowic, Uszyc, Nowej Wsi i Gorzowa, a następnie w stronę Kluczborka i Olesna. Pod Jamami i Jastrzygowicami były gorące walki z ofiarami w ludziach".

A więc znów Jastrzygowice. Opuszczamy Praszkę, na wzgórzu po prawej stronie okazały budynek szkolny.

— W tej szkole — mówi dr Olejnik — był punkt zborny dla polskich robotników wyjeżdżających „na Saksy". Niemcy zatrzymywali ich na obszarze plebiscytowym i pokazywali na wiecach Ślązakom jako tych, którzy w Polsce nie mogą znaleźć pracy i muszą emigrować. Trzeba było zamknąć okresowo granicę ze Śląskiem, a robotników rolnych kierować do centralnych Niemiec z pominięciem okolic Praszki.

Jedziemy wzdłuż pól przyprószonych śniegiem, przydrożne kałuże pozamarzały i ślizgają się na nich dzieciaki z tornistrami na plecach. W głębi pasmo lasu, nie opodal wąskie koryto Prosny — to dawna granica z Niemcami. Zatrzymujemy się przed budynkiem szkoły w Jastrzygowicach, aby zasięgnąć języka, zapytać o Grzesiaków, wymienionych w pamiętniku siostry Teleśnickiej. I tu spotyka nas pierwszy zawód. Kierownik szkoły, Antoni Smyrd, nie zna nikogo o nazwisku Grzesiak. Deklaruje jednak swą pomoc w naszych poszukiwaniach.

Na drodze wiejskiej wdajemy się w rozmowę z Edwardem Włodarczykiem, wieloletnim mieszkańcem Jastrzygowic, który pamięta czasy powstania.

— No jo, to beło akurat w Boże Ciało. Niemcy podeśli bez noc od Kościelisk, ale nasi ich pociśli i zaraz wyparli. Grzędy? Grzesiaki? Ni, nie znom żadnych Grzędów ani Grzesiaków.

Pytamy o rodzinę Molskich, Antek Molski był przecież kolegą Józka Grzędy. Okazuje się, że w sąsiedzkim Wygiełdowie mieszka jakiś Molski. Może dowiemy się czegoś od niego?

Józef Molski, chudy, sękaty starzec, nie może długo przyjść do siebie, gdy pytamy go o czasy powstania. Wreszcie łamiącym się głosem opowiada:

— My byli w strzelcach, młodziaki, tak po 16—17 lat, ja jeden tylko żyję. Jak powstanie wybuchło, to my pilnowali łączności na szosie Jastrzygowice-Kościeliska, żeby Niemcy nie przerwali telefonów. A tu, bez te okno, wpadła kula, bo oni strzelali do chałup, i taki jeden powstaniec, Jomka się nazywał, został u nas ranny. A jak poszliśmy obciągać kartofle, znaleźlimy tam jednego, zabitego, nie miał żadnych dokumentów i jako nieznany został pochowany w Praszce.

— Mówicie panowie: Antoni Molski? Nie znam takiego. Molscy są tyż w Brzezinach, Andrzej Molski, ale on nie był w powstaniu. Józek Grzęda? Ni, nie słyszołem. Oni przyszli z różnych stron Polski, z Wielunia, z Poznania, ze Śląska, my ich nie znali.

Trop się urywa. Więc może jeszcze Szyszków, tam mieszka Andrzej Piśla, który brał także udział w powstaniu.

Pan Andrzej jest niedużego wzrostu, twarz czerstwa. Jego żona, także nieduża, krępa, uśmiecha się do nas przyjaźnie, kiedy dr Olejnik oświadcza, że zna jej syna.

— Mówi pan, że Edek podobny jest do matki? Chyba tak, i tak jak ja prędko osiwiał. Panie, wojna była, żandarmy chodzili, bałam się o męża, jak miałam nie osiwieć?

— Mnie uratowało to, że zostaliśmy wysiedleni — mówi pan Andrzej. — Nasze gospodarstwo wziął Landführer, Kubot się nazywał, a potem inny Niemiec, Wołyniak. Jak wróciliśmy, dom był zniszczony, potrzaskany, on tyż ucierpiał przez wojnę, więc mówię do żony: „Jest tu taka gospodarka po Westfalaku, może ją weźmiemy?" A żona na to: „Nie chcę, urobię ręce po łokcie, ale wrócę do swojego".

Tu robota przy chałupie, w obejściu, a tu wójt Kusiak, w kwietniu to było, w czterdziestym piątym, zachodzi do mnie i powiada: „Drogi rozbite, ty pracowałeś przed wojną jako drogomistrz, musisz przyjść do nas pracować". Poszedech na roboty do Niemiec, to teraz nie pójdę do swoich? Robili szos, miałem nad tym nadzór do września. Ledwie się z tym uporałem, przychodzi zastępca wójta, Kuliberda. „Organizujemy sklep spółdzielczy, ciebie tu znają, poważają, musisz zwerbować pięćdziesięciu członków, inaczej nie ruszymy". Zwerbowałem czterdziestu ośmiu, więcej się nie dało. Co robić? Wpisałem na listę dwie babinki ze wsi, że tyż zapisały się na członków spółdzielni, wyłożyłem za nie wpisowe. No i skel dostaliśmy.

Był tu taki Stronczyński Kazimierz, człowiek światły, uczony. Przychodzi do mnie, powiada: „Trzeba w Szyszkowie Dom Ludowy postawić, przyda nam się we wsi". Znowu składki, zabawy dochodowe, panowie, myśmy nawet butelki po wódce sprzedawali na ten fundusz społeczny. A potem odbudowa Warszawy, potem budowa szkół i internatów. Znów chodziłem, zbierałem grosze, ładne się sumki zebrały. No i co? Warszawa stoi, Dom Ludowy stoi, szkoły stoją. Teraz, jak co potrzeba, to już syn chodzi. Przejął tę żyłkę po mnie, tylko tak myślimy z żoną, że jak pomrzemy, bo każdy musi umrzeć, to gospodarki nie będzie miał kto przejąć. A tyle włożyliśmy w nią harówki. Syn pracuje w szkole w Praszce, no i nie ożenił się do tej pory, chociaż podchodzi pod czterdziestkę. A jak tu gospodarować bez kobity?

Pan Andrzej prowadzi mnie w kąt izby, gdzie w ramkach za szkłem wiszą jego odznaczenia. Medal Dziesięciolecia PRL, Polonia Restituta, Krzyż Śląski, nadany mu w pięćdziesiątą rocznicę trzeciego powstania.

— Ile pan miał lat, kiedy wybuchło to powstanie? — pytam.

— Niecałe siedemnaście. Mój ojciec, Kasper mu było, pochodził ze Śląska, a przyżenił się w Praszce. Było nas siedmiu braci i trzy siostry. Rodzice przenieśli się do Szyszkowa, tuż nad granicę. A tu słychać, że Niemcom chcą oddać Górny Śląsk i że szykuje się powstanie. „No, pieruny — mówi do nas ojciec — nie damy im Śląska!". Była nasza placówka w Gorzowie u Chowańskiego, a u nas zorganizowano grupę powstańczą. To ja tak: list za pazuchę i przekradam się do Gorzowa. Rzyka nieduża, to się ją przeskoczyło, a tamten teren znałem, jak chodziłem do szkoły, bo brałem słoninę i hajda za granicę, wymieniałem ten towar na ołówki, kredki, zeszyty. Niemcy wołali: „Halt!", ale wtedy do nas nie strzylali.

Jak wybuchło trzecie powstanie, to my z ojcem sprzęgliśmy dwa konie i pojechalśmy do Praszki. Nabraliśmy na wóz broń, prowianty, a nocą z tym nad rzykę, tam już czekał jeden Ślązak i zabierał to wszystko na placówkę. Nasz oddział stał w Jastrzygowicach, pomaszerowali na Gorzów, zajęli go. Trzymali do 23 maja. A potem Niemcy zaczęli napierać, największa bitwa była w Jamach, dziewięć kilometrów stąd, tam dużo naszych nabili.

— A może słyszał pan coś o powstańcu Grzędzie, który zmarł w szpitalu w Praszce. Miał narzeczoną, pannę Zośkę?

— Ni, nie słyszałem. Chodziliśmy na pogrzeb każdego powstańca do Praszki, może byłem i na jego pogrzebie, ale czy to się spamięta nazwisko? Wiem tylko, że kierowniczką szpitala była siostra Teleśnicka, późniejsza Lewandowska. Wyszła za mąż za zarządcę majątku w Strojcu.

Więc nie dowiem się niczego więcej o Józku Grzędzie, ani o jego narzeczonej. Był Ślązakiem, to pewne, być może pochodził z przygranicznej wsi, do której wyprawiał się młody Piśla. Kiedy umierał, majaczył, któż odgadnie teraz, co pokojarzył prawidłowo, a co nie. Siostra Kazimiera spisywała swój pamiętnik u schyłku życia, a pamięć ludzka bywa zawodną. Może i jej pomieszały się nazwiska i miejscowości?

Wracamy do Praszki okrężną drogą, przez Strojec. Jest już zimowy zmierzch. Teren PGR ogrodzony, ciemne okna zabudowań gospodarczych i światła w budynkach mieszkalnych. Ale gdzie stoi dwór, słyszałem, że Lewandowscy mieszkali we dworze? Nie ma dworu, nigdzie go nie widać.

Zagadka wyjaśnia się dopiero w Wieluniu, gdy rozmawiam z panią Heleną Kalinowską, pracownicą Muzeum, przyjaciółką siostry Kazimiery.

— Dworu już nie ma, został zburzony. Rozebrano też czworaki, w których mieszkały po cztery rodziny w jednej sieni. Teraz na tym miejscu stoją piętrowe budynki. Ocalała tylko gorzelnia, była przed wojną i jest dziś.

Z panią Teleśnicką poznałyśmy się chyba w roku dwudziestym czwartym. Bardzo przypadłyśmy sobie do serca, chociaż ona była znacznie starsza ode mnie. Opowiadała mi, że jej pierwszy mąż zginął w roku 1920 w Brześciu nad Bugiem. Ona przyjechała do Praszki i tu się osiedliła, pracowała jako pielęgniarka w kopalni rudy. Poznali się z panem Lewandowskim, no i się pobrali. Jej mąż był rządcą, a mój ojciec pracował w gorzelni i przy maszynach. Przylepiłam się do niej jeszcze jako mała dziewczynka. Często chorowałam, a ona mnie leczyła. Proszę pana, jaki to był dobry człowiek, gdzie kto zachorował, tam już była, szła do każdego porodu, żadne wesele, chrzciny nie mogły się obyć bez niej. Bardzo ją wszyscy lubili.

Miała syna w Kaliszu, Jerzego. Troje dzieciaków, a żona zmarła przy czwartym porodzie. Więc ona zostawiła męża i pojechała zaopiekować się tym drobiazgiem. Była tam przez dłuższy czas, póki syn nie ożenił się ponownie. A potem zmarł mąż jej córki, Teresy. To ona znów do Warszawy, bo tam też były małe dzieci. Musiała do niej pojechać.

Pyta pan, czy wspominała czasy powstania? Opowiadała mi o tym często, gdy w trzydziestym dziewiątym wybuchła wojna. Obie opatrywałyśmy rannych żołnierzy. Wspominała wtedy szpital powstańczy w Praszce, mówiła, jak pisała listy do żon, do matek, jak jeden ranny na jej rękach umierał. Zdaje się, że mu było Józef Grzęda.

TADEUSZ GICGIER

NASZA JANECZKA

Dalszy ciąg ze str. 1

nie wspominając już o książkach i zeszytach. Ten pierwszy wstyd dziewczęcy był szczególnie bolesny, bo porządek świata było tak trudno zrozumieć. Były przecież dzieci porządnie ubrane, nafaszerowane smakołykami, co gorsza, okrutne dla rówieśników traktowanych jak coś gorszego. Tak było przez cały powszechniak.

— Musiałam zrezygnować z liceum — mówi Janka — bo nie było nas na to stać, żeby uczyła się cała trójka. Ojciec pracował na kolei zarabiał grosze i tylko najstarszą siostrę posłano do liceum. I w ten sposób, nie mając jeszcze piętnastu lat, trafiłam do fabryki.

3.

Musiała skłamać. Nikt zresztą nie sprawdzał wiarygodności jej słów. Majster trochę nie dowierzał, dziwił się, bo była drobniutką dziewczynką. Na szczęście jeszcze nie było kadrowców. „Chcesz pracować, przychodź od jutra". To były zakłady bawełniane przy ulicy Rzgowskiej. Została robotnicą i jednocześnie próbowała się uczyć w liceum wieczorowym. Nie bardzo się to udawało. Praca była ciężka, na zmiany, zasypiała na lekcjach. Polonistka nawet ją chwaliła, bo Janka lubiła książki i była ciekawa świata.

Wkrótce zaproponowano jej wstąpienie do organizacji młodzieżowej. Też musiała dodać sobie lat, znów nikt nie zaglądał w metrykę. Była potrzebna. Żywa, sympatyczna dziewczyna, nabierająca poloru, której już nie wystarczała sama praca przy maszynie, od syreny do syreny, zwracała na siebie uwagę. Sekretarz partii miał długi staż, doświadczenie, ale niewiele oddziałów szkoły. Pomagała mu prowadzić całą biurokrację. I dużo się od niego nauczyła. Szanowałam go bardzo, powie po ćwierćwieczu.

Trudno znaleźć ten punkt zwrotny w jej życiorysie. Czy wszystko zwalić na karb czasu? Można by z łatwością. Znam dziesiątki takich awansów, zakończonych osobistymi porażkami, nierzadko tragediami. Daleki jestem od złego sądu i mędrkowania. Nie było ludzi, oni dopiero rośli i musieli brać na siebie ciężary, nieraz zbyt duże. Jedni wytrzymywali, drudzy odpadali. Z tym, że odpaść, pogubić się — było zatrważająco łatwo. Ci, co przeszli tę ZMPowską szkołę, już się w życiu nie pogubią. Czy zgadzasz się ze mną, dziewczyno w zielonej bluzce z czerwonym krawatem? Teraz chyba tak, ale wówczas nikt nie zadawał takich pytań.

I w ogóle nie pytano za wiele. Zawołali do dzielnicowego zarządu na Górnej i powiedzieli, że ją biorą do aparatu, do wydziału szkolno-harcerskiego. I nie było żadnej dyskusji, nikt nie zawracał sobie głowy jej wątpliwościami. Nawet tym, że pracując, o ironio, w szkolnym wydziale, musiała rzucić szkołę. Teraz jest robota, szkoła będzie później. I rzeczywiście, kiedy pracowała w fabryce, z trudem, ale jakoś łączyła te dwa zajęcia. Teraz, w zarządzie dzielnicy praca trwała od rana do późnego wieczora — Słowo daję — mówi po latach — jak chciałam iść na randkę, uciekałam przez okno.

W jakiś czas później, już nieco ustabilizowany, pomyślano o kształceniu działaczy. Jankę wysłano na roczny kurs do Otwocka. Uciekła stamtąd szybko...

Przez ten przyśpieszony powrót wylądowała w Zakładach im. Bardowskiego. Została tu etatowym przewodniczącym ZMP. Tu przeżyła osiemnastą wiosnę i wstąpienie do partii. Jakoś sobie nie kojarzono jej wieku, bo któryś z działaczy, kiedy opowiedziała swój życiorys, spytał, dlaczego tak późno wstępuje do partii? Śmiech, który potem na sali nastąpił, ten życzliwy śmiech — do dzisiaj pamięta. I nazwisko tamtego działacza też, chociaż jego pytanie nie świadczyło wówczas tylko o jego żartobliwym usposobieniu.

Zakłady Bardowskiego to był ważny etap. Z „urzędu" niejako weszła do egzekutywy POP. Zaczęła się już na poważnie uczyć partyjnej roboty. Dobrze się jej pracowało, bo znalazła dobrych i życzliwych ludzi. Stare to teraz niby dzieje, ale wiele tamtych przyjaźni trwa do dzisiaj i sekretarz Szydlecka bardzo sobie je ceni. Nie pytam, dlaczego. Bo odpowiedź mogłaby trącić banałem.

Tutaj poznała Edwarda. Nie lubiła go, wydawał się jej zbyt apodyktyczny. Trafił na dziewczynę z charakterem, także pryncypialną. Storpedowała jego awans na mistrza, że niby takiego ludzie nie zaakceptują. Ale po pierwszomajowym pochodzie dała się zaprosić na zabawę. I ta udawana antypatia i podjazdowa wojna zakończyła się, jak było do przewidzenia, ślubem. Po czym Edward szybko odszedł z zakładu. I tego się już trzymają do dziś, żeby nie pracować w jednej fabryce. To ich święta zasada.

4.

Życie biegnie meandrami, normalnie. Ciśnienie realiów wymusza taką, a nie inną drogę. Jest już rodzina, przychodzi na świat syn. Rodzina kochająca się, ale naga i bosa. A trzeba jakoś żyć, jak wszyscy. A startują od zera, mieszkają kątem u teściów. Trzeba zdobyć to wszystko, co jest potrzebne rodzinie do normalnego funkcjonowania. Edward wyjeżdża jako monter na budowę. Janka stawia sprawę wyraźnie: — Dajcie mi zarobić, bo te pensje działaczy są śmiesznie niskie. — I idzie na cerownię, ale nie jest to żaden odwrót, zerwanie z robotą w organizacji. Zamiast zajmować etat przypisany do funkcji, ciągnie dalej tę pracę społecznie. Jest to wyjście, które nakazuje zdjąć czapki z głowy.

I tak biegnie czas. Syn jest już w żłobku. Janka przechodzi do oddziału przy ulicy Hutora. Wybierają ją tu I sekretarzem POP. Walczy ostro z kierownikiem o poprawę warunków pracy. Mogłoby to trwać długo, pracuje, działa na swoim szczeblu. Jednak któregoś dnia przychodzi na zebranie sekretarz partii dzielnicy Polesie. Znają się z organizacji młodzieżowej. — Co tutaj robisz, Janka? Ludzi nam sporo pouciekało, odpadło, muszę cię stąd zabrać. — Te słowa sekretarza dzielnicy stają się zrozumiałe, kiedy się doda, że był już pięćdziesiąty szósty rok i po niezasłużenie niechwalebnym rozwiązaniu ZMP powstał Związek Młodzieży Socjalistycznej. I tak została I sekretarzem KD ZMS-Polesie, sekretarzem Komitetu, bo taka wówczas była nomenklatura. Nie bała się tej pracy, czuła, że sobie poradzi z dotychczasowym doświadczeniem. Mąż także rozumiał jej aspiracje, zajął się dzieckiem, odbierał malca ze żłobka, przedszkola... Bo znowu zaczęła się robota od rana do wieczora, nieustające zebrania, konferencje, z rzadko wolnymi niedzielami. Ale były i miłe chwile. Była pierwszą kobietą w Polsce na takiej funkcji, otrzymała Srebrne Odznaczenie im. Janka Krasickiego. Ukazało się jej zdjęcie na okładce „Dookoła Świata".

Janka śmieje się teraz z siebie, czyli z tamtego pierwszego wywiadu. Jak to strasznie mądrze odpowiadała na pytania, wygłaszając nawet sądy o literaturze. Wiesz, Hemingway był wtedy w modzie. Ale nie straciła poczucia rzeczywistości — Jeszcze się wtedy nie pytali o papierek — mówi — ale widziałam, że inni się uczą. I też zabrałam się do nauki. — I po kilku latach kończy z wyróżnieniem Technikum Ekonomiczne, chociaż już jej nie chodzi tylko o zdobycie dyplomu, o satysfakcję, ale o niezbędną w pracy wiedzę. Bo od 64 roku znów jest w fabryce, w zakładach im. Reymonta.

5.

Tutaj dostaje niezłą szkołę. Jest najpierw sekretarzem organizacyjnym POP, potem pierwszym. Na załogę, ponad dwa tysiące ludzi, jest tylko 125 członków partii. Pamięta dokładnie tę liczbę, jak i pozostałe. Po dwóch latach jest ich już ponad czterystu i zgodnie ze Statutem tworzą Komitet Zakładowy, którego zostaje pierwszym sekretarzem, a także wchodzi do egzekutywy KD Polesie. I kiedy stamtąd odchodzi, organizacja ma już prawie 700 członków. Janka zastrzega się, że te liczby nic nie oznaczają. Ważne jest, że dużo zrobili, a jak już ciągnęli tę robotę, to znajdowali sojuszników i część z nich trafiła do partii. Tam byli dobrzy ludzie, wystarczyło tylko, żeby się jakoś nawzajem odnaleźli. „Dobrzy ludzie", te słowa powtarzają się w tej relacji i będą powtarzać. To znaczy, że Janina ciągle podkreśla, że trafiała na dobrych ludzi. Lecz moją rzeczą jest z tych powtórzeń budować refleksję ogólniejszą, że tych dobrych ludzi widać w Łodzi nie brakuje...

6.

Przechodzimy teraz do współczesności w podwójnym cudzysłowie. Bo to i tak niedawno, i Janina jakby ciałem w „Teofilowie", ale jeszcze uczuciem obecna tam, w „Gwardii Ludowej" — największej miłości swego życia. Literacko nie brzmi to dobrze, ale jej tego sformułowania nie odradzam, bo jeśli nie wszystko, to bardzo wiele mówi o bohaterce tej opowieści. Więc zostańmy przy tym terminie.

16 grudnia, na konferencji partyjnej w „Gwardii Ludowej" wybierając Janinę Szydlecką na I sekretarza KZ. Nie została przywieziona w teczce, jak czasami nazywa się dokooptowanie w skład KZ i wybór z tego grona na sekretarza. Jankę wybierają delegaci na konferencję i to jest pierwsza satysfakcja, pierwsza wśród wielu następnych.

Okres był trudny... Fala napięć przeszła po fabrykach i zamknęła się w pozytywnych rozwiązaniach. Znaleziono wspólny język, zrozumienie dla potrzeb i możliwości. Radzono już spokojnie i po gospodarsku, z troską i szczerze. Chociaż może jeszcze nie wszyscy uznali taką konieczność. Janina pamięta taką naradę na szczeblu miasta, już z udziałem nowego kierownictwa Komitetu Łódzkiego. Był na niej także jeden z członków Biura Politycznego. I niektórzy towarzysze zaczęli uderzać w górne „C". Janina wiedziała, że musi się temu przeciwstawić, chociaż szalona trema ściskała jej gardło. Trema, nie strach, bo nigdy nie bała się wygłaszać swoich sądów. (Tu śmiech, dygresja. Kiedyś na plenum KD głosowała przeciw uchwale egzekutywy, tak jak zapowiedziała w dyskusji. I w przerwie podchodzi do niej stary działacz, kolejarz, i mówi: „Janeczka, jakbyś miała kłopoty z robotą, to przyjdź do nas, załatwimy ci..."). Więc i teraz się nie bała, ale ta cholerna trema spowodowała, że połowę kartek zostawiła na sali, i to pierwsze strony. Serce uciekło do pięt, jak to przy debiucie. Ale jak się chce mówić o tym, czym się żyje, kartki do tego są niepotrzebne. I tak normalnie, po ludzku powiedziała, że jej zdaniem trzeba się brać za robotę zamiast rozpamiętywać, że partii trzeba pomagać pracą, a nie pięknymi przemówieniami.

I ta wiarygodność zrobiła na wszystkich wrażenie, poprawiła nastrój i zmieniła ton dyskusji. I towarzysz z Biura Politycznego to w podsumowaniu powiedział. I żeby jeszcze było bardziej fajnie i laurkowo, jak w polskim filmie, w jakiś czas potem awansowano Szydlecką na starszego instruktora w wydziale organizacyjnym KŁ.

7.

Epizod to w życiorysie, prawda, ale nie lekceważyłbym epizodów. Ten zwłaszcza nabiera wielu znaczeń, bo dotykamy tu tak ważnej sprawy, jaką jest awans. Albo może inaczej: groźba awansu który nie łączy się z pełnym przeglądem sytuacji człowieka, którego się przepycha na wyższy szczebel w hierarchii; z potrzeby chwili czy nawet w przypadku sprawiedliwego rozliczenia jej zasług.

— Nie odmówiłam, w partii musi być porządek i dyscyplina, ale źle się czułam. Ta robota jest ważna i potrzebna, ale to nie było dla mnie. Przychodzili ci z „Gwardii", gdzie nadal byłam członkiem POP, i dogadywali, że tu atrament spijam. Nie kryłam swej rozterki w domu, a mąż tylko kiwał głową. „Źle ci, bo ci rządzić nie dają". Po kilku miesiącach przyszła delegacja do KŁ, żeby mnie zwrócono. Tak powiedzieli: weźcie sobie tego, co jest, a nam oddajcie Janeczkę. Mój szef, teraz w ministry poszedł, ochrzanił mnie jak trzeba. Więc prosiłam swoich, żeby dali spokój, bo mi jeszcze towarzysze jaką naganę wlepią. Ale ci odczekali trochę i przyszli do towarzysza Koperskiego. Wezwał mnie pierwszy sekretarz, poszłam na miękkich nogach, ale mnie po ojcowsku potraktował i wyraził zgodę na mój powrót.

Wróciła więc na miejsce, które będzie jej miejscem, niezależnie jak się zwać będzie zakład, do którego zostanie skierowana. A o awansach będzie jeszcze mowa, bo są i takie, które nie łączą się ze zmianą biurka i dotychczasowym zajęciem.

8.

Przędzalnia Czesankowa im. Gwardii Ludowej zwana także w eksportowym kodzie „Polmerino", to zakład prawie ze stuletnią tradycją. Załoga tu twarda, ludzie politycznie wyrobieni. Akceptowali tu tylko dobrych sekretarzy: Dworniczaka, Pawłowską. Kadra administracyjna także zawsze na wyższym poziomie. Dobre wyniki produkcyjne, wysoka jakość, przędza w całości I gatunku.

Przodujący zakład, ale przez to nic w nim łatwiej. W dodatku stary, do dziś niepiękny. W 73 roku przeżywa piekło modernizacji. Tak, rodzaj trzęsienia ziemi, bo wszystko odbywa się w ruchu, i to jeszcze przy zwiększonych zadaniach. — Tylko z taką załogą — twierdzi Szydlecka ze zrozumiałą dla mnie przesadą — można było czegoś takiego dokonać — Tych wszystkich uciążliwych, trudnych prac i jeszcze zdobyć pierwsze miejsce w kraju i otrzymać tytuł zakładu dobrej roboty w konkursie Do-Ro. I jeszcze to i owo, fakty za faktami. Zostawmy je w spokoju, niech zostaną w bogatej kronice zakładu, złożonej w pierwszej w mieście zakładowej izbie pamięci i perspektyw.

Co jest jednak za tym krzepkim murem faktów?

Uciekam się do prowokacji, szukam dziury w całym, chcę ją nawet zdenerwować. Ale Szydlecka jak wie co robi, tak samo wie, co ma powiedzieć. I nie daje się nabrać. — Ja, mój drogi, nie odkrywam Ameryki, nie mam żadnych recept. Mam nieraz swoje babskie metody, cierpliwość, umiejętność kompromisu, bo mężczyźni są nieraz próżni, ale to normalna rzecz. Ja tu w zakładzie robię to, co jest potrzebne, a na zewnątrz mówię to, co oni myślą. Uosabiam tylko ich sukces. Jak wróciłam ze Zjazdu, to mi u kożucha wszystkie guziki poobrywali. To przecież nie ja, Szydlecka, ale ich sekretarz KZ Szydlecka została wybrana członkiem KC i przemawiała z trybuny Zjazdu. Tak samo na spotkaniu z towarzyszem Gierkiem przemawiałam w ich imieniu. No, dobrze mi wtedy poszło — mówi bez fałszywej skromności — bo mi nawet prezes TV, Szczepański, przysłał kwiaty.

Słyszałem, wiem, że dobrze poszło. Ach, te kobiety, te łódzkie baby, jak czasami z nutą czułości w głosie mówią tutejsi mężczyźni. Posłanka Świderska, Rupniewska, Urszula Płażewska autorka hasła, które obleciało cały kraj: po mnie poprawiać nie trzeba. Cała długa, honorowa lista. Ich głos się tu liczy, bo wiedzą co mówią i jaką siłę reprezentują w mieście. I mówią, chociaż czasami z kartek, to jednak z głowy i serca Tak samo jak Janka, niezależnie czy to jest narada robocza czy konferencja teoretyczna, plenum Komitetu Centralnego lub wojewódzkiego.

Mam na to dowód, kilka szarych teczek. Widzę kolejne wersje wystąpień, naniesione poprawki. Janina uzgadnia swoje wypowiedzi z najbliższym otoczeniem. Także w domu, z mężem i synem. Tak, żeby nie wypadło dretwo, nieprawdziwie. Tego boi się jak ognia, bo wie chyba instynktem działacza i kobiety, że w tym, jaka jest, jest jej siła i wartość, które trzeba uwzględnić, chcąc dla tych, których ona reprezentuje — i z nimi — dokonać kolejnego kroku.

Ale wróćmy do tego, co jest „na nie", by zintensywnić barwy, odciąć się od posądzenia o jednostronność. Życie nie poi słodyczą nawet tych, którym się niby wszystko udaje. Bo technika pracy, zasady, konsekwencja, siła kolektywu, więź z całą fabryczną społecznością — to jedna strona medalu. Po drugiej są konkretne przypadki. „Nasza Janeczka" musi, nie przestając być sobą, podejmować trudne decyzje, zgłaszać wnioski osobiście, nie zastawiając się decyzjami kolektywu. Życie z tego się nie składa, ale działacz partyjny musi to mieć wpisane w zakres obowiązków Tu następuje seria przykładów faktycznie bolesnych spraw. Ale na pocieszenie jakby Szydlecka dodaje: — Nigdy, póki to możliwe, nie rezygnuję z człowieka. Niezależnie kto to — robotnik, mistrz czy ktoś z kierownictwa. Przykre to nieraz, trudne, ale w większości wypadków opłaca się. Ludzie wszystko zrozumieją, nawet negatywny osąd, jeśli się im to mówi prosto w oczy, uczciwie. I nie żałuję czasu. Ja muszę znaleźć czas, żeby i kilka razy z kimś w jednej sprawie porozmawiać, jeśli to potrzebne. — Tak więc ma na swoim „koncie" wnioski o odwołanie z wysokich stanowisk, swoje veto przy awansach, odznaczeniach, rozliczanie z różnych grzechów powszednich szeregowych i aktywistów, bo ci także nie są wolni od słabostek.

Moje prowokacje w sumie jednak nie na wiele się zdają. Rzeczywiście, jak się zaczyna wymieniać cechy potrzebne do kierowania ludźmi spłaszcza się cały problem. Nic z tego nie wynika, z tej samoświadomości, j a k i m być. Trzeba dopiero, by cię za takiego uważali ludzie. I chociaż, jak odnoszę wrażenie, Szydlecka szybko zdobywa sympatię i autorytet, to ważniejsze jest, że potrafi go latami utrzymać. Bo lata muszą upłynąć, nim cię ludzie uznają za swego. Poznają nie tylko, jaki jesteś w pracy, co mówisz na zebraniu, ale jaki jesteś w ogóle, w życiu, w domu. I ostatecznie: czy więcej z siebie dajesz czy bierzesz? Bo przed ludźmi nic się nie ukryje, dosłownie nic. Czyż nie wiedzieli, że przez całe lata mieszkała z mężem i synem w jednym pokoju z kuchnią? Wiedzieli, bo niektórzy mieszkali obok, w lepszych warunkach. Jak to, że syn przepadł podczas egzaminu na Politechnikę, w dość dziwnych okolicznościach, i ani pomyślała, żeby odwołać się do rektora, z którym zasiadała w jednym prezydium. Czy wreszcie, że ma „tylko" Złoty Krzyż Zasługi, kiedy tyle wniosków przeszło przez jej ręce. I że tylko raz była z delegacją w zaprzyjaźnionym z Łodzią Iwanowie. Potem jeździły inne, już o to zadbała, mimo że niejako z urzędu mogła zaliczyć pół Europy. A więc zasada niby prosta: nie pchać się przed ludzi, nie dopisywać do czyichś zasług, rezygnować ze swojej kolejki, co wszystko w sumie jest mało efektowne, a wymaga żelaznej konsekwencji i charakteru. Znać swoje możliwości, ale nie kłuć nimi w oczy. Czy to ważne jest, kto powiedział ostatnie słowo? Niech nawet będzie, że to ja ustąpiłam, byle sprawa została popchnięta do przodu. To już moja babskość się odzywa, ale niech tam, każdy przyzwoity i skuteczny sposób jest dobry...

9.

Od czerwca 76 członek KC Janina Szydlecka przechodzi do kombinatu „Teofilów". Były inne propozycje, ale wybroniła się. Jej miejsce jest w zakładzie. A jaki to zakład? Jeden z większych w Europie, nowoczesny, nie zawaham się powiedzieć, piękny. Produkuje tkaniny bistorowe i ubiera tysiące ludzi. Na razie ze względu na konieczność spłaty kredytów produkuje głównie na eksport. W sumie: wizytówka polskiego przemysłu lekkiego.

Wydawałoby się, że Janka przyszła tu na łatwy chleb. Przeżyła już emocje rozstania z „Gwardią", gdzie z trudem przeforsowano jej odwołanie, bodaj w trzecim głosowaniu. Za nią już łzy rozstania, kwiaty i cicha pretensja, że odeszła... Teraźniejszość jednak nie daje powodów do hurraoptymistycznego zadęcia. Może tego optymizmu w ostatnich latach było w „Teofilowie" za dużo? Rzeczywiście, bistor, polska kremplina, to była rewelacja sprzed kilku sezonów. Odbiorca zagraniczny ponadto (słusznie) podniósł poprzeczkę jakościową. Na rynku wewnętrznym konkurencja. Magazyny przepełniają się niebezpiecznie.

I gdzieś na kilka dni przed naszą ostatnią rozmową czytam telegram w „Trybunie Ludu"... „co trzecia partia wyrobów z bistoru była reklamowana przez handel. W zakwestionowanych partiach co piąta sztuka była wadliwa. Oznacza to, że nastąpiło dalsze pogorszenie jakości dostaw, chociaż niedawno na łamach „TL" informowaliście o systematycznej poprawie waszej produkcji".

W kilka dni później, na łamach „Głosu Robotniczego" rzeczowa analiza sytuacji zakładu Konkluzja: ani tak źle, ani wspaniale... Janka zgadza się z tym określeniem. Rozumie, o jaką stawkę toczy się gra. Jeszcze w czerwcu zorganizowała plenum KZ na temat jakości. A w kwartał później KZ negatywnie ocenił realizację przyjętego programu. Nie jest jej na rękę ten telegram, bo są akurat w trakcie generalnych przemeblowań, przede wszystkim w myśleniu o przyszłości. Bo to nie tylko sprawa zmiany bistoru na teofan, produkcji nowych tkanin, modeli, rynku, marketingu... Ale myślenia, zaangażowania, świadomości, bez czego nie wypłynie się na szerokie wody. I bez organizacji partyjnej też się tego nie dokona. Sekretarz Janina Szydlecka wchodzi w nową rolę, by temu zadaniu sprostać. Ma już sojuszników i szuka dalszych. Wie, z kim i jak! Potrzeba jej tylko czasu.

JERZY WAWRZAK

P. S.

Powyższy tekst jest pracą napisaną jesienią 1976 r. na zorganizowany przez „Trybunę Ludu", „Życie Partii" i Wydawnictwo „Książka i Wiedza" konkurs reporterski. Reportaż został wyróżniony II nagrodą (I nie przyznano) i został opublikowany w nr 2 (297) w lutym 1977 r. w miesięczniku „Życie partii". Wersja obecna ze względu na objętość tekstu została nieco skrócona.

Decydując się na przedruk tego reportażu, uzupełniony aktualnym „aneksem", kierowaliśmy się przeświadczeniem, że warto tę tak „łódzką" sprawę przedstawić naszym Czytelnikom. Uwzględniliśmy również ograniczone możliwości lektury pierwowzoru i czas, który od publikacji upłynął. Także i sam temat — planując numer na Dzień Kobiet — skłaniał do prezentacji.

* * *

Oczywiście powyższe uwagi mają bardziej charakter porządkujący niż merytoryczny. Wiedziałem bowiem od początku tj. od chwili postawienia ostatniej kropki w tamtej opowieści, że muszę do tej sprawy wrócić. Rzecz jasna, nie miał sensu powrót zbyt wczesny. Zostawiłem swoją bohaterkę w sytuacji niezbyt godnej pozazdroszczenia, ale z jakże optymistycznym przeświadczeniem że wszystko będzie dobrze. Ta pewność — na czyjś rachunek — wydaje mi się obecnie niezbyt mądra. Ta autokrytyczna refleksja musiała przyjść dość szybko, bo od dawna dyskretnie obserwowałem co się dzieje w „Teofilowie". I przyznaję, z coraz większą ulgą kiedy dowiadywałem się, że wszystko idzie tam na lepsze. I już z jakimś cieniem własnej satysfakcji, że prognoza się sprawdziła, kiedy udałem się na rozmowę z I sekretarzem Komitetu Zakładowego partii w ZTK „Teofilów" Janiną Szydlecką.

Siedzimy jak przed trzema laty w tym samym sekretarskim gabinecie na czwartym piętrze biurowca. Nic się nie zmieniło. Janina tak samo „młodzieżowa" i elegancka w brązowym kostiumie z teolanu. Pijemy herbatę, wyjaśniam swoje intencje, ale cały czas nie mogę się pozbyć wrażenia, jakby tamte nasze rozmowy miały miejsce w ubiegłym tygodniu, niemal wczoraj. To chyba skutek obłędnego wyścigu z czasem, jakaś forma samoobrony. Zaczynam od końca, czyli od tamtego optymizmu na wyrost, wbrew wszelkim realiom, bo przecież znaleźli się niemal dosłownie pod pręgierzem opinii publicznej.

— Wcześniej — mówi Janina — pisano o „Teofilowie" zbyt dobrze, potem jak najgorzej. Sytuacja w zakładzie rzeczywiście była zła i wszyscy o tym wiedzieli, ale po artykule w „Perspektywach", telegramie „Trybuny Ludu", wytworzyła się atmosfera przygnębienia. Ludzie mieli poopuszczane głowy. Nie brakło też głosów, czy budowa takiego zakładu była w ogóle potrzebna...?

Nie zadałem tego pytania, gdyż nie jestem nowicjuszem w partyjno-menadżerskich sprawach, mianowicie: jakie czynniki zadecydowały o uzdrowieniu sytuacji w zakładzie? Jestem bowiem pewien, że było ich dziesiątki i każdy z kadry kierowniczej zakładu podałby mi odmienne przyczyny, a przynajmniej inaczej ustaliłby hierarchię ich ważności. Sekretarz komitetu partii także patrzy na sprawę po swojemu.

— Najważniejsze było odbudowanie w ludziach wiary, że potrafimy — mówi Szydlecka... Tak, łatwo teraz powiedzieć, ale ile to wymagało trudu i czasu, przemyśleń i działań, uporu a nawet determinacji, by doprowadzić do dzisiejszej sytuacji.

Przede wszystkim odwołano się do młodzieży, która stanowi sporo ponad połowę załogi. Dano im szansę współdecydowania, wykorzystując naturalną cechę młodych ludzi, jaką jest otwartość na zmiany, na wszelkiego rodzaju próby: żeby inaczej, lepiej, ambitniej.

Nie obeszło się bez drastycznych decyzji, chociaż nie miały one szerszego zasięgu. Do nowego, „sztandarowego" zakładu, produkującego po rozruchu tak atrakcyjny, dolarowy towar jakim wówczas była kremplina, przyszło sporo ludzi, którzy raczej myśleli kategoriami osobistego interesu. Ci szybko się zorientowali, że interes przestał być opłacalny i sami poumykali w trudnej sytuacji. Trzeba też było inaczej rozstawić ludzi z kadry, uprościć strukturę zarządzania i wprowadzić odpowiednie proporcje między tymi w biurach a na produkcji.

I sprawa najważniejsza z ważnych — ocena ludzi. Każdego. Przez przełożonych i towarzyszy pracy, samoocena także. Wynika to z zasady, której Szydlecka trzyma się od dawna, że l u d z i e s ą d o b r z y. Nic na to nie poradzimy, że jest to prawda okrutnie banalna, ale tak jest w życiu w ogóle. Rzecz w tym żeby to nie była tylko konstatacja na użytek różnych okazji. Jeśli ta prawda ma zaowocować trzeba dotrzeć do każdego człowieka, poznać go i zrozumieć jego potrzeby, poglądy i możliwości. Ocenić go sprawiedliwie i mówić mu prawdę, nawet gorzką. Trzeba na to wszystko znaleźć czas, formy organizacyjne i sojuszników.

Od tego jest właśnie partia w zakładzie, sekretarze i szeregowi członkowie. Od tego jest organizacja młodzieżowa i jej aktyw. Od tego są również ci bez żadnej legitymacji, którzy myślą szerzej, widzą dalej, chcą więcej nie tylko dla siebie. Tak powinno być wszędzie, bo w każdym zakładzie funkcjonują organizacyjne struktury. Tylko jak? I dość często, w krytycznej sytuacji, potrzebny jest ten bodziec z zewnątrz, przysłany odpowiedni człowiek na odpowiednie miejsce. Człowiek, świadomy swego zadania, krytycznie weryfikujący zastaną rzeczywistość, umiejący do swej wizji przyszłości zarazić innych, a swą energią i odda-

niem sprawie udowadniać na co dzień realność swych — już nie swych, a wspólnych — zamierzeń.

W „Teofilowie" tak musiało się stać. Organizacja partyjna musiała się umocnić, zaktywizować, aby sprostać sprawom z którymi przyszło się uporać. Umocnić, czyli pozyskać nowych, najlepszych spoza szeregów. I doszło ich ponad 400 w ostatnich dwóch latach. (Obecnie 27 proc. załogi to członkowie partii, a wśród członków POP jest 80 proc. robotników). Podobnie było z organizacją młodzieżową, praktycznie kiedyś istniejącą tylko na papierze, a dziś silną, 800-osobową grupą. Zaktywizować organizacje znaczyło także uczyć, doinformować, pobudzać ambicje i poczucie odpowiedzialności. Przede wszystkim u c z y ć się wszystkiego: organizacji, ekonomiki, myślenia politycznego, logiki działania. Inaczej nie rozwiąże się coraz bardziej skomplikowanych problemów, nie udźwignie zadań.

A więc sprawy ludzkie. Prawie wyłącznie one zadecydowały. Oczywiście nie mogło się obejść bez organizacyjno-technicznych czy nawet technologicznych przemeblowań. Istnienie takiego zakładu jak „Teofilów" ma sens, jeśli jego produkcja tj. dzianiny i konfekcja znajdzię zbyt w kraju i za granicą. Z tym jak wiemy w 1976 r. było fatalnie, doszło nawet do zerwania głównego kontraktu zagranicznego a krajowy rynek też ignorował wyroby „Teofilowa". Zaczęto więc uszlachetniać tkaniny naturalnymi dodatkami, zmieniać kolorystykę, wprowadzać atrakcyjne modele konfekcji. Pomijam ten wcale trudny obszar działań bez których zakład musiałby ogłosić upadłość. Obecne fakty są takie, że wyroby „Teofilowa" są chętnie nabywane, a niektóre, jak druki, sprzedawane spod lady. Psychologicznym testem zmian jakie nastąpiły może być fakt, że zatrudnione tu kobiety chętnie ubierają się w to, co same produkują. No, może jeszcze nie ze wszystkim tak jest, ale... 28 krajowych znaków jakości też ma swoją wymowę. W ub. roku uzyskano także pierwszy w branży międzynarodowy znak jakości „Q" za granatowe żakiety, które cieszą się szczególnym powodzeniem u wybrednych przecież Francuzek.

Przechodzimy więc siłą rzeczy do konkretów. A więc przede wszystkim jakość. Produkcja dzianin osiągnęła już 80 proc. produkcji w I gatunku, choć jest to proces nadal otwarty. 94 proc. konfekcji to także pierwszy gatunek. Tutaj sprawą zawsze aktualną jest elastyczność w reagowaniu na modę, projektowanie modeli, jakość otrzymywanego od kooperantów surowca itp.

Eksport. W trudnym okresie — od roku 78 — zakład spłacił inwestycyjne kredyty dewizowe swoją produkcją. Za ubiegły rok wynosiła ona 115 mln zł dewizowych, z tego ponad 40 proc. dla krajów kapitalistycznych.

Zakład dzieli więc swoje ekspansywne zainteresowania między produkcję eksportową i rynek wewnętrzny. Przypomniał sobie także o rynku... łódzkim. Lepiej późno niż wcale. Od kwietnia br. na Piotrkowskiej (w pobliżu Zamenhofa, w dawnym sklepie „Polmozbytu") w secesyjnej kamienicy na parterze i pierwszym piętrze otwarty zostanie sklep fabryczny. W pieczołowicie odrestaurowanym wnętrzu obok działów sprzedaży dzianin i konfekcji, na miejscu będzie krawiec dla ewentualnych poprawek, okresowo odbywać się będą pokazy mody. Na pewno to potrzebne i dla zakładu przedsięwzięcie, przypadnie do gustu łodzianom.

Dopisując to pozytywne „post scriptum" do reportażu, nie sposób pominąć spraw najbliższej przyszłości, i również tego co na niej ciąży. Wiadomo o co chodzi — skutki zimy?

Były wyłączania energii, zakłócenia dostaw, głównie z toruńskiej „Elany". Powstały spore zaległości w produkcji kombinatu, wynoszące ok. 200 mln zł wartości. Odrobienie tego nie będzie sprawą łatwą, a przede wszystkim szybką. Jest opracowany program odrobienia tych zaległości stopniowo, do końca roku. I jest to program realny, uwarunkowany jedynie wielkościami dostaw surowców. Podobnie jest z oceną realizacji planu rocznego. Jak będzie czym to na pewno się zrobi. Plan całego kombinatu, dopowiedzmy, jest niebagatelny, wartość produkcji zbliży się do siedmiu miliardów złotych. W przemyśle lekkim, w produkcji rynkowej i eksportowej to znacząca pozycja. Nic dziwnego, że teofilowski kombinat znajduje się w stałej uwadze instancji partyjnej, od komitetu dzielnicowego Bałut, Komitetu Łódzkiego po KC, a także zjednoczenia i ministerstwa. To także argument pomocniczy w optymistycznym myśleniu o przyszłości.

— Czego Ci więc życzyć, Janino, w przeddzień 8 Marca? — pytam na zakończenie. Na dziś i na jutro. Trudno ominąć taką okazję, chociaż jak wiem, dobrymi życzeniami piekło wybrukowane.

— Niczego — odpowiada sekretarz Szydlecka i mówi te słowa z pewnym skrępowaniem, ale z poczuciem odpowiedzialności za słowa które zostaną powielone, tak jak za swe czyny, które mają wielotysięczną rzeszę świadków i sędziów — ja żyję pracą i wszystkie ewentualne życzenia z nią się łączą. Więc życzyłabym sobie mniej kłopotów, ale co z tego? Wiem, że ich nie ubędzie, albo przybędą inne. Ja jestem po prostu szczęśliwa, że robię to co robię. Tutaj w zakładzie, w mieście i w KC, gdzie mnie szanują i liczą z moim głosem. (J. Szydlecka trzykrotnie występowała na plenum KC w bieżącej kadencji — JW). Nie mogę więc chcieć więcej niż mam. Wystarczy mi, że ludzie mnie znają, ufają mi i przychodzą do mnie ze swoimi sprawami, pomagają. Były chwile, kiedy przyszłam do „Teofilowa", gdy było mi bardzo ciężko. Myślałam, że nie dam rady, zrezygnuję, tak, miałabym odwagę złożyć sama rezygnację. W dodatku poważnie się rozchorowałam, ale to wszystko już za mną, chociaż... Wiesz — dodaje z zażenowaniem, które jest ciepłe i wzruszające — zdaje się że mam... nową miłość.

Rozumiem, trzy lata temu tak samo mówiła o „Gwardii Ludowej", o zawiązanych tam przyjaźniach i wspólnych zmaganiach. Nie bardzo wiem co odpowiedzieć, człowiek się boi słów na wyższym diapozonie. Uśmiecham się więc tylko i milczę, i myślę: jak żałosne byłoby to nasze życie bez takich miłości, że tu nagle, w tej chwili, w sekretarskim pokoju, podczas stereotypowej w gruncie rzeczy rozmowy — otarliśmy się o sens tworzenia.

DZIĘKUJĘ CI ZA TO, NASZA JANECZKO!

(JW)

POROZMAWIAJMY

z socjologiem doc. dr hab. Stefanią Dzięcielską-Machnikowską

NIE TYLKO O KOBIETACH

— Porozmawiajmy wobec tego nie jak kobieta z mężczyzną — dwoje rywali, ale jak człowiek z człowiekiem. Jakie jest wyjście z tej sytuacji, niekorzystnej przecież dla całego gatunku ludzkiego...

— Kultura. Po prostu kultura współżycia — jeszcze raz wrócę do tego — oparta o szacunek człowieka dla człowieka, wzajemną tolerancję, życzliwość, wzajemne dostrzeganie swoich aspiracji, potrzeb, możliwości. Nie załatwi się tego żadnym aktem prawnym. Zresztą egzekwowanie praw ze zbytnią pewnością siebie może narobić więcej szkód niż pożytku. Tak, jak kiedyś Mężczyzna traktował kobietę jak własność, tak teraz zrodził się typ Kobiet, które traktują jak własność mężczyznę. To zraża. To musi zrażać.

W ogóle rodzina jako najmniejsza komórka zbytnio się sformalizowała. Są prawa, są obowiązki — o tym się mówi, o tym się pisze długo i często. A gdzieś, tak na boczku, na marginesie, przycupnęły najistotniejsze sprawy — uczucia, emocje. Poczucie k o n i e c z n o ś c i, sformalizowania, wysuwanie na pierwszy plan obowiązków, a nie przywilejów, rodzi napięcia w tak delikatnej strukturze, jaką jest rodzina. Jasne, że na ogół przywileje jednej strony pociągają za sobą obowiązki drugiej. Ale nie jest bez znaczenia nad czym stawia się akcent.

— Czy Pani czuje się równouprawniona?

— Równouprawniona z kim?

— Z mężczyznami. Rozmawiamy przecież z okazji Dnia Kobiet...

— Ja osobiście, owszem, czuję się równouprawniona. Nie przyszło to łatwo, ale w końcu — mogę realizować swoje cele życiowe, zawodowe. Nie mam poczucia, abym w pracy była dyskryminowana dlatego, że jestem kobietą. Czuję, że po prostu patrzy się na mnie jako na człowieka. A to właśnie jest najważniejsze.

— A inne kobiety? Co Pani myśli o realizacji równouprawnienia w skali społecznej? Mowa oczywiście o naszym kraju.

— Trzeba by rozgraniczyć intencje od efektów. Ideologia, ustawodawstwo, czynią kobietę równą mężczyźnie, dają jej równe z nim prawa, równe możliwości. W praktyce jednak zdarza się, że ową równość rozumie się nazbyt dosłownie.

— ?

— Tak jakby nie było różnic między mężczyzną, a kobietą.

— Czy nie są temu winne po trosze i same kobiety? Wiele emancypantek, sufrażystek, nie mówię oczywiście o intencjach przywódczyń tych ruchów, manifestację równości przeprowadzało upodobniając się do mężczyzn. Jak gdyby wstydząc się tego, że są kobietami. Sposób bycia, ubiór, pozbywanie się za wszelką cenę atrybutów kobiecości — to była przecież nie tylko moda...?

— Przesadza pan. Typowo po męsku. To był jednak margines sprawy, która rozgrywała się wokół problemów poważnych i istotnych — równouprawnienia społecznego, politycznego, ekonomicznego kobiet.

— Nie, nie o to chodzi. Trzeba chyba w ogóle inaczej to pytanie postawić. Skoro uznano już kobietę, przynajmniej w naszym kręgu kulturowym, za człowieka, należałoby pytać czy każdy z ludzi — mężczyzn, kobiet, ma równe prawa i równe możliwości do tego, by być sobą, móc realizować swoje aspiracje w kręgu rodziny, w społeczeństwie. Swoje, a więc różne. Jest pan człowiekiem dorosłym, więc chyba pan zauważył, że się różnimy. Nie chodzi o to, aby z tych różnic wyciągać wnioski automatycznie — kobiety to, a mężczyźni tamto. Chodzi o podział ról, oparty właśnie o coś w rodzaju dogadywania się, o wzajemny szacunek człowieka dla człowieka. Tu dygresja. Nie uważam, aby trzeba było szanować kobietę za to, że jest kobietą, ludzi starszych za to, że są starszymi itd. Kobieta nie jest kobietą z własnego wyboru, człowiek starszy nie ma żadnej zasługi w tym, że jest stary. Taki rodzaj szacunku, konwencjonalnego raczej, niż szczerego, jest dla mnie podejrzany. Powinniśmy się zacząć uczyć szanować ludzi. Po prostu ludzi — a więc wszystkich: mężczyzn i kobiety, staruszków i dzieci. To byłoby naturalniejsze i zdrowsze społecznie. Zaczyną się to powoli rozumieć. Na przykład jedną z intencji Międzynarodowego Roku Dziecka jest właśnie zwrócenie uwagi na dziecko jako na człowieka. Nie na małą istotę, coś w rodzaju zabawki żyjącej o b o k nas, ale na c z ł o w i e k a, żyjącego r a z e m z nami, mającego swoje prawa i potrzeby, w tym także potrzebę samorealizacji. To jest zmiana sposobu myślenia. A może raczej — początek zmiany.

— Wspomniała Pani o podziale ról. Jak powinien on wyglądać?

— Gdzie? W rodzinie, w społeczeństwie?

— I tu, i tu.

— Dobrze, przesadzam. Wobec tego z innej beczki. Czy kobiety są zadowolone z równouprawnienia?

— Z efektów nie zawsze. Wtedy, kiedy przyrównuje się kobiety do mężczyzn i odwrotnie, dając im takie same obowiązki, trudno być uszczęśliwioną. Należałoby chyba inaczej wyważyć obowiązki kobiet, płynące choćby z faktu macierzyństwa, wychowania dzieci itp. W budżecie czasu już tego równouprawnienia nie ma. Z reguły zajęcia kobiety wynikające właśnie z faktu macierzyństwa, wychowania dzieci, prowadzenia domu, pochłaniają tyle czasu, że na wypoczynek, realizację osobistych zainteresowań już go przeciętnej kobiecie nie starcza.

— Wyjście z sytuacji...?

— Oh, utopijne. Na razie przynajmniej. Ale może, kiedyś, kiedy wszyscy to lepiej zrozumiemy.. Uważam, że należałoby odciążyć kobiety od części pracy zawodowej, skórcić im czas pracy zawodowej w ciągu dnia. Właśnie po to, aby miały go więcej dla siebie, aby mogły go wykorzystać tak, jak wykorzystują go mężczyźni w swoich gronach. Czy przeciętna kobieta może dziś, tak jak przeciętny mężczyzna, pograć w brydża, poczytać gazetę, poplotkować z przyjaciółmi?

— My nie plotkujemy...

— Plotkujecie, tylko inaczej to nazywacie. Nazywa się to wtedy rozważaniem problemów personalnych, dyskusją polityczną, itd., itp...

— Czy kwestii budżetu czasu nie można by rozwiązać inaczej? Dalej usprawniając pracę instytucji wychowawczych — żłobka, przedszkola, szkoły, bo ja wiem — domu kultury...

— To według mnie, choć jest niezbędne z innych względów, przede wszystkim dydaktycznych, nie rozwiąże sprawy do końca. Bo, moim zdaniem, wychowaniem dzieci powinna się zajmować przede wszystkim rodzina — czyli kobieta wraz z drugą częścią rodziny...

— Przyznam, że jestem nieco zaskoczony. Jako naukowiec zajmuje się Pani, mówiąc najogólniej, zagadnieniami pracy kobiet i zawodów feminizujących się. Spodziewałem się...

— ...mniej tradycyjnego poglądu? Dlaczego chce mi pan odmówić prawa do rozsądku? Nie jestem emancypantką, sufrażystką, feministką czy kimś tam jeszcze z historii. Tamte panie musiały walczyć, i to niekiedy dosłownie, o swoje prawa. W takich sytuacjach traci się niekiedy rozsądek. Dziś już, przynajmniej w naszym kraju, nie chodzi o walkę z męską częścią społeczeństwa o prawa kobiet. Przesunęły się cele, akcenty, nie musimy być już tak radykalne. Mam wrażenie, że chodzi raczej o rozsądne dogadanie się dla dobra rodziny, społeczeństwa.

— To brzmi jak wezwanie do odwrotu, na z góry upatrzone pozycje.

— Jeśli pan tak to ocenia... Ale to jest chyba jedyna rozsądna pozycja. We wszystkich badaniach dotyczących systemu wartości, ludzie wymieniają na pierwszych miejscach dwie wartości nadrzędne. Są nimi — praca i rodzina. Z tym, że mężczyźni na pierwszym miejscu wymieniają pracę, kobiety zaś — rodzinę. Kiedy czytam wywiady z ludźmi na stanowiskach, często spotykam u rozmówczyń refleksję — pytanie: czy warto osiągać wysoką pozycję zawodową kosztem życia osobistego. Mężczyźni prawie nigdy nie stawiają tak sprawy. Dla nich praca jest życiem osobistym.

— Czy wobec tego kobiety mają nie pracować? Powrócić do trzech „k"?

— W rodzinie powinno to być dogadywanie się człowieka z człowiekiem. To sprawa indywidualna. Tego normować się nie da. Ja osobiście nie lubię mężczyzn w kuchni, ale nie sugeruję modelu, w którym kobieta miałaby siedzieć w kuchni, a mężczyzna zarabiać na życie. Ten model i w ogóle sztywne modele przeżyły się. W rodzinie każdy model jest dobry — partnerski, z dominacją mężczyzny, z dominacją kobiety — byle by był akceptowany przez całą rodzinę.

— A w społeczeństwie?

— Na omówienie tej problematyki nie starczyłoby całych „Odgłosów". A więc tylko jeden z wątków. Powiedzmy — praca zawodowa.

— Może zawody feminizujące się, zgodnie z Pani specjalizacją...

— Dobrze. Tutaj, w wielu dziedzinach, doszliśmy do absurdu. Nie mówię oczywiście o kobietach

— traktorzystach, bo na szczęście dawno już doszliśmy do przekonania, że ani traktor nie robi dobrze kobiecie, ani kobieta nie radzi sobie dobrze z traktorem. Ale powiedzmy — pielęgniarstwo, zawód uznany u nas „tradycyjnie" za kobiecy. Tymczasem czy pan wie, że dopiero od wojen krymskich pojawiła się świecka służba pielęgniarska kobiet? Dawniej, poza zakonami, „tradycyjnie" zawód ten pełnili mężczyźni — wymaga on przecież nie tylko kobiecej, ale i męskiej ręki — także siły fizycznej, odporności psychicznej. A tymczasem u nas tak się utarło, że pielęgniarze, poza bardzo specjalnymi służbami medycznymi, należą do rzadkości.

Tak się utarło. Ale nie tylko. Powodem feminizacji niektórych zawodów jest, niestety, wojna. Zawsze tak się działo, że gdy brakowało mężczyzn, po każdej wojnie ich role społeczne musiały przejmować kobiety. A później przeradzało się to w „tradycję".

— Według mnie szczególnie niepokojąca społecznie jest feminizacja zawodu nauczycielskiego. Nie jest chyba dobrze, że młodzi ludzie wychowywani są prawie wyłącznie przez kobiety?

— Ma pan rację. Tu powinna panować równowaga. Jeśli jej nie ma, następuje przewaga „kobiecych" wzorców zachowań, przenoszenie cech. To musi wywoływać niekorzystne konsekwencje, tak jak wywołuje je k a ż d y brak równowagi...

— Czy panowanie kobiet w wychowaniu, uczeniu, nie doprowadzi do tego, że będziemy mieli coraz mniej „męskich" mężczyzn?

— Jeśli miałabym żartobliwie pobawić się w futurologię, powiedziałabym, że może nastąpić bunt mężczyzn przeciw takiej sytuacji. Dominacja jednej strony może wywołać agresję u strony drugiej...

— Może wobec tego porozmawiamy o mężczyznach. Jak myśmy się zmienili — jeśli się zmieniliśmy — od czasów pani O. de Gouges, która podczas rewolucji francuskiej wysunęła „Deklarację praw kobiety i obywatelki". Jak na nas oddziałuje współczesny ruch Woman Lib.

— Zmieniliście się, oczywiście. Zejść z pozycji pana i władcy do roli co najwyżej partnera, jeśli nie podwładnego — to musi wywołać zmiany. Niestety, nie zawsze na korzyść. Kiedyś mężczyźnie „z natury" przysługiwało wykształcenie, pieniądze, władza. Teraz, jeśli chce mieć to samo, musi być „tym bardziej" mężczyzną. Musi bronić się przed dominacją. To rodzi stresy. Także swego rodzaju rewolucja seksualna nie wpłynęła korzystnie na samopoczucie mężczyzn.

Foto: A. Wach

Człowiek, że użyję młodzieżowego wyrażenia, potrzebuje luzu. Nie lubi być obwiązany sznureczkami, za które ktoś ciągnie. Dlatego też, chyba jako reakcja między innymi na zbytnie sformalizowanie stosunków między ludźmi, coraz częstsze staje się współżycie ludzi bez formalizowania faktycznego związku. To oczywiście rodzi kolejne problemy — wchodzi w grę interes dzieci — a jako zjawisko o pewnej skali społecznej, daje do myślenia. Człowiek będący pod ciągłą presją wymogów społecznych, rodziny, zorganizowany, zobowiązany, zaczyna się interesować wolnością własną, osobistą. Bywa, że przeradza się to w egoizm, aspołeczność, ale to już nowy wątek, nowe sprawy.

— Rozmawiamy, jak już wspomniałem, przy okazji, w związku, z Dniem Kobiet. Jaki jest Pani stosunek do tego święta?

— Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o święta tego rodzaju, znacznie ważniejszy jest dla mnie Dzień Matki. A Dzień Kobiet — myślę, że także to święto się sformalizowało. Bywa, że jest dla kobiet utrapieniem. Mężczyźni strasznie są tego dnia zajęci, późno wracają do domu, tak, że czasami nie wiadomo, czyj to dzień.

— W związku z Dniem Kobiet składam Pani życzenia naj...

— ...dlaczego?

— Czuję do Pani szacunek, za to, że porozmawiała Pani ze mną po męsku, jak z człowiekiem... A raz nawet przyznała mi Pani rację.

Rozmawiał: JERZY KATARASIŃSKI

WSZYSTKIE SĄ NASZE

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

W Polsce, oprócz Warszawy, mamy jeszcze wiele innych stolic. Dla przykładu — Sopot jest letnią stolicą Polski, a Zakopane zimową, Katowice są stolicą województwa a Opole piosenki — oczywiście krajowej, bo mamy jeszcze stolicę piosenki radzieckiej i piosenki wojskowej. Fakt faktem: każde miasto i miasteczko przejawia jakieś ambicje stołeczne z powodu tej czy innej przewagi i na tej zasadzie pragnę od dzisiaj obwołać Rabkę STOLICĄ POLSKICH DZIECI.

W porównaniu z innymi stolicami, do czego jeszcze wrócę, Rabka jest stolicą upośledzoną, aczkolwiek powinno być odwrotnie. Jej specyfika nie opiera się przecież o spędy towarzyskie i festiwalowe fajerwerki, a stołeczna kadencja nie trwa tylko cztery dni w roku i nie ma charakteru sezonowego.

Rabka, jakby to powiedział młodzieżowiec, pracuje na okrągło: latem i zimą, jesienią i wiosną. Od pewnego czasu wszystko, co dzieje się w Rabce, podlega żelaznym rygorom w myśl hasła: WSZYSTKO DLA DZIECI.

Owa dziecięca dyktatura jest starszym nie w smak. No, bo tak: w sektorze sanatoryjnym jest tylko jeden sklep monopolowy. Bar z piwem i wódką zamykają już o ósmej wieczorem. Wszystkie pozostałe lokale gastronomiczne, nie wyłączając kawiarni „Szarotka", gdzie odbywają się dancingi i refrenista śpiewa zbolałym falsetem „marynarskie tango", o dziewiątej. Nawiasem mówiąc: w żadnej restauracji nie wypijesz kieliszka „czystej", sprzedaje się tylko i wyłącznie alkohol gatunkowy i wysokogatunkowy, wystarczająco drogi, aby zniechęcić pijaków.

Jedna pani, która trafiła do Rabki przed dziesiątą, a była właścicielką dużego fiata i męża, który tym fiatem powoził, otóż owa niewiasta odkręciła szybę i wystawiając przez okno utlenioną grzywę mówi do mnie:

— Nie wie pan, gdzie można o tej porze coś zjeść?

Odpowiadam uprzejmie:

— Nigdzie.

— A przynajmniej coś wypić? — zaniepokoił się zdrożony mąż-kierowca.

— Nie — burzę wszelakie złudzenia. — O tym nie może nawet być mowy.

— Co za cholerny grajdoł? — wrzeszczy dama w moim kierunku, jakbym był wszystkiemu winien. I do męża — niedojdy: — A mówiłam, żeby jechać prosto do Zakopca!

Ano, miała pewnie rację (żeby jechać), ale jeszcze większą rację miały władze miasteczka (żeby ograniczyć wyszynk). W Rabce — w Komitecie, w Urzędzie Miasta, w Sanatoriach i Przychodniach uznano, iż częściowa prohibicja zapewni Rabce spokój i słusznie. Na skraju nocy, kiedy dzieci zapadają w sen, nie grają saksofony i nie słyszy się pijackich śpiewów. Nie znaczy to wcale, iż miejscowa ludność i nieliczni dorośli wczasowicze stronią od kieliszka, ale struktura gastronomii jest taka, że upijać można się tylko w dzień, nocą obowiązuje strefa ciszy.

2.

Rabka zawdzięcza swą sławę wspaniałemu klimatowi. Specjaliści twierdzą, iż jest to klimat „łagodny, lekko bodźcowy, potęgujący siły obronne organizmu, pobudzający krążenie krwi, oddychanie, zwiększający poziom hemoglobiny we krwi i działający tonizująco na układ nerwowy".

W informatorze można przeczytać, że ciśnienie atmosferyczne jest tu stosunkowo niskie (715 mm), a powietrze wyjątkowo czyste o specyficznym aromacie okolicznych lasów, pól i łąk górskich. Szczególną cechą klimatu jest ponadto prawie zupełny brak mgieł oraz duża ilość dni słonecznych (2000 godzin słonecznych rocznie). Jeśli dodać do tego niewielką ilość opadów (898 mm) i minimalne wahania temperatur w ciągu doby (zarówno zimą jak i latem), jeśli wspomnieć piękny krajobraz, znakomite tereny spacerowe i narciarskie oraz bogactwa naturalne (solanki i borowinę ludźmierską) o wyjątkowych właściwościach leczniczych, można bez przesady powiedzieć, że mamy do czynienia z miejscowością o walorach niespotykanych.

W Rabce można leczyć praktycznie wszystko: przewlekłe schorzenia dróg oddechowych, zapalenie migdałków i zatok obocznych nosa, schorzenia alergiczne skóry i błon śluzowych, schorzenia układu krążenia w stanie wyrównanym, przewlekłe stany zapalne narządów ruchu, stany zapalne nerwów obwodowych i choroby układu mięśniowego, nerwice różnego tła i pochodzenia, stany pooperacyjne itp. W zasadzie przeciwwskazania ograniczają się tylko do gruźlicy, czynnej choroby wrzodowej i ostrych chorób zakaźnych.

Nie wiem czemu nurtuje mnie podejrzenie, iż wszystkie te dobrodziejstwa przyrodo-lecznicze otrzymałyby staranniejszą oprawę, gdyby Rabka była uzdrowiskiem dla ludzi dojrzałych. Niestety, Rabka jest tylko dla dzieci. Do Rabki rzadko przyjeżdżają bonzowie i nie za często zagraniczni turyści. Rabka nie ma w sobie nic snobistycznego, nie ściąga więc nawet, tak jak na przykład Zakopane, żądnej wrażeń młodzieży.

Janusz Leśniak, zastępca naczelnika Urzędu Miasta i Gminy, zwierza się dziennikarzowi z nie ukrywaną goryczą:

— W porównaniu z innymi kurortami: Zakopanem, Karpaczem czy Szklarską Porębą, Rabka jest kopciuszkiem, jeśli wziąć pod uwagę nakłady inwestycyjne. A przecież jest wiele sloganów na temat naszej miłości do dzieci, wiele wspaniałych deklaracji i obietnic.

Pytam o działania we własnym zakresie.

Janusz Leśniak powiada, że konsekwentne gospodarowanie w Rabce zaczęło się właściwie dopiero w siedemdziesiątym czwartym roku, kiedy to miasto podzielono na trzy strefy i zaczęto tego podziału przestrzegać. Jest zatem strefa „A" — uzdrowiskowa, gdzie mieszczą się wszystkie dziecięce sanatoria, prewentoria i szpitale, strefa „B" (mieszkania i zakłady usługowe) oraz obrzeżna strefa „C" (tereny turystyczne, ośrodki wczasowo-wypoczynkowe, rolnictwo i drobna wytwórczość).

Foto: Archiwum

Jeśli ktoś zawędruje na jeden z okolicznych szczytów i przyjrzy się Rabce z pewnego dystansu, ze zdziwieniem dojdzie do wniosku, że balsamiczne powietrze nad tym miastem nie jest znowu takie czyste. W dolinie kłębi się smog, wyziewy z kominów i pieców, żółta chmura, która przypomina trochę widok na Łódź z Rudzkiej Góry. Toteż władze miasta postanowiły oczyszczać systematycznie strefę „A", owo dziecięce Eldorado, uwalniając ją, jak to się mówi po wojskowemu: w marszu, z pozostających tu jeszcze kotłowni, baz transportowych, ciastkarni, piekarni, pralni i innych małych przedsiębiorstw.

W sumie — 55 takich jednostek czeka wciąż na dyslokację.

W ślad za ogólnym podziałem na strefy, opracowano szczegółowo plany przestrzennego zagospodarowania Rabki, i od tej pory niczego nie buduje się już na żywioł. Bez względu na interes miejscowej ludności, strefa „B" i „C" została ściśle podporządkowana strefie sanatoryjnej. Każdy budujący się dom i zakład ma swoje ściśle określone miejsce, zatwierdzone wcześniej przez władze. W strefie „A" mają prawo powstawać tylko obiekty rekreacyjne i sportowe, zresztą — ogólnodostępne, z których mogą korzystać wszystkie dzieci, miejscowe i przyjezdne, a także, w wypadku takich obiektów jak lodowiska, baseny kąpielowe czy korty tenisowe — również i starsi.

Strefa „A", gdzie w czasie budowy różnych obiektów, nie tylko sanatoryjnych, padło wiele wspaniałych brzóz, sosen i świerków, zostanie na nowo udrzewiona i ukwiecona. W rozległym parku powstaną w najbliższym czasie trzy dodatkowe ścieżki zdrowia. Kawiarnia „Zdrojowa", pozornie nieszkodliwa, zostanie ewakuowana w inny punkt miasta, a w jej pobliżu już buduje się nowy Zakład Przyrodoleczniczy. Ten stary, jeszcze funkcjonujący, ale... w opinii działaczy i lekarzy spełniający raczej symboliczną rolę, ustąpi w 1984 roku miejsca doskonale wyposażonemu kombinatowi (fizykoterapia: lampy kwarcowe, solux, diatermia krótkofalowa, kąpiele czterokomorowe, diadynamik, ultradźwięki; hydroterapia: kąpiele solankowe i kwasowęglowe, bicze szkockie, masaże lecznicze, zabiegi borowinowe oraz inhalacje solankowe i olejkowe), zdolnemu przyjąć dwa i pół tysiąca pacjentów dziennie.

Tak więc, dysponując skromnymi funduszami i nie rozporządzając żadnym przedsiębiorstwem budowlanym (trzeba w tym zakresie odwoływać się do pomocy Nowego Sącza i Zakopanego), rabczańskie władze dzielnie krzątają się wokół swoich spraw. Budują na przykład oczyszczalnie ścieków, remontują drogi, stawiają muszlę koncertową, udało im się zorganizować sztuczne lodowisko, cztery szkoły podstawowe dysponują własnymi boiskami sportowymi, jest kilka torów saneczkowych i, prymitywnych bo prymitywnych, wyciągów narciarskich, zwanych w żargonie „wyrwirączkami". Na Maciejowej wybudowano wspaniałą Bacówkę z gorącą kuchnią i kilkunastoma miejscami noclegowymi, a na tutejszych stokach planuje się pierwszy wyciąg orczykowy.

Skąd bierze władza pieniądze na te inwestycje?

— Ano — mówi Janusz Leśniak — trochę dostajemy z województwa, trochę zarabiamy na swoich dwudziestu domach wczasowych, dzięki narzutowi na kawę i herbatę, współpracują z nami także wszyscy czterej gestorzy, to znaczy: Państwowe Przedsiębiorstwo „Uzdrowiska", Instytut Matki i Dziecka, Sanatorium Kolejowe im. M. Nowotki oraz Śląski Ośrodek Rehabilitacji Dziecięcej im. W. Pstrowskiego. Owym czterem gestorom podlegają wszystkie tutejsze placówki lecznicze, a jest ich parędziesiąt.

Naszej rozmowie przysłuchuje się jakiś czas naczelnik Urzędu Miasta i Gminy, mgr inż. Andrzej Słupski. Potem, od ludzi postronnych, dowiaduję się, że obydwaj naczelnicy, podobnie jak działacze partyjni i lekarze, odznaczają się tutaj, w Rabce, jedną wspólną cechą: kochają dzieci. Człowiek, który nie przejawia takich sentymentów, nie zagrzeje tutaj długo miejsca. Dla kogoś z wielkiego ośrodka przemysłowego brzmi to bardzo egzotycznie. Na konferencjach, naradach, egzekutywach mówi się w zasadzie bez przerwy o dzieciach — transport dla dzieci, żywność dla dzieci, rozrywki dla dzieci...

Kiedy zapytałem o największe bolączki miasteczka, nie mówiono bynajmniej o zaopatrzeniu i usługach, usłyszałem natomiast, że:

— Władze od dawna (i bezskutecznie) walczą o Dom Kultury dla dzieci starszych i młodzieży, która wieczorami przesiaduje w zadymionych kawiarniach, albo snuje się po wyludnionych ulicach.

— Sławny tutejszy Teatr Lalek „Rabcio Zdrowotek", znany nie tylko w Polsce, ale również w wielu krajach Europy, grający zawsze przy szczelnie wypełnionej sali i cieszący się ogromną sympatią najmłodszych widzów, od lat boryka się z trudnościami lokalowymi — próbuje w haniebnych warunkach, a wystawia w zaadaptowanej ruderze.

— Aby urządzić w Rabce jakąś imprezę muzyczną, estradową lub poetycką trzeba zawiesić seans w jedynym kinie „Śnieżka", albowiem brak w miasteczku jakiejkolwiek sali widowiskowej.

— Piszę — w miasteczku. Ale Rabka nie jest znowu takim małym miasteczkiem. Liczy przecież, wraz z gminą, około 16 tysięcy mieszkańców, a z szacunków Urzędu Miasta wynika, iż młodzi kuracjusze, wczasowicze i turyści niemal każdego miesiąca podwajają tę liczbę. Inaczej mówiąc — na każdego tubylca przypada jeden przyjezdny, co tworzy trzydziestotysięczną społeczność.

3.

10 lutego rozpoczęła się w Rabce uroczysta inauguracja Międzynarodowego Roku Dziecka. W sobotę i niedzielę odbyło się w różnych punktach miasta kilkadziesiąt imprez kulturalnych i sportowych — zjazdy i biegi narciarskie, zawody saneczkowe i łyżwiarskie, tańce, kuligi, popisy ratownictwa górskiego, bale kostiumowe na lodzie dla dzieci młodszych i starszych, gawędy przy ogniskach, projekcje filmów rysunkowych. W godzinach wieczornych miejscowy zespół kolędniczy odwiedzał dziecięce sanatoria ze śpiewem i muzyką. Rozdano wiele nagród niemal wszystkim uczestnikom imprezy. W udekorowanym świątecznie mieście było gwarno i wesoło — obwieszone lampionami drzewa zamieniły się w choinki, kolorowe, ogromne rysunki, przedstawiające najczęściej uśmiechnięte słońce, zdobiły wiele ośnieżonych stoków górskich.

Był to pierwszy, wielki akord bogatego programu rocznego.

Wierzę, iż Rabce uda się zrealizować w bieżącym roku swój skromny program „powiększenia zasobów materialnych na rzecz dziecka" — że rozpocznie się budowa Zakładu Pneumatologicznego dla Dzieci Wiejskich, że powstanie przedszkole na osiedlu im. Orkana, że w marcu ruszy Dziecięce Miasteczko Ruchu Drogowego, zaś prawdziwe, zanieczyszczające atmosferę samochody, otrzymają zakaz wjazdu do strefy „A", że projekt wzniesienia Stanicy Harcerskiej jako ośrodka wakacyjnych form wypoczynku dla dzieci i młodzieży zacznie się powoli materializować.

Wierzę także, co wydaje się zresztą łatwiejsze, iż zrealizowana będzie większość imprez kulturalnych i sportowych, przewidzianych w bogatym kalendarzu Międzynarodowego Roku Dziecka. A czego tu nie ma!

Wystawy malarstwa dziecięcego,

Spartakiady międzyszkolne.

Halowe mistrzostwa w piłce nożnej i wielu innych dyscyplinach sportowych,

Rewie piosenek dziecięcych i konkursy dziecięcej literatury,

Konkurs zabawek ludowych i palm wielkanocnych,

Kilka lalkowych premier teatralnych,

Spotkania z ciekawymi ludźmi, którzy tworzą dla dzieci — pisarzami, filmowcami, rzemieślnikami, rzeźbiarzami i gawędziarzami.

Co jeszcze? Tenis, ping-pong, biegi przełajowe, wycieczki, wieczornice, bale. Nie sposób wyliczyć całej tej litanii do końca — w sumie, do 15 grudnia 1979 roku przewidziano ponad pięćdziesiąt wielodniowych dekad rozrywkowych, które przysporzą dzieciom wiele emocji i radości.

Władze Rabki oraz wszelkie zainteresowane instytucje dziecięce stanęły zatem na wysokości zadania. A przecież...

Wciąż nurtuje mnie przeświadczenie, iż losy „Republiki Dziecięcej" pozostają trochę na uboczu innych spraw — pewnie dlatego, że Rabka leży daleko od centrum.

Powiedziała mi jedna z matek:

— Przyjazd tutaj z jakiegokolwiek punktu Polski, a później, po paru tygodniach, powrót do domu, to prawdziwa gehenna.

Ano, tak! dalekobieżne autobusy i pociągi omijają Rabkę. Wysiadasz w oddalonej o kilka kilometrów Chabówce. Parę taksówek dawno już zdążyło odejchać, na postoju ogromna kolejka ludzi z płaczącymi dziećmi na rękach. Wysiadający z wagonów tłum atakują dorożkarze:

— Do Górnej Rabki, panie tsysta!

Naiwni płacą, sprytni próbują się targować:

— Nie za drogo, panie gazdo? Sto pięćdziesiąt.

— Jezusku! — skamle woźnica. — Panocku, kuń mi zzera w tydzień owsa za tysiąc.

— Dwieście.

— Wsiadajta. Ale po drodze, wiecie, jest bar, to postawita kielicha.

Cierpliwi i oszczędni przybysze czekają godzinę lub dwie na miejscowy pociąg, który podwozi ich półtora kilometra w stronę Rabki. Ale stąd do strefy „A" ciągle jeszcze daleko, toteż jedni polują na takcówki, inni ustawiają się na przystanku autobusowym, a jeszcze inni znowu wpadają w dorożkarskie szpony.

Powrót odbywa się w identycznych warunkach, jeśli jednak twój pociąg odchodzi z Chabówki w nocy albo późnym wieczorem, o tym, żebyś złapał jakąś brykę czy taksówkę, nie masz nawet co marzyć. Załóżmy jednak, że doczłapiesz się jakoś z bagażem i dzieckiem na stację w Chabówce.

Chryste!

Wtłocz się teraz w pociąg zakopiański, który zmierza przez Kraków do Warszawy, Łodzi czy Olsztyna! O tym, żeby organizować w Rabce jakiś punkt przedsprzedaży miejscówek nikt dotychczas nie pomyślał. A jeśli nawet pomyślał, to kolei się to nie opłaca. Bo co to w końcu taka Rabka. Grajdoł z dzieciarnią, na poboczu drogi, która wiezie do Zakopanego zamożnych cwaniaków z nartami.

Prawda silniejszego zawżdy lepsza bywa — jak powiedział poeta Trembecki.

Dzieci, to my, owszem, bardzo wszyscy kochamy, pod warunkiem, że nie mieszają nam w interesach.

WSZYSTKO DLA NICH

JANINA HABDAS

Z cyklu „Oczekiwanie"

Z cyklu „W matni"

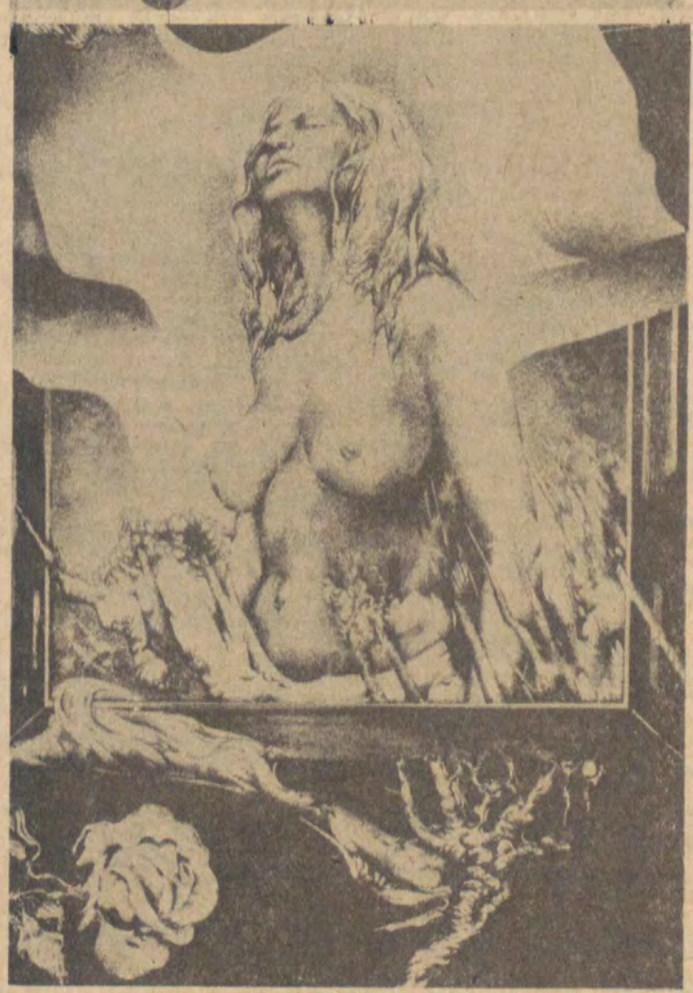

POEZJA

KRYSTYNA KONDEK

★ ☆ ★

natarczywe ptaki zamyślenia
siadły
na sztywnym
nerwie drutu
przerywając obwód
ostrymi ołówkami dziobów

tak giną
jeszcze nie poczęte myśli

ALICJA DASZKIEWICZ

★ ☆ ★

błądząc wśród białych kwiatów
pamiętaj, że oczy ich parzą głęboko
nawet gdy gryf utkał kobierzec z igieł
deszcz zgasił aplikę
i gra allegro na szybie

CZESŁAWA POLITAŃSKA

★ ☆ ★

Żyć
w cieniu przyszło jasno do łez
wywraca się wszystko stoi nieruchronnie
palców do pięć razy bezwładnych wyszło
latawce rzucać pół żywcem pół serio
z pudełeczka raju fotografie stare
dokonanych miłości doskonałych zbrodni

w cieniu każdej rzeczy która jego jest

EWA FILIPCZUK

★ ☆ ★

odwieczne łzy to dziecko nie umie zapanować
nad przeznaczeniem ciemnymi ścieżkami
jeszcze ich nigdy nie widział mój syn ale płacze
kiedy zmęczona stwarzam niedzielne miraże
kiedy kochając rzucam to co za mną było
kiedy bronię się śmiechem syn tęskni i płacze
jak pomóc dziecku więcej wie ode mnie

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

★ ☆ ★

Don Juanie Motywie i Wzorze
Miasto Westchnień
Domie Złoty Cierpienia
Gdy przykładnie kulista jest ziemia
W centymetrach zamierzone przestworze
I nic nie ma
Nic nie ma
Nic nie ma

instytucjo dla ekspedientki
dla kucharki i poetki i żony
wejdź w to życie sterylnie sprzątnięte
i sterylne potarmoś łóżka
Kwiatki jaśka hafty na poduszkach

Zniszcz ten ogród co tylko gdy słońce
i ten grysik i ten dżem na śniadanie
W centymetrach zmierzone przestworze
i przykładnie kulista jest ziemia
Więc tęsknoty naucz Don Juanie
Don Juanie naucz niespełnienia

KRYSTYNA STRYSZOWSKA

W MOJEJ POCZEKALNI

w mojej poczekalni
nie rosną hiacynty ani róże
w mojej poczekalni
zakwitają ogryzki i przetarte bilety

ostatni pociąg przejechał tędy
trzy miesiące
trzy obroty słońca
trzy drgnięcia ust
i trzy łzy temu

do mojej poczekalni
nie zachodzą pijacy
ani też cebulowe staruszki
czasem tylko cień kuca przy drzwiach
aż go kurz pokryje

JOANNA SKWARCZYŃSKA

NIE ZGASISZ

Nie zgasisz mnie wodą, nie uchwycisz mnie siecią,
jestem ptakiem, płomieniem i gdzie zechcę polecę.
Wodę spalę, sieć minę i przefrunę nad dłonią,
nie prześladuj mnie tęsknie swą miłosną pogonią.
Nie prześladuj mnie prośbą, ani groźbą i płaczem
I gdy zechcę powrócę, i gdzie zechcę polecę,
nie uchronisz dla siebie blasku mego jak świecy,
którą stawiasz przy łóżku, by ci równo świeciła,
by Ci czarność samotną, mniej samotną czyniła.

Jestem tylko płomieniem, tylko blaskiem i cieniem
gdy nie zechcę, nie wrócę, i w co zechcę się zmienię.
A gdy wreszcie pojmiesz wszystkie moje sposoby,
przyjdzie starość i niemoc i położę Cię w grobie.
Zgadnij teraz, nim spłyniemy w ziemię,
Czy to wiersz o miłości czy też twórczę natchnienie.

WIESŁAWA SMOLICHOWA

HALINA BATOROWICZ-SIEK

JANINA BOROŃSKA

URSZULA BEREŹNICKA-PNIAK

TERESA GALICKA

WIESŁAWA SMOLICHOWA — kierownik Domu Filmu i Plastyki na Bałutach

— Czy u nas, w Polsce, istnieje równouprawnienie?

— Oczywiście!

— Na czym ono polega?

— Jak to na czym?

— No, czy może na przykład, na tym, że jest pani kierownikiem poważnej placówki?

— Kierownikiem jestem tutaj od dwóch tygodni. Przedtem prowadziłam bibliotekę ŁDK. A co do równouprawnienia, to największe kontrowersje budzi sprawa płac. Kobiety zatrudnione na równorzędnych stanowiskach nie zawsze mają takie same pensje, jak mężczyźni. A równe płace, kierownicze stanowiska, czy szerzej: w ogóle możliwość pracy zawodowej, to właśnie równouprawnienie. Ale po cichu powiem panu, że — moim zdaniem — kobieta powinna pracować tylko na pół etatu...

— Czy na skutek tego równouprawnienia pani dzieci chodzą „z kluczami na szyi"?

— Dziś mam już dorosłą córkę, ale jak wiele dzieci i ona chodziła kiedyś z kluczami. Od siódmego roku życia musiała myśleć nie tylko o szkole, ale i o całym domu. To były piękne chwile, szczególnie kiedy się wracało z pracy...

Sądzę, że kobieta na kierowniczym stanowisku nie powinna być zanadto obciążona rodziną. Na ogół jednak jest odwrotnie. Kobieta, która awansuje w pracy, zajmuje stanowiska kierownicze, to także działaczka społeczna, partyjna, związkowa. A do tego ma jeszcze normalny dom, rodzinę, męża, który lubi domowe obiady... Rzecz tylko w tym, jak to wszystko pogodzić. A pogodzić można tylko kosztem wyrzeczeń. Przy tym kobieta musi sobie dzisiaj wyznaczać cele zasadnicze, nadrzędne i nie rezygnować z nich dla drobiazgów.

— Czy z faktu, że ma pani dom i dziecko wynikają jakieś korzyści dla pani pracy zawodowej?

— Chyba tak. Jeszcze na studiach interesowałam się psychologią, nauczaniem, myślałam, że będę pracować w szkole. A wychowanie własnego dziecka sprzyjało zainteresowaniu się rozwojem dzieci w ogóle. Niewątpliwie ułatwia mi to podejście do dzieci i rodziców, z którymi stykam się na co dzień w pracy. A na takich kontaktach opiera się praca naszej placówki. Poza tym pomaga wytwarzać ciepłą, rodzinną atmosferę, by ludzie nie czuli się u nas intruzami. Tę umiejętność wynosi się właśnie z rodziny: trzeba najpierw nauczyć się żyć w najmniejszej komórce, a potem doświadczenie samo się już przenosi na szersze życie społeczne.

— Czy żałuje pani może czasem, że nie jest mężczyzną?

— Raczej nie. Kobiety są wytrwalsze w swych dążeniach. Ktoś powiedział, że kobieta nigdy nie wie czego chce, ale jak już wie, to ma dość sił, aby to osiągnąć... Mnie się wydaje, że współczesna kobieta wie czego chce i... na ogół to osiąga.

HALINA BATOROWICZ-SIEK — dziennikarz w „Głosie Robotniczym"

— Czy wybierając zawód wzięła pani pod uwagę fakt, że jest kobietą?

— Nie zdążyłam, bo to nie ja wybrałam zawód, to dziennikarstwo wybrało mnie. Kiedy byłam w klasie maturalnej wygrałam konkurs na reportaż w poważnym, warszawskim tygodniku. Pracę wydrukowano, a moje nazwisko w druku tak mi strasznie zaimponowało (nie nagroda, a nazwisko właśnie!), że postanowiłam zawsze, już przez całe życie, podpisywać się w gazecie...

— Czy kobieta-dziennikarz może sobie pozwolić na założenie rodziny, na dzieci?

— Naturalnie. Dziennikarstwo jest zawodem jak każdy inny, może tylko bardziej od innych absorbującym czasowo, wymagającym gotowości o każdej porze dnia i nocy. Dla kobiety-dziennikarki jest rzeczą idealną, jeżeli: mieszka z matką, bądź z teściową (co oznacza, że w każdej chwili może na dłużej opuścić dom, nie obawiając się o bezpieczeństwo dzieci) i ma męża wykonującego inny, „normalny" — jakby powiedziała moja matka — zawód.

— A więc nie popiera pani małżeństw dziennikarskich?

— Jeżeli dwoje ludzi kocha się bez pamięci, a tak się akurat złożyło, że są dziennikarzami, to powinni ze sobą zostać. Bezwzględnie powinni, bo uważam, że miłość jest w życiu wszystkim. Jednakże dla rodziny, dla dzieci przede wszystkim lepiej jest, gdy jedno z rodziców, przy absolutnym zaabsorbowaniu zawodowym drugiego, ma więcej wolnego czasu i spokojniejsze nerwy.

Kiedy moje córki — wychowywane zresztą przez moją matkę — dorosły, mogłam pozwolić sobie na trzecie dziecko głównie dlatego, że mąż pracując w innym zawodzie, w normalnym wymiarze godzin, cały swój wolny czas poświęca naszemu synkowi. A ja, po południu, mogę spokojnie pisać w redakcji, albo w domu.

— Czy obecność mężczyzn, a przecież w dziennikarstwie jest ich więcej, odczuwa pani jako konkurencję?

— W naszym zawodzie nie płeć decyduje o sukcesach, a talent przede wszystkim. Raczej rzadko w konkursach prasowych, na przykład, przegrywam z kolegami. Jeśli zaś chodzi o awanse? W finansowych traktowana byłam zawsze na zasadach równości, a o kierownicze nie zabiegam, bo nie lubię „organizować", wolę pisać.

— Jakie korzyści dla pracy zawodowej, w pani wypadku oczywiście, płyną z faktu, że jest pani kobietą?

— Mam wrażenie, że należy mówić o korzyściach dla czytelników, raczej. Otóż kobiecie-dziennikarce o wiele łatwiej dotrzeć do najtrudniejszych nawet źródeł informacji. Jeśli czasem, co się zdarza, nie pomaga prasowa legitymacja, staram się załatwić sprawę jako kobieta. I załatwiam! No bo wreszcie u nas, w kraju, większość funkcji kierowniczych pełnią przecież mężczyźni!

JANINA BOROŃSKA — aktorka Teatru Nowego

— Jest taki stary przesąd w teatrze, że aktorki nie powinny zakładać rodzin. Co pani o tym myśli?

— Moja profesor w szkole teatralnej Jadwiga Chojnacka w ogóle nie uznawała aktorskich małżeństw. Mnie się niestety udało wyjść za mąż jeszcze w czasie studiów, a przecież je skończyłam! Staramy się tylko z mężem trzymać zasady, aby nie grać razem, nie być w jednym teatrze. To mogłoby być krępujące...

— Czy nie uważa pani, że małżeństwo sprzyja stabilizacji, a w naturze pani zawodu jest ruch, ciągłe zmiany scen, partnerów, reżyserów? Czy tym samym wychodząc za mąż nie zaprzeczacie naturalnym prawom zawodu?

— Tak, ale jesteśmy kobietami i każda z nas chce mieć swój dom, swoich bliskich. Bo jak się ma tylko teatr, to można przeżyć duże rozczarowania.

— Czy praca w teatrze, kolejne role, partnerowanie mężczyznom pomogło pani poznać lepiej ich psychikę, w tym również męża?

— Myślę, że to pytanie nie dotyczy tylko teatru. Przecież czytając każdą literaturę możemy jakoś odnosić zalety i wady występujących tam mężczyzn do bliskich nam osób. Ale to, czy na scenie partnerował mi pan X, Y czy Z nigdy nie rzutowało na mój stosunek do męża. Gra w teatrze jest również sprawą wyobraźni, aktor musi zawsze stać obok postaci, mieć do niej dystans. Inaczej musielibyśmy na przykład obawiać się, że każda sztuka, która porusza sprawy męsko-damskich trójkątów, może nas zepsuć...

— Życie aktorki jest nerwowe, pełne pośpiechu. Pani syn wzrasta w tej atmosferze. Nie martwi to pani?

— Bardzo. Nie dalej jak wczoraj wezwana pilnie do dubbingu, musiałam odwołać rodzinną wycieczkę do lasu. Syn był niepocieszony... Życie aktorskich dzieci jest ciągłym czekaniem na rodziców.

— Czy chciałaby pani, aby syn był aktorem?

— Na razie marzy o budowaniu statków kosmicznych. Mimo to próbuje sił w filmie, dubbingu. Nie będę protestować, jeśli sam wybierze aktorstwo.

— Zawód aktora wymaga obnażania się, zarówno w sensie psychicznym, jak i fizycznym nieraz. Choć jest to naturalna część zawodu, w którym ciało to najważniejsze tworzywo, sam fakt rozebrania się aktorki na scenie zawsze wywołuje sensację, komentarze, a nieraz sam dla siebie ściąga widzów...

— Wraca pan do mojej roli Albertynki w „Operetce". Otóż wydaje mi się, że najbardziej żenujące jest to tylko wtedy, kiedy się o tym mówi, rozbija na drobne. Toteż kiedy mówiło się o tym podczas prób, byłam zażenowana (choć rozebrałam się dopiero na próbie generalnej). Natomiast, kiedy stanęłam przed publicznością, moja nagość była moim kostiumem...

— Na domiar — czego wielu widzów mogło nie zauważyć — nie była to nagość dosłowna, ale trykot...

— Na prawdziwą nagość na scenie nie zgodziłabym się. Dziś, grając Albertynkę, mam wrażenie, że jestem ubrana. Ubierają mnie światła, cała sceneria. Poza tym nagość u Gombrowicza jest konieczna, bez niej nie istnieje puenta. Gdy w finale nagość zostaje przykryta, Gombrowicz staje się gorzki, bo w rzeczywistości absolutna nagość nigdy nie jest możliwa; wracamy do operetki, do strojów które nosimy na co dzień zapięte pod szyję... I powiem panu na koniec, że mój 10-letni syn również był na tym przedstawieniu. Proszę sobie wyobrazić, że w ogóle nie zadał mi pytania na ten temat...

URSZULA BEREŹNICKA-PNIAK — artysta muzyk

— Wybrała pani specjalność rzadką wśród kobiet — perkusję. Jak do tego doszło?

— Naukę muzyki zaczęłam, jak większość dzieci, od gry na fortepianie. W perkusji zafrapowała mnie różnorodność barw i brzmień, ogrom możliwości gry, łączenia instrumentów. Myślę, że nie ma człowieka, którego by perkusja kiedyś nie intrygowała. A że kobieta na perkusji? No, cóż, z początku miałam pewne obawy. Grając, robiłam wszystko, aby cechy kobiece nie były widoczne. Kiedy mówiono mi, że gram za mocno, za głośno, nie traktowałam tego jako zarzutu. Byłoby gorzej — odpowiadałam — gdyby gra moja była zbyt miękka... Oczywiście, rodzina sądziła, że wybór instrumentu podyktował mi słomiany zapał. Koledzy również powątpiewali. Natomiast moi nauczyciele, prof. Włodzimierz Skowera w łódzkiej Średniej Szkole Muzycznej i doc. Jerzy Zgodziński w poznańskiej PWSM, dodawali mi wiary w siebie, za co dziś jestem im wdzięczna. I tak złowróżbne krakania nie sprawdziły się, a z perkusją związana jestem już dwadzieścia lat.

— Wybitny dyrygent, Artur Nikisch, powiedział kiedyś, że perkusja to serce orkiestry. W potocznej opinii jednak perkusja jest nie doceniana. A przecież to, że potraficie grać na tylu instrumentach świadczy raczej o waszej wyższości... Czy ta specjalność zaspokaja pani ambicje, czy stwarza większe możliwości wykonawcze?

— Tak, zwłaszcza w muzyce współczesnej, która jest istnym rajem dla perkusistów. Dzisiaj kompozytorzy piszą nierzadko na perkusję solo, czy na kameralne zespoły perkusyjne. Jako wykładowca w łódzkiej PWSM, prowadzę szkolny zespół perkusyjny. Dla studentów jest ona właściwie jedyną możliwością grania muzyki współczesnej.

— Jakie cechy powinien posiadać perkusista?

— Obok zdolności muzycznych — pracowitość, wytrwałość, wszechstronność. Choć to może zabrzmi jak przesada, sądzę, że w początkach nauki perkusja wymaga nie mniejszej pracy niż fortepian czy skrzypce.

— A jakie jest pani zawodowe marzenie?

— Aby częściej grać solo, co będzie — mam nadzieję — możliwe, gdy nasze dzieci nieco podrosną.

— Czy pani mąż nie namawiał pani nigdy do zmiany specjalności?

BYĆ

— Poznaliśmy się, kiedy byłam już perkusistką, musiał się więc dostosować... I wzajemnie, bo instrument, na którym gra mój mąż — tuba jest rzadki, bardzo trudny i również niedoceniany.

— Nie obawia się pani konkurencji ze strony męża?

— Jeżeli istnieje konkurencja, to na pewno zdrowa. Natomiast zrozumienie, doping, często szczera krytyka są pomocą.

— Małżeństwa aktorskie unikają pracy w jednym teatrze. Państwo gracie w jednej orkiestrze — Filharmonii Łódzkiej. Czy to nie krępujące?

— Nie, bo gramy na innych instrumentach. Poza tym staram się nie zważać na obecność męża. Chociaż gdy on gra, zwłaszcza coś bardzo odpowiedzialnego, to myślami jestem zawsze przy nim. Często zdarza się zresztą, że gramy razem, bo kotły i tuba to instrumenty o podobnym rejestrze. Koledzy się wtedy śmieją: Uwaga, teraz małżonkowie grają razem... W zasadzie jednak to nikogo nie dziwi. W naszym środowisku muzyczne małżeństwa nie są niczym rzadkim...

TERESA GALICKA — zastępca kierownika księgarni „ŚWIATOWID"

— Ile jest w Łodzi księgarń?

— Pięćdziesiąt.

— A w ilu rządzą kobiety?

— W większości.

— Dlaczego, jak pani myśli?

— Bo nasz zawód jest w ogóle sfeminizowany, panowie wolą iść do innych, lepiej płatnych. Poza tym kobiety przykładają się bardziej do pracy, są bardziej dokładne...

— Jak długo pracuje pani w księgarstwie?

— Od 1972 roku.

— A na stanowisku kierowniczym?

— Od 1974.

— Czyli prawie od razu została pani zastępcą kierownika? Dlaczego?

— Nie wiem. Pewnie się nadawałam.

— Ale to było możliwe dzięki czemuś...

— Dzięki systematyczności, opanowaniu... To jest bardzo potrzebne, bo jak ktoś jest roztrzepany, to sobie rady nie da.

— Dziewczyny często bywają roztrzepane?

— O, bardzo często!

— Poprzednio — o ile wiem — pani szefem był mężczyzna. Od niedawna „Światowidem" kieruje kobieta, która — chyba nie z awersji do dziennikarzy — nie chciała z nami jednak rozmawiać. Który szef pani bardziej odpowiada?

— Nie ma specjalnej różnicy.

— Księgarnia pracuje od jedenastej do dziewiętnastej. Doliczając czas na dojazdy można by powiedzieć, że jest pani w pracy praktycznie cały dzień. Co na to rodzina?

— Rodzina? Musi się zgadzać!

(Głos z boku): — Ona nie ma jeszcze rodziny...

— Ale będę miała!

— A chciałaby pani mieć męża-księgarza?

— Chyba nie...

— Dlaczego? Z powodu zazdrości?

— Może. Może byłby wyżej ode mnie albo co... Zresztą małżeństwa księgarzy są rzadkością. Przynajmniej w Łodzi znam w tej chwili tylko jedno.

— Czyli na razie nie boi się pani konkurencji?

— Nie, bo jak tylko chce się dobrze pracować, to konkurencja jest niestraszna.

KOBIETĄ...

JANINA TWOREK-PIERZGALSKA — artystka-plastyk, docent w łódzkiej PWSSP

— Pani specjalnością jest tkanina artystyczna, w potocznej opinii zajęcie typowo babskie...

— Ja nigdy nie dzielę sztuki na „męską" i „kobiecą". A jak ktoś tak mówi o tkaninie to się irytuję. Tkanina artystyczna to nie robótki ręczne, a poza tym w historii bywało bardzo różnie. Autorami najdawniejszych, znanych dziś tkanin byli mężczyźni. W Ameryce Południowej i na Wschodzie przy krosnach siedzą mężczyźni. Kobiety tylko pomagają, farbują wełnę itp. Realizacja należy wyłącznie do mężczyzn. U nas, w Polsce tak się składa, że tkaniną zajmują się głównie kobiety. Ale nie jest to żadną regułą. Co roku mam w swojej pracowni w PWSSP kilku studentów.

— Czy fakt, że jest pani żoną i matką inspiruje pani twórczość?

— Własne życie rodzinne nie było nigdy tematem moich prac, choć na pewno wiele z atmosfery domu, z rozmów jakie w nim prowadzimy, bywa — pośrednio — inspiracją. Niedawno jednak powstał wyjątek: gobelin „Portret podwójny", będący właściwie portretem męża i córki. Sądzę, że był to przypadek.

— Czy to, że stała się pani w pewnej chwili żoną i matką, zmieniło pani sytuację jako artystki?

— Spowodowało szalony doping. Nie ukrywajmy, że sytuacja kobiet zarówno u nas, jak i na całym chyba świecie, jest bardzo trudna, wymagająca ogromnego poświęcenia, wielkiego wysiłku. Jeżeli chce się pracować mieć dom i dzieci, trzeba być jednocześnie w paru miejscach i pełnić kilka funkcji, czego nie doświadczają mężczyźni, bo nie muszą doświadczać. I to rozbicie ról wypełnia, a raczej przepełnia nasze życie. Trzeba być za służącą, za żonę i matkę no i jeszcze trzeba — z wewnętrznej potrzeby — zostawić coś po sobie — jakiś trwalszy ślad. Godzenie spraw domu ze sprawami sztuki jest rzeczą jasną ofiarą, sądzę jednak, że nie należy się przed nią zanadto bronić. Izolacja, trwanie wyłącznie w kręgu sztuki nie dałyby nigdy kobiecie pełnej satysfakcji, byłyby chyba jakimś skrzywieniem...

— Pani mąż również jest plastykiem. Nie obawiała się pani nigdy konkurencji?

— Wprost przeciwnie. Nasze małżeństwo jest ciągłym ścieraniem się, permanentną rywalizacją, daje ogromny napęd do działania. A przy tym, choć bardzo szanuję rady męża i tak zawsze robię po swojemu. I wzajemnie. Kiedy chwalę obraz męża, zaraz go zmienia...

Ale nie powinnam o tym wszystkim mówić, bo przez cały czas gadamy o mężczyznach, a pan podobno robi wywiad z okazji Dnia Kobiet... Czy to jest fair zadawać takie pytania? Gdyby to był Dzień Mężczyzn powiedziałabym panu, co o nich myślę... A tak właściwie wszystkie pytania, które pan postawił, powinnam uznać po prostu za niebyle...

ZOFIA KWAŚNIEWSKA — dyrektor Dzielnicowej Biblioteki na Bałutach

— Jaką część pani podwładnych stanowią mężczyźni?

— Średnia roczna to — od paru lat — jeden. Poza kierownikiem introligatorni, który pracuje u nas od dawna, pojawiają się wprawdzie mężczyźni, ale są to przelotne ptaki: maturzyści, którzy nie dostali się na studia, absolwenci, którzy nie mogą podjąć pracy w swoim zawodzie. A w ogóle przewaga kobiet jest specyfiką bibliotek publicznych. Inaczej jest w naukowych.

— Czy uważa pani ten stan za wynik emancypacji?

— Emancypacja nie dotyczy jedynie zawodu bibliotekarza, pan to niepotrzebnie zawęża, choć nasz zawód jest bardziej sfeminizowany niż inne. Wystarczy powiedzieć, że na pięć bibliotek dzielnicowych tylko jedną kieruje mężczyzna...

— Ale o czymś to świadczy? Czy może o tym, że w niektórych zawodach — jak właśnie bibliotekarstwo, księgarstwo, nauczycielstwo — emancypacja nie jest żadnym osiągnięciem, bo dokonała się dość łatwo: mężczyźni nie stanowili i nie stanowią konkurencji?

— O to trzeba by raczej spytać mężczyzn!

— A nie sądzi pani, że z pewnych, wyłącznie męskich cech mogłyby płynąć jakieś specjalne korzyści dla pracy bibliotek?

— Nie, bo ja nie dzielę predyspozycji zawodowych według płci. Dla mnie liczy się osobowość, poziom wiedzy. Jeżeli mówię, że bibliotekarz powinien być skrupulatny, to wcale nie twierdzę, że jest to cecha obraźliwa dla mężczyzn, czy też że nie powinni oni kształtować jej w sobie...

— A gdyby w tej chwili zgłosiło się do pani dwoje kandydatów: kobieta i mężczyzna o podobnych walorach, stażu, wiedzy... Kogo by pani wybrała?

— Musiałabym rozmawiać z jedną i drugą osobą, poznać je bliżej. Wtedy bym wybrała.

— Poza pracą w bibliotece udziela się pani społecznie. Z czego to wynika?

— Nie jest tego tak wiele. Kieruję zespołem do spraw kultury przy KD PZPR na Bałutach, pełnię funkcję zastępcy skarbnika w Zarządzie Oddziału Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Nie jestem typem działacza. Myślę też, że nie traktuję tych swoich, społecznych ról „zastępczo" wobec obowiązków żony i matki, których na razie nie mam.

— Ciekawi mnie, czy z chwilą założenia rodziny zrezygnuje pani z części tych funkcji. Oczywiście, może pani nie odpowiedzieć...

— Odpowiem panu. Zrezygnuję na pewno, ponieważ sądzę, że wychowanie dzieci będzie wówczas dla mnie sprawą najważniejszą...

ALICJA PAWLAK — śpiewaczka, solistka Teatru Wielkiego

— Czy ten big-beat, który dobiega z pokoju pani syna, nie razi pani ucha?

— Mój niebawem 18-letni syn lubi także inne rodzaje muzyki, interesuje się muzyką poważną, bywa na moich premierach i jest zawsze surowym krytykiem chociaż — jak mi się wydaje — jest również moim cichym wielbicielem...

— No tak, ale czy oba interesy: artystyczny i rodzinny nie kłócą się ze sobą? Rodzina, dziecko — czy to dobre dla artystki?

— Nie wyobrażam sobie, bym nie miała dziecka. Cóż warte jest życie, kiedy nie ma dla kogo żyć? Mówi się czasem, że artysta żyje dla ludzi. Tym niemniej chciałam mieć coś swojego, bliskiego, drogiego — czym może być tylko dziecko. Oczywiście, są trudności. Odczuwamy je oboje. Bywa, że kiedy wieczorem przychodzę z teatru zmęczona, syn pragnie rozmowy i w jego wieku jest to naturalne. — Mimo zmęczenia — zbieram się do kupy i staram się być matką... Nieraz te rozmowy trwają do późna i rano oboje wstajemy zmęczeni.

— Czy syn wybiera się w pani ślady?

— Nie. Jestem temu nawet przeciwna. Zanim poszłam na scenę, miałam zamiar studiować w akademii medycznej. Wygląda na to, że syn zrealizuje niedoszły zamiar matki. Co nie znaczy, że żałuję iż wybrałam ten właśnie zawód. Nie wyobrażam sobie abym go mogła zmienić. Od najmłodszych lat przyzwyczajałam się do artystycznego trybu życia: jeszcze jako nastolatka trafiłam do Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk". Przez 12 lat wiodłam cygański żywot, byłam w 34 krajach, wiele widziałam. Kiedy przyszło dziecko, trzeba się było ustabilizować. Dzisiaj mam dość sił, aby łączyć pracę z domem. Po prostu trzeba sobie wszystko wcześniej planować, żyć z zegarkiem w ręku. Oczywiście, odbywa się to zawsze kosztem czegoś. W moim przypadku nie starcza po prostu czasu na jakieś specjalne życie prywatne.

— Spotykam się czasem z narzekaniami aktorek, że współcześni dramaturdzy faworyzują mężczyzn, że role męskie są pełniejsze, dają większe możliwości aktorskie, że jest ich więcej. A jak to jest w literaturze operowej? Czy panie również są pokrzywdzone?

— Ogólnie biorąc mężczyźni mają większe pole do popisu. Ale i wśród głosów kobiecych jest ono nierówne. Na przykład niewiele jest dużych, ciekawych partii na mój głos — mezzosopran.

— Czy bywa to powodem zazdrości, żalu?

— Zazdrości na pewno nie. W swojej karierze nieraz śpiewałam partie piękne i trudne. I zapewne będę śpiewać. Choćby w „Don Carlosie", który jest najbliższą moją premierą w Teatrze Wielkim i ostatnią przed wyjazdem na dwuletni kontrakt do RFN. W sztuce tej śpiewam piekielnie trudną partię Eboli, która napisana jest wyżej niż partia sopranowa — Elżbiety...

Czasem jednak czuję żal. Na przykład śpiewając partię Suzuki w „Madame Butterfly" żałowałam, że nie jestem sopranem, że nie mogę zaśpiewać partii tytułowej, w której można przekazać wszystko, całą duszę kobiety.

Myślę, że gdybym śpiewała Butterfly — płakałabym na scenie, a widownia musiałaby płakać razem ze mną...

JADWIGA KUDRZYCKA — reżyser filmowy

— Czy to, że jest pani kobietą i że ma pani dom, wpływa jakoś na pani twórczość filmową?

— Na pewno. Przede wszystkim dlatego, że wychowywanie dziecka pozwoliło mi lepiej poznać psychikę małego człowieka. Chociaż w tej chwili trochę zapomniałam jak ona wygląda: mój syn jest już licealistą...

— Czy zawód reżysera nie przerasta sił „słabej płci"?

— Z tym bywa różnie. Praca u nas, w „Semaforze" różni się od pracy w wytwórni filmów fabularnych. Tam rzeczywiście czasem trudno jest kobiecie dźwigać cały ciężar ekipy, znosić długotrwałe wyjazdy w plener itp. U nas natomiast praca jest jak gdyby zminiaturyzowana, warunki — bardziej kameralne. Więc i wysiłek chyba mniejszy. Toteż wśród reżyserów filmów dla dzieci spotyka się sporo kobiet.

— A jak się pani układa współpraca z mężczyznami?

— Jeżeli chodzi o ostatni mój film, o „Muminki" które realizuję na zmianę z parą kolegów-reżyserów dzieląc się odcinkami, to ekipa jest właściwie kobieca. Kiedy indziej różnice płci się tak zacierają, że w końcu po prostu się o nich nie pamięta. Dla mnie przynajmniej różnice te nie mają znaczenia. W gorączce pracy zapominam o tym, że jestem kobietą, czy raczej muszę — z konieczności — zapomnieć...

— Zawód reżysera należy chyba do najbardziej absorbujących. Czy starcza pani czasu na życie rodzinne?

— Istotnie, ten zawód pochłania wiele czasu i to nie tylko w okresie zdjęć. Bywa też, że nad serialem pracujemy bez przerwy i wówczas w domu jestem rzadkim gościem. Tak było podczas pracy nad „Misiem Colargolem", który to film realizowaliśmy w dodatku poza Łodzią, w Tuszynie. Nie wiem doprawdy, jak bym sobie poradziła, gdyby nie pomoc matki...

— Co pani sądzi o emancypacji?

— Sądzę, że wymyślili ją mężczyźni, chyba tylko po to aby teraz wypominać ją kobietom...

— Ale uważa się pani chyba za kobietę wyemancypowaną?

— Z racji mojej pracy — tak.

— I nie żałowała pani nigdy, że jest pani kobietą?

— Nie.

— Dlaczego?

— Po prostu jako kobieta nie miałam nigdy powodu żałować.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA-KUŹNIAK — pisarka

— Idąc na to spotkanie kupiłem nową książkę znanego krytyka sztuki Jacka Woźniakowskiego. Jej tytuł: „Czy artyście wolno się żenić?" podsunął mi pierwsze pytanie. A zatem: czy artystkom wolno wychodzić za mąż...?

— Wciąż pokutuje u nas to rozumienie statusu poety, które pozostawiły romantyzm i Młoda Polska. A więc, że poeta to pijak, narkoman, latawica... A tak naprawdę, to poetą się bywa. Kiedy bywam poetką, przeszkadza mi mąż i dziecko również. Ale kiedy nią nie bywam, to jestem szczęśliwa, że mam dziecko i godzę się z tym, że... mam męża. Bywa jednak i tak, że obowiązek rodzinny nie pozwala mi właśnie na zapisanie pomysłu wiersza. Po chwili nastrój pryska i nie sposób już do niego wrócić. Wraz z nim — ginie wiersz. Już się nie narodzi...

— Czy w miarę upływu czasu chwile poetyckiego jasnowidzenia nie są coraz rzadsze?

— Z pewnością piszę teraz mniej wierszy. Piszę za to tylko z wewnętrznej potrzeby i dlatego uważam, że ta poezja jest dla mnie ważniejsza niż dawniej... A wracając do pierwszego pytania: sądzę, że kobieta powinna mieć dziecko. Kobieta pisząca do tego dziecka powinna mieć jeszcze męża, po to, żeby w odpowiedniej chwili mógł się tym dzieckiem zająć...

— A jeżeli i on w tej samej chwili chce napisać wiersz? Czy nie sądzi pani, że to podejście jest jednak trochę egoistyczne? Pani mąż jest również pisarzem. Co on o tym sądzi?

MIROSŁAW KUŹNIAK: — Szczerze i autentycznie powiem panu, że artyści nie powinni się żenić... To jest zawód stresowy, wieczna huśtawka nastrojów, wzlotów i załamań, euforii i klęsk. Ale przecież każdy z nas — piszących — musi mieć chociaż jednego oddanego wielbiciela dla tego co pisze. I najczęściej takim wielbicielem bywa mąż, albo żona. Wszyscy mogą zwątpić w mój talent, tylko nie żona. I to jest jedyny argument „za" małżeństwem...

DOROTA: — Krótko mówiąc, artyści będą mogli się nie żenić, kiedy pojawi się zawód „potwierdzacza"...

— Mamy mało miejsca, a chciałbym jeszcze zadać drugie pytanie. Czy pani dom, rodzina, dziecko inspirują pani poezję?

— Inspirują mnie tylko przeżycia wewnętrzne. Kiedy zostałam żoną i matką, musiało to wpłynąć na moją twórczość, bo to stało się we mnie, nie — poza mną. Z tym że piszący z bodźców wewnętrznych muszą żyć mocniej niż ci, których inspiruje świat zewnętrzny. No a to się trochę kłóci z rolą żony i matki...

— Czy pani mąż jest tematem wierszy?

— Nie. I — o ile wiem — z wzajemnością...

— A córka, czteroletnia Joanna?

Joanna — bunt, Joanna — miłość
I ból, co kości moje łamał.
Dziecko, co kiedyś mi się śniło,
Teraz na moich śpi kolanach
W tamtej godzinie z piór i z ognia,
Gdy czas oszalał i oniemiał,
I przyniósł mi noc mojej śmierci
i dzień twojego narodzenia —
Ach, rozdzielono nas, rozdarto,
Od ciała oderwano ciało,
Nad twoim życiem pochylona
Jakże o tobie wiem dziś mało
Dorodny owoc mego ciała
Rozwija mi się, o radości,
O bólu, oto znowu rośnie
Człowiek do swojej samotności...

Rozmawiał:
TOMASZ SOLDENHOFF
Zdjęcia: W. Parys

JANINA PIERZGALSKA-TWOREK

ZOFIA KWAŚNIEWSKA

ALICJA PAWLAK

JADWIGA KUDRZYCKA

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA-KUŹNIAK

Z KUBAŃSKIEGO notatnika

ZBIGNIEW DOMINO

20.XI.78

Wolanowskiego zainteresowała przetwórnia krewetek. Gospodarze wiozą nas więc do fabryki, która mieści się w portowej dzielnicy Regla. Mówiąc szczerze, próbowałem krewetek parę razy, ale jak dotąd do tego specjału wielkiego nabożeństwa nie nabyłem. L. Wolanowski — odwrotnie — twierdzi nie tylko, że jest to przysmak, co się zowie, ale że „frutti di mare", to w niedalekiej przyszłości podstawowe pożywienie ludzkości. Być może.

Ubrano nas w białe fartuchy, czepki i maski na usta — tak że czułem się jak zakwefiona Arabka. Różowobiałe krewetki prezentowały się imponująco. Jak pędraki na wiosnę wyorane. Podobnie jak jędrne ogony langusty, które się także tutaj konserwuje. Potem oglądaliśmy jeszcze wyładunek kutra, który akurat powrócił z połowu w Zatoce Meksykańskiej. Tam znajdują się podstawowe łowiska krewetek i langusty, choć i na wodach terytorialnych Kuby ich nie brakuje. Rozmawiamy z rybakami. Praca na łowiskach niełatwa, ale dla rybaków to nie nowina. Gorzej, bo zdarzają się prowokacje, a nawet zbrojne ataki na kutry, wykonywane przez kontrrewolucjonistów kubańskich, którzy swoje główne bazy mają w USA. Parę lat temu zabito jednego rybaka z tej bazy, a drugiego raniono. Innym znów razem uprowadzono kuter wraz z załogą.

Przyglądamy się jak z luku kutra suną transporterem potężne ryby. Tym razem łowiono je zamiast krewetek, które akurat dorastały na łowiskach. Opowiadano nam, że jest już nawet sposób na planową hodowlę tych żyjątek. Dla Kubańczyków jest to ważna dziedzina gospodarki narodowej.

Wieczorem jedziemy w południowym kierunku Hawany aż na plażę La Salado. Dzika, skalista i nie tak piękna jak Santa Marija. Skały, rafy koralowe. Podobno jeśli pływać tam pod wodą — sama rozkosz widokowa. Ale dzisiaj morze jest wyjątkowo groźne i wzburzone. Patrzymy do końca horyzontu. Tutaj przy tej czystości powietrza widać wyraźnie kulistość ziemi na tle morza. Palmy.

Pięknie tutaj.

21.XI.78

W nocy zbudziła mnie ulewa. Rzeczywiście lało jak z cebra. Bez przenośni. Można sobie wyobrazić co się dzieje, kiedy lunie w porze letniej. Ale teraz ulewa trwa krótko. Wyraźnie jednak odczułem nagłą zmianę ciśnienia i nie mogłem spać. Rano było już słonecznie. Przyjechał Heriberto — czarny jak smoła Kubańczyk, zawsze uśmiechnięty i skory do żartów. No i uwielbia szybką jazdę, ile tylko jego stary ford wydoli. A propos samochody. Kubańczycy sami żartują, że u nich można zobaczyć wszystkie typy wozów, i to wszystkie w ruchu. To prawda. Podziwiam tutejszych kierowców, jak sobie radzą z tymi wręcz muzealnymi okazami. Rzecz w tym, że Amerykanie, a były tu przecież głównie wozy amerykańskie — zastosowali bezwzględne embargo na części zamienne. Zresztą totalna amerykańska blokada dotyczy wszystkiego. Nawet lekarstw, których Kubie nie chcą sprzedać.

Wybieramy się z wizytą do Escuela Nacional de Arte en Cuba. Myślę, że właściwie będzie ją przetłumaczyć na Akademię Sztuk Pięknych. Szkoła zajmuje kilkadziesiąt hektarów wspaniałej zieleni poza Hawaną. Przed rewolucją była tutaj prywatna posiadłość, taki sobie ekskluzywny klub należący do rodziny Suare. W głównym pałacyku tej rezydencji, gdzie zresztą wiszą wielkie portrety poprzednich właścicieli — przyjmuje nas dziekan wydziału teatralnego dr Juan Fuxa. Częstuje znakomitymi lodami i opowiada historię uczelni. Powstała zaraz po rewolucji w 1962 roku. Przedtem Kuba nie kształciła u siebie artystów. Od 1976 roku szkoła posiada status wyższej uczelni i kształci studentów na trzech wydziałach: muzycznym, plastycznym i teatralnym. Ten ostatni zainteresował mnie szczególnie. Otóż na wydziale teatralnym kształcą nie tylko aktorów — ale w ogóle ludzi teatru. We wszystkich możliwych specjalnościach, od reżysera do scenografa, krytyka teatralnego i dramatopisarza! Pytam jeszcze raz, tak, dziekan potwierdza — próbują ludzi utalentowanych literacko nauczyć dramatopisarstwa. Mają w tej chwili kilku takich potencjalnych dramaturgów. Rezultaty? Dziekan się uśmiecha. Kształcą się dopiero trzeci rok. Próbują adaptacji prozy. Może kiedyś sami coś napiszą. Wiadomo, że pisarstwa nie można nikogo nauczyć, ale dobrego scenopisarstwa, rzetelnej roboty nad scenariuszem filmowym czy widowiskowym, nauczyć można.

Zwiedzamy budynki i teren Akademii. Oryginalne, bardzo nowoczesne rozwiązania architektoniczne. Poza głównym budynkiem rektoratu — wszystko co widzimy wybudowane zostało po rewolucji. I tu miła dla nas ciekawostka: rektor uczelni, prof. Loyola, kształcił się w Polsce. Na polonica natrafiamy też w pracowni rzeźby prof. Armando Fernandeza. Fotografia warszawskiej Nike z ciepłą dedykacją Mariana Koniecznego, który na wiosnę 1977 roku miał tutaj gościnne wykłady. Kubańczycy bardzo cenią i mile wspominają profesora Koniecznego. Podobnie jak polską grafikę, o czym nam mówią gospodarze podczas zwiedzania pracowni grafiki. Studiuje na tym wydziale sympatyczna Węgierka. Studentów z Polski na razie nie ma. Aktualnie kształci się w Akademii ponad 400 studentów. Wszystko co potrzebne do studiów zapewnia im państwo: od internatu dla tych spoza Hawany, do materiałów do ćwiczeń (plastyka, rzeźba) — instrumentów i innych pomocy naukowych. Otrzymują także stypendia.

Wczoraj był telefon od Macieja Krukowskiego z naszej Ambasady, który od powitania na lotnisku przez cały czas okazuje nam pomoc i serdeczne zainteresowanie, więc wstępujemy do naszej ambasady, gdzie stanęliśmy przed obliczem samego ambasadora, R. Majchrzaka. Bardzo bezpośredni w obejściu, niezwykle sympatyczny i kulturalny pan. Nie tylko wykazał naprawdę rzeczowe zainteresowanie naszym pobytem na Kubie, ale zaprosił nas do swoich prywatnych apartamentów na drinka. Tam włączyła się do rozmowy pani ambasadorowa. Było miło i gościnnie. Rezydencja tuż obok ambasady, cała w zieleni.

W hotelu czekał nas obiad w towarzystwie dwóch kubańskich kolegów: Joaquina Santany — dyrektora wydawnictwa, z którym już raz spotkaliśmy się i Samuela Feijoo. Ten ostatni, pan dobrze po 60 — jak się potem okazało — znakomity gawędziarz, pełen poczucia humoru — mieszka w Cienfuegos i jest znanym na Kubie poetą i prozaikiem. Interesuje go głównie tematyka wiejska, jest także zbieraczem i wielbicielem folkloru. Jak opowiadał, w przyszłym roku Wydawnictwo Literackie w Krakowie ma wydać zbiór jego opowiadań. Obiad był więc udany. I to pod każdym względem.

Chyba już wspominałem, że kuchnia kubańska jest świetna i bardzo mi odpowiada. Jarzyn tylko nie używają prawie wcale — ale to mnie nie martwi. Mięsa podają przeważnie pieczone bądź duszone, ryż, mniej ziemniaków i dużo owoców. Wstyd mi przyznać, ale wręcz obżeramy się tutaj bananami, ananasami, pomarańczami i czerwonymi owocami o nieokreślonym, trochę dyniowatym owocu, na który miejscowi mawiają „frutta bomba". Oprócz tego mają znakomite soki, ciastka i lody. Feijoo jest prawie bezkrytycznym wielbicielem wsi i wyznaje pogląd, że wieś we współczesnym świecie to jedyne miejsce na ziemi, gdzie wszystko jest jeszcze nie tylko inne, ale czystsze i lepsze niż w zdemoralizowanym do cna mieście. Przesada, oczywiście. Więc podyskutowaliśmy sobie trochę i na temat. I na wiele innych. Zapraszał nas do siebie do Cienfugeos. Mamy tam podobno być, więc niewykluczone że się jeszcze spotkamy tam, albo kiedy przyjedzie do Polski. Dałem mu swój adres.

22.XI.78

Po południu wizyta w kubańskim Instytucie Medycyny Tropikalnej. L. Wolanowskiego to interesowało, a ja i tym razem, podobnie jak do tytoniu i krewetek, zabrałem się z nim na przyczepkę. Instytut dopiero nabiera rozmachu. Zdaniem Wolanowskiego, który z racji zainteresowań dobrze orientuje się w tej problematyce — Kuba porewolucyjna ma w zwalczaniu chorób tropikalnych godne uznania osiągnięcia. Np. całkowicie zlikwidowano malarię. Dyrektor Instytutu, dr Gustavo Kouri, nie tylko potwierdza tę opinię, ale popiera ją statystyką i dokładnymi informacjami. Wolanowski z doktorem żywo dyskutują o trądzie i o słoniowatości, to znów o strasznej chorobie ślimaczej, tak że słuchając ich, może się tropików odechcieć na wszystkie czasy. Ale, zwłaszcza dr Kouri, jest optymistą i jego zdaniem wszystkie te choroby są uleczalne, byle tylko wcześnie je wykryć. Jako laik pytam o amebę, bo wiem jaką plagą są amebiozy np. w Egipcie. Ale i tutaj dr Kouri pociesza mnie, że nie jest tak strasznie z amebą. A w ogóle uważa, że są to choroby biedoty i brudnych rąk. Dr Kouri kieruje instytutem, który nosi imię jego ojca. Senior Kouri — wybitny lekarz i uczony — był założycielem tego instytutu.

Wieczorem — słynna hawańska „Tropicana". Wolanowski wiele sobie po niej obiecuje, bo ktoś mu opowiadał, że jest to widowisko, jakiego świat nie widział. Razem z nami, czyniąc honory gospodarza wybiera się prezes literatów Kuby, znany prozaik, tłumaczony w Polsce — Onelio Jorge Cardoso oraz dobry nasz znajomy, Noel Navarro Cabrera. Jest także wystrojona, jak na Polkę przystało, nasza tłumaczka p. Bronia.

A w „Tropicanie" przede wszystkim urzeka sceneria. Wszystko razem dzieje się w cudownym palmowym ogrodzie, na wolnym powietrzu. Noc. Wielobarwna gra świateł. Olbrzymie palmy. Liany. Bujne pnącza. Kilka estrad. Parę orkiestr. Chmara tancerek, co chwila zmieniających stroje. Skąpe te stroiki, ale nie za bardzo. Nie wiem jak Wolanowski, ale ja wyraźnie czułem się zawiedziony. Soliści, solistki. Parę cyrkowych numerów. Wszystko to w ciągłym ruchu, rytmie. Melodie oczywiście południowoamerykańskie. Wiele utworów Lecuony. Nie wiedziałem, że to Kubańczyk. „Siboney" — tango, bardzo w Polsce popularne. Siboney — to nazwa indiańskiego szczepu kubańskiego, dziś już nie istniejącego. Wytrzebili Indian hiszpańscy najeźdźcy. Kelnerzy uwijają się wśród stolików. Wykorzystując krótkie chwile przerwy — albo kiedy uda się przekrzyczeć muzykę — próbujemy rozmawiać. Jorge Cardoso był w Polsce parokrotnie, ostatnio na posiedzeniu Światowej Rady Pokoju we Wrocławiu. Wypytuje o znajomych. Cieszy się, że jego proza jest w Polsce czytana. Niezwykle sympatyczny, bezpośredni i kulturalny pan. Wspólnie zastanawiamy się, jaki to fenomen sprawia, że literatura iberoamerykańska jest tak popularna i tak łatwo przyswajana przez polskiego czytelnika. A zdawałoby się, że to przecież niemal dwa różne światy.

Tymczasem okazuje się, że ziemia jest jedna i ona chyba sprawia że chłopski z tradycji w gruncie rzeczy realizm magiczny iberoamerykański jest tak bliski polskiej mentalności. Do tego dochodzą ponadto podobieństwa losów historycznych. A to już bezpośrednio odnosi się do Kuby, jej pogmatwanej i często tragicznej historii. Mówimy o konieczności stałego współdziałania w szlachetnym dziele wzajemnego lepszego poznania i zbliżenia naszych narodów i kultur. Nie ma sporu co do tego, że literatura jest tego poznania i zbliżenia najlepszym orężem czy jak kto woli — ambasadorem. Przy tej okazji dobrym słowem wspominamy Romana Samsela, który nie tylko wiele, ale ze znawstwem czyni na tej niwie. Opowiadam o jego ostatnio wydanej książce „Bunt i gwałt", która była w Polsce tak potrzebna.

Literatura kubańska — a warto o tym wiedzieć i pamiętać — choć jest literaturą stosunkowo niedawną, ma dobre tradycje i znaczny dorobek. Takie nazwiska, jak poeta, filozof i przywódca walk wyzwoleńczych, Jose Marti, Alejo Carpentier, Jose Lima, Nicolas Guillen czy chociażby nasz dzisiejszy gospodarz — Onelio Jorge Cardoso. Również związki literackie kubańsko-polskie mają nie tylko dzień dzisiejszy, ale historię. Po szczegóły odsyłam do książki Romana Samsela, a tutaj jedynie przypomnę, że już w 1843 roku poeta kubański, Gabriel de la Concepcion Valdes napisał wiersz zatytułowany „Do Polski", w którym wyraził nadzieję na jej zmartwychwstanie. O Polsce piszą, jej losami przejmują się szczerze, Placido, Avellaneda, Jose Caballero, Lorenzo Luaces, który w odzie „Do Warszawy" porównuje losy Kuby i Polski. Jose Antonio Cortina opiewa Kościuszkę, a Antonio Sellen tłumaczy „Konrada Wallenroda".

Ale wracajmy do uroczego wieczoru w „Tropicanie". Trwa barwna składanka melodii rytmów, gra świateł i nastrojów. W sumie może to nie siódmy cud świata, ale będąc w Hawanie naprawdę warto zobaczyć „Tropicanę". Lucjan — jak przystało na człowieka światowego z odpowiednią kindersztubą, na pytanie gospodarzy, jak mu się „Tropicana" podobała, cieszy ich tym, co zapewne chcieli usłyszeć że to jest właśnie to! A ze mnie wylazł chłop nieokrzesany i niewiele myśląc walnąłem, że mnie z kubańskich widowisk najbardziej podobało się... rodeo! Serio. Cardoso trzymał się za brzuch ze śmiechu i wiózł nas po nocnej Hawanie swoją nową Ładą nie zwracając na nic uwagi, nawet na czerwone światła...

Foto: Archiwum

Rudawskie wczasy

Czy wyobrażacie sobie duży, mieszkalny blok z kawiarenką na dole, albo lepiej z trzema kawiarenkami, w których od rana do wieczora zasiadają mieszkańcy bloku przy kawie lub przy piwie, wciąż mają o czym ze sobą rozmawiać, nie nudzą się w swoim towarzystwie, a przeciwnie — znajdują w nim niewyczerpane źródło najprostszej, ludzkiej przyjemności?

Mieszkańcy dużych, nowoczesnych bloków nie znają się przecież wcale, nic o sobie nie wiedzą i nie chcą wiedzieć, przeważnie już z góry nastawieni są do siebie niechętnie. Taki blok to czasami ponad tysiąc dusz, czyli akurat tyle, ile liczy maleńkie miasteczko niemieckie Altenberg w Rudawach, nad czeską granicą. Góry tu niegroźne, jak nasze Beskidy, równie malownicze, piękne, zalesione. Po wszystkich stokach i drogach mogą hasać narciarze, mają tu wyciąg i skocznię, miasteczko jest chętnie odwiedzanym ośrodkiem wczasowym. Kopie się tu rudę cyny i wysoki szyb kopalniany sterczy nader szpetnie w uroczym krajobrazie. Jest czymś obcym, sztucznym, przygnębiającym na tle ośnieżonych gór i błękitnego nieba. Ale to nie powstrzymałoby narciarzy i zimowych urlopników z całej NRD. Powstrzymał ich brak węgla: domy wczasowe przestano opalać, trzeba oszczędzać węgiel; węgiel jest przecież wyłącznie importowany, w samej Republice kopie się tylko brunatny, niskokaloryczny, mało wydajny.

Jesteśmy więc jedyną malutką grupą gości w promieniu wielu podobnych do Altenberga wiosek i miasteczek. Mimo to liczne kawiarenki wcale nie świecą pustkami. Mieszkańcy Altenberga znają się na wskroś, jest ich tak niewielu — a wciąż skupia ich przy ceratą nakrytych stolikach potrzeba rozmowy, towarzystwa, niespiesznego kontemplowania prostych, codziennych zdarzeń. Rano przesiadują tu renciści i młodzież, jako że trwają właśnie ferie zimowe. Wieczorami schodzą się spracowani ludzie z kopalni, a także ci, których droga z miejsca pracy wynosi nieraz wiele kilometrów po zaśnieżonych, ale zawsze „przejezdnych" drogach. Gospodarz kafehauzu „Zum Alten Amtshaus" podaje gościom szarlotkę, którą co dzień na nowo piecze małżonka, do tego „Kaffe complet" ze śmietanką i oczywiście piwo. Na czarnej, wiekiem osmalonej ścianie czytamy rok założenia tego lokalu: 1540! Pewnie w tym miejscu już od czterystu lat można się pokrzepić piwem, trudno jednak uwierzyć, że budyneczek jest wciąż ten sam, że nigdy się nie spalił, że nie trafiła go żadna bomba ani złość niczyja, ni lekkomyślność. Tyle że filiżanki wyjmuje się z kredensu, za który nasza Desa zapłaciłaby chyba spore pieniądze jako za autentyczny, sędziwy zabytek.

Rudę cynową z Altenbergu wiezie się kilkadziesiąt kilometrów do huty we Freibergu, mieście niespełna czterdziestotysięcznym, położonym na trasie pomiędzy Dreznem a Karl — Marx — Stadt. Freiberg — miasto o wielowiekowej tradycji górniczej. W XII wieku znaleziono tu srebro i w ciągu półwiecza powstał wokół srebra gród otoczony murem, istniejącym do dziś. Tu mieści się najstarsza na świecie wyższa uczelnia górnicza, założona w XVIII wieku. Tu zbudowano też siedemset lat temu bazylikę romańską, którą ogień nadgryzał kilkakrotnie, aż strawił doszczętnie w końcu XV wieku. Wówczas na zgliszczach bazyliki wzniesiono późnogotycką katedrę, stojącą do dziś. Jest wielka i nazywa się katedra, chociaż nigdy żaden biskup tu nie rezydował. Po reformacji stała się świątynią ewangelicką i uległa nieznacznej przebudowie. Nad głównym ołtarzem wznosi się nadal olbrzymi krzyż i dwie stojące pod nim postaci, ocalałe z pierwotnej bazyliki. Są rzeźbione w dębie, podobnie jak rówieśna im Pieta w bocznej nawie, o przejmującym wyrazie twarzy zmarłego Syna, spoczywającego na kolanach młodszej od Niego Matki.

August III Mocny, król saksoński, nie wahał się przejść na wiarę rzymskokatolicką dla uzyskania tronu polskiego. Cała familia pozostała jednak protestancka i to dla niej kazał August zbudować dwie pyszne loże we freiburskiej katedrze. Zbudował je i urządził Pöppelmann, sławny twórca drezdeńskiego Zwingeru. Z loży zwieszają się świetne makaty, zdobne polskimi orłami — symbolami władzy Augusta. Makaty zresztą, choć tak pięknie i miękko sfałdowane, są ryte w twardym dębowym drzewie. Tylko ambonę wykuto z trzech litych, spiętrzonych pionowo głazów. Trudno w to uwierzyć, gdy się patrzy na precyzyjnie wykończone postaci świętych i aniołów, oplecione misternymi zawijasami liści aloesu. Ambona stoi pośrodku nawy, nie podpiera jej żaden filar lub ściana. W XVI wieku, gdy tę ambonę wzniesiono, wszedł na nią ksiądz i w połowie pierwszego kazania padł rażony apopleksją. Po tak wyraźnym znaku niechęci bożej nikt już nigdy nie wstąpił na gotyckie cudo ze słowem ewangelicznym: pospiesznie wzniesiono obok drugą ambonę, tym razem z drzewa, tradycyjną, bezpieczną od złych mocy.

Mimo hulających po katedrze przeciągów, z dużym wrażeniem słucha się oratoriów Bacha, granych na tutejszych olbrzymich organach. Te organy to największe z nielicznych zachowanych dzieł słynnego obywatela Freibergu, organmajstra Gottfrieda Silbermanna, o którego kłóciły się trony w siedemnastowiecznej Europie. Organów tych od dwustu pięćdziesięciu lat ani razu nie strojono! Czy znajdziecie wśród wytworów naszej genialnie stechnicyzowanej epoki choć jeden mechanizm, który by działał bez zarzutu taki szmat czasu? Bez remontów bieżących i kapitalnych? Bez wymiany części?

Szwedzi oblegali Freiberg podczas wojny trzydziestoletniej, ale go nie zdobyli. Górnicy poprzez dobrze zamaskowane szyby i sztolnie przemycali do miasta broń i żywność. Wszystkie późniejsze wojny — z drugą światową włącznie — oszczędziły miasto. Nie oszczędza go tylko czas: bardzo stare kamieniczki w rynku i w sąsiednich uliczkach pochylają się i rozsypują, konserwacja obiektów zabytkowych pochłonęła już miliony marek, potrzeby wynoszą kilkakroć tyle. Szczerbią się nawet grube mury domu, w którym mieszkał słynny w swoim czasie specjalista od spraw górniczych, Trotta. Tu przyjeżdżał go odwiedzać Goethe, gdy miał kłopoty jako minister księstwa weimarskiego. Wjeżdżał karetą przez tę samą bramę na ten sam dziedziniec, dziś sprawiający wrażenie dekoracji filmowej, tyle że autentycznie zniszczonej, osowiałej, smętnej. Z sąsiedniego domu słychać wesołe śmiechy: tam mieszkają studenci z krajów rozwijających się, zgłębiający we Freibergu wiedzę górniczą. Ich kraje muszą przecież rozpocząć od wydobycia surowców podstawowych.

Srebrne żyły dalekie są ponoć od wyczerpania, ale kopalnia stoi nieczynna. W jej pomieszczeniach na ziemi i pod ziemią stoją maszyny i urządzenia — niektóre dość leciwe, ale wszystkie zdatne do użytku. Uruchamiano je i zatrzymywano już parokrotnie. Dziś we Freibergu pracuje pełną parą huta cyny i największa w Europie fabryka maszyn papierniczych, pracują garbarnie i zakłady włókiennicze, odpoczywa natomiast kopalnia srebra. Czeka po prostu na koniunkturę: na czas, kiedy ceny srebra na rynkach światowych wzniosą się ponad aktualny, nieopłacalny poziom. Wtedy ożywią się sztolnie i znów parę starych uliczek wróci do swej średniowiecznej urody.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NAD BURGASKĄ ZATOKĄ

Do Burgas można z Sofii jechać pociągiem lub lecieć samolotem. Ekspresem jedzie się przez całą Bułgarię niemal 6 godzin. Samolotem — równą godzinę. Wybrałem samolot i nie żałuję. Ale nie dlatego, że byłem szybciej. Do Sofii wracałem już pociągiem i też nie żałuję. Z innego jednak powodu. Samolot zbliżając się do lądowania pokazał mi jak na dłoni całe Burgas. Lotnisko mieści się w Sarafowo. Dwanaście kilometrów od Burgas. Między Czarnym Morzem a Jeziorem Atanowskim. W pobliżu lotniska ogromne płaszczyzny wody pocięte wąskimi groblami. A na groblach sterty szarego proszku. Sól.

Droga na Sozopol, Miczurin i Małe Tyrnowo, biegnie brzegiem morskim, ale zaraz za Burgas jedzie się nad Jeziorem Burgaskim. I tu również są całe połacie brunatnej wody poodgradzane wąskimi groblami. Ale na dnie osadza się nie sól, a przemysłowe zanieczyszczenia. Bułgarzy, nauczeni doświadczeniami innych narodów budujących swoje nowe przemysły, dzielnicę przemysłową w Burgas usytuowali daleko od miasta. Właśnie nad Jeziorem Burgaskim w okolicy wsi Kameno. Tam znajduje się wielka rafineria ropy naftowej, coś jak nasz Płock, tyle tylko, że nie połączony z radzieckimi polami naftowymi rurociągiem, a konwojami tankowców, które do portu naftowego w Burgas przywożą „płynne złoto". Mimo to błędów nie uniknęli. Zbyt późno pomyśleli o oczyszczalni ścieków. I rezultat oczywisty. Życie zamarło w Jeziorze Burgaskim, a w odstojnikach osadza się nie sól, a ropa naftowa. Tylko, że trwa to bardzo długo i bardzo też... śmierdzi. Bułgarzy jednak postanowili uratować Jezioro Burgaskie i przywrócić mu życie.

Tak to lądując na lotnisku w Sarafowo wchodzi się niejako od razu w aktualne sprawy Burgas, bo człowiek zaciekawiony tym, co widział, dąży do wyjaśnienia nurtujących go spraw. Dowiaduje się więc, że dawniej Burgas było małą nadmorską mieściną, a dziś jest to

PIĄTE MIASTO BUŁGARII

po Sofii, Płowdiw, Warnie i Ruse. W 1926 roku w Burgas było 31,1 tysięcy mieszkańców, w 1946 roku — 44,4 tys., w 1968 roku — już 126,5 tys. a w 1972 Burgas przekroczyło 162 tysiące mieszkańców. I miasto rośnie nadal, gdyż rozwija się tutaj przemysł.

Opracowano szczegółowy plan rozwoju przestrzennego Burgas i plan ten realizuje się konsekwentnie. Wybudowano już trzy wielkie dzielnice mieszkaniowe: Tołbuchin, Izgrebu, Sławykowa. Dzielnice te nazywa się kompleksami. W kompleksie Tołbuchin mieszkają między innymi cudzoziemcy: Francuzi, Polacy, Niemcy, Włosi. Są to specjaliści, którzy albo nadzorują montaż czy rozruch importowanych maszyn, albo uczestniczą w rozbudowie burgaskiego okręgu przemysłowego.

Zaczęło się wszystko dość dawno od małej cukrowni zagranicznej spółki. Baseny portowe zaczęto budować w Burgas w 1903 roku. Remontowano kutry rybackie. Dziś jest to drugi ważny port bułgarski na Morzu Czarnym. Kiedy jedzie się samochodem w kierunku Sozopola, można oglądać rzędy statków stojących na redzie portu węglowego czy naftowego i oczekujących swojej kolejki.

Nowe dzielnice przyciągają wzrok różnorodnością architektury.

— Klimat nam sprzyja — powiedział mieszkaniec Burgas, z którym spacerowałem po kompleksie Tołbuchin. — To stwarza większe możliwości architektom. Mogą sobie pofantazjować, a miastu wychodzi na korzyść. Na ogół wszystkim podoba się burgaska architektura. — I pokazał mi długi falisty dom. — Nazywamy go ogórkiem.

Jest to coś w rodzaju katowickiego mrówkowca, czy łódzkiego łamańca z ulicy Zarzewskiej, tyle tylko, że w kształcie morskiej fali. Też ładny. Bułgarzy nie zapominają, że wybrzeże Morza Czarnego jest atrakcją turystyczną dla mieszkańców wielu krajów Europy i dlatego przywiązują znaczną uwagę do tego, aby architektura tu była ze wszech miar europejska. Traci na tym stare miasto, ale w gruncie rzeczy poza kilkoma przypadkami nie ma czego żałować. O zabytki dba się z wielką pieczołowitością, reszta idzie pod spychacze, ustępując miejsca nowym domom. Bułgarzy nauczyli się już łączyć nowoczesność z tradycją. Na przykład przy nowoczesnym hotelu „Bułgaria" w centrum Burgas odrestaurowano i niemal przytulono do wieżowca, piękny kościółek ormiański. Po drugiej stronie ulicy znajduje się ośrodek kulturalny Ormian „Erywań".

Przemysł i turystyka przyniosły z sobą rozwój nauki. Dla obu dziedzin gospodarki potrzebne są kadry. Kształci się więc je w filii Sofijskiej Politechniki, w Instytucie Chemiczno-Technologicznym i w Instytucie Międzynarodowej Turystyki. Ostatnio słuchacze tego instytutu otrzymali nowy „poligon doświadczalny": dwa piękne hotele wybudowane blisko morza. Ale proszę nie przejmować się określeniem: „poligon doświadczalny". Absolwenci burgaskiego czy warneńskiego Instytutu Międzynarodowej Turystyki cieszą się dobrą opinią i wykazują się dużymi umiejętnościami, a lepiej, że praktykę zdobywają pod okiem doświadczonych nauczycieli.

W starym Burgas wiele ulic zamieniono w promenady. Nie jeżdżą samochody po ulicy 1 Maja, Włodzimierza Ilicza Lenina i innych. Ulicą W. I. Lenina idzie się w stronę morza do parku, gdzie stoi

POMNIK ADAMA MICKIEWICZA.

Pomnik to może zbyt wielkie określenie. Jest to obelisk. Na nie ociosanym kamieniu głowa Adama Mickiewicza zwrócona twarzą w stronę morza, a niżej napis: „ADAM MICKIEWICZ 1799—1855 WIELKI POLSKI POETA, REWOLUCJONISTA, BOJOWNIK O WOLNOŚĆ I SŁOWIAŃSKIE BRATERSTWO PRZEBYWAŁ W BURGAS W 1855 R.".

Z Burgas wracałem do Sofii ekspresem „Czajka". W Sliwen wsiadł do przedziału młody człowiek, jak się później okazało student dość dla nas dziwnie brzmiącego wydziału geografii turystycznej. Doskonale zna Polskę, choć nigdy w niej nie był. Marzy zresztą o tym, aby pojechać do Polski. Chciałby zobaczyć Warszawę, Kraków, Szczecin, Wrocław. Najpierw jednak teoria, a później jej konfrontacja z rzeczywistością.

— Mamy podobną historię — powiedział w pewnym momencie. — Podobną, bo wy i my byliśmy w niewoli. Walczyliśmy o wolność. No i wasz król Władysław Warneńczyk chciał nas wyzwolić spod tureckiej niewoli.

Jest to prawda, ale przecież nie cała. Bułgarzy walcząc z niewolą turecką wielkie nadzieje pokładali w Polsce, która wówczas była niemal w permanentnej wojnie z Turcją. Polscy posłowie, którzy przez Bułgarię jeździli do Istambułu, dostrzegali w wizerunkach św. Jerzego podobieństwo do polskiego króla, który był nadzieją Bułgarów i choć nie zwyciężył Turków, to przecież ich pochód przyhamował na jakiś czas. Te nadzieje aktualne były do końca XVII wieku. Umacniały je zwycięstwa Jana III Sobieskiego, ale kiedy Austria i Polska zawarły w 1699 roku pokój w Karłowicach, nadzieje Bułgarów na polską pomoc w ich walce wyzwoleńczej musiały upaść. Miejsce Polski zajęła wówczas Rosja. I Rosja przyniosła Bułgarii wyzwolenie. Stało się to w 1878 roku. W Burgas jest na przykład ulica Gurko, a w Sofii na placu Norodne Sobranie stoi pomnik cara Aleksandra II. Niedaleko pomnika wznosi się na górze cerkiew Aleksandra Newskiego. Wszystko z wdzięczności dla wyzwolicieli Bułgarii W historii Polski rola Aleksandra II i generała-gubernatora Josifa W. Romejko-Hurko jest zupełnie inna.

Różnice w naszej historii polegają jednak nie tylko na tym. Bułgaria była już liczącym się w Europie państwem, kiedy jeszcze o Polsce nic nie było wiadomo. W roku 893 władzę w Bułgarii objął car Symeon Wielki, który w 912 roku otrzymał koronę. Jemu Bizancjum płaciło haracz. Jeszcze wcześniej, bo w 811 roku Chan Krum pokonał Bizancjum pod Vibrice, a z głowy cesarza bizantyjskiego Nikeforosa zrobił sobie... puchar do wina. Bułgarzy pomagali chrzcić Ruś Kijowską. Oto, co na ten temat pisze Aleksander Brückner:

„...na Rusi Bułgarzy, którzy od stu kilkunastu lat, wcześniej nawróceni dzięki Cyrylowi i Metodemu, literaturę cerkiewną we własnym utworzyli języku, służyli za pośredników między cerkwią grecką a ludem słowiańskim i Ruś przyjęła wraz z greckim chrześcijaństwem bułgarski język pisemny i literaturę, zdobywając bez najmniejszego wysiłku bogate zasoby".

Bułgarzy w X wieku mieli bogatą literaturę, uczestnicząc z powodzeniem w ówczesnych europejskich sporach. W 1204 roku — już za drukiego Cesarstwa Bułgarskiego — Basileios został prymasem Bułgarii, podczas, gdy prymas Polski istnieje od 1418 roku

Stałem przed obeliskiem w burgaskim parku, kiedy zatrzymał się obok mnie starszy pan w okularach z laseczką.

— Wy Polak?

— Polak.

— To wasz wielki poeta.

— Nasz.

Starszy pan pokiwał głową. Okazał się emerytowanym nauczycielem burgaskiego gimnazjum. Na samotnym spacerze trochę się nudzi, więc zapragnął pogawędki.

— On tu przyjechał do innego Polaka — Sadyk Paszy.

Kiedy w kwietniu 1877 roku Aleksander II wypowiedział wojnę Turcji, znów odżyły nadzieje zarówno Polaków i Bułgarów. Tylko, że Polacy wiązali te nadzieje z Turcją, a Bułgarzy z Rosją. Właśnie w Burgas stacjonowały dwa pułki kozaków sułtańskich, którymi dowodził Michał Czajkowski — Sadyk Pasza i Władysław Zamojski. Obaj dowódcy toczyli między sobą zaciekły spór o to, komu mają być podporządkowani sułtańscy kozacy. Sadyk Pasza dążył do podporządkowania ich Turcji, a Władysław Zamojski — Anglii. Adam Mickiewicz przyjechał tu jako mediator, marzący zresztą o powołaniu u boku sułtana Legionu Polskiego, który walczyłby z Rosją o wyzwolenie Polski. W Bułgarii był w tym czasie Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski), któremu bardzo nie podobała się policyjna rola Polaków w walczącej o niepodległość Bułgarii. A przecież Bułgaria uczciła pamięć polskiego poety, który też walczył o wolność swego kraju. Wielu bułgarskich rewolucjonistów przyjaźniło się z Polakami, wychodząc z założenia, że nie może być wolnym żaden naród, jeśli godzi się z uciskiem innego narodu. A poza tym Bułgarów i Polaków łączyła słowiańska solidarność.

W CZARNOMORCU

u Grigorija piłem wino za przyjaźń polsko-bułgarską i za przyjaźń bułgarsko-polską. Sporośmy tego wina wypili zagryzając bułgarską słoniną i małymi solonymi rybkami. Grigorija historia nie bardzo już obchodzi. Jego i jego sąsiadów bardziej interesują współczesne stosunki polsko-bułgarskie.

— Przyjedziesz tu latem? — pytał Grigorij nalewając kolejną szklankę młodego, domowego wina.

— Nie wiem, jak będzie z urlopem.

— Każdy ma urlop — tłumaczył mi Grigorij — wszystko jedno gdzie go spędzisz. A u nas pięknie i dużo Polaków. Przyjedź do nas latem.

— Może przyjadę.

— O mieszkanie się nie martw. Coś tu ci znajdziemy.

Grigorij jest hydraulikiem. Jego córka Dora pracuje w czarnomorskim oddziale „Bałkanturistu", przydziela kwatery turystom. Nie będzie więc kłopotu z mieszkaniem. A turyści dla mieszkańców małych nadmorskich osad to wielki interes. W sezonie gospodarze mieszkają w letnich kuchniach, a pieniądze gromadzą na budowę nowych domów. W Czarnomorcu i Sozopolu widziałem wiele takich budujących się domów. Buduje się je wspólnym wysiłkiem. Sąsiedzi pomagają temu, który teraz się buduje, a on później pomoże innym. I tak rosną nowe, piętrowe domy; z góry przeznacza się w nich pokoje dla urlopowiczów, którzy zjadą się tu już niedługo z wielu krajów Europy.

— Czesi — opowiadał Grigorij — przyjeżdżają już w maju i kąpią się w morzu. W takim zimnym morzu...

Idąc do autobusowego przystanku natknąłem się na polskiego fiata 125p ugrzęzłego w błocie i stojącego obok kierowcę z pięknym sumiastym wąsem, który, jak mi się wydawało, klął po polsku. Istotnie usłyszałem nagle w czystej polszczyźnie:

— Cholera, jak ja stąd wyjadę?

— Może popchnąć — zaproponowałem.

— A proszę bardzo.

Kiedy już samochód wykaraskał się z błotnistej ulicy, obaj zadaliśmy sobie jednocześnie to samo pytanie:

— Co pan tu robi?

— Ja — powiedział właściciel sumiastego wąsa — pracuję tutaj. A pan?

— A ja tu można powiedzieć służbowo. Na delegacji. Pan pracuje w Czarnomorcu?

— Nie w Kameno koło Burgas.

— Co pan tam robi?

— Buduję cukrownię.

I tak właśnie poznałem inżyniera Kazimierza Woronkowicza, przedstawiciela „Chemadexu", szefa polskiej ekipy nadzorującej budowę największej cukrowni w Bułgarii. Zamiast do Burgas pojechałem z nim najpierw do Sozopola, a później do Neseberu.

— Patrz pan — mówił inżynier Woronkowicz, kiedy mijaliśmy ogromne winnice — jaka tu piękna ziemia. Jaka wydajna.

— Ale to są winnice, a gdzie buraki?

— Są i buraki. Nasz APK, dla którego budujemy cukrownie posiada nie tylko winnice, ale też ogromne pola buraczane. Kiedy tu jeszcze nie było przemysłu, były już cukrownie. Musi pan przyjechać do nas do Kameno i zobaczyć, jak budujemy.

Obiecałem, że przyjadę. Umówiliśmy się, że następnego dnia rano ich samochód odbierze mnie sprzed hotelu „Bułgaria" i zawiezie do Kameno. Pojechaliśmy też do Krajmora, gdzie ten sam Agrarno-Przemysłowy Kompleks, który buduje cukrownie w Kameno, posiada piękną restaurację, w której podają wyborne wino tymiankowe i tymiankową rakiję. Nie tylko zresztą.

Foto: Autora

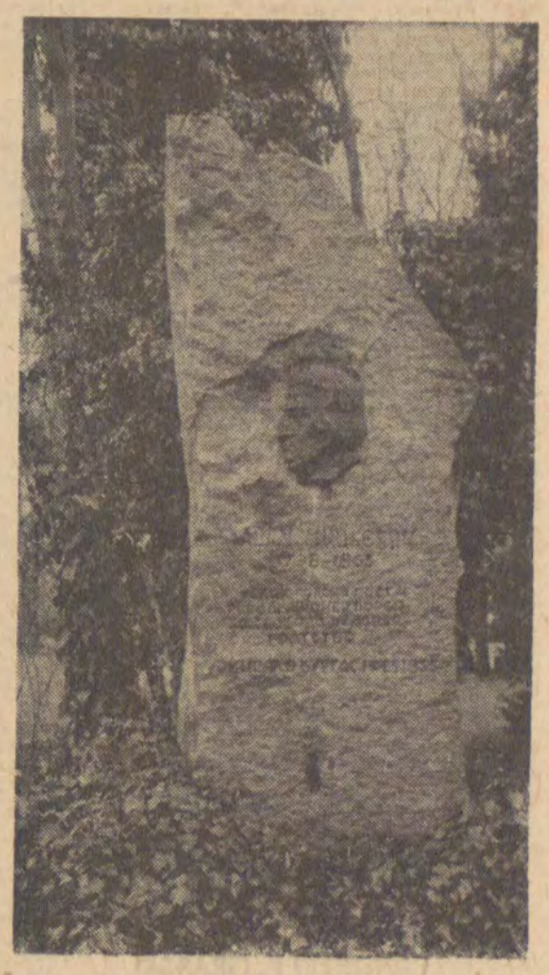

SPÓR O REWOLUCJĘ

O myśli politycznej twórcy państwa radzieckiego napisano setki, jeżeli nie tysiące rozpraw i monografii. Cóż jeszcze pozostaje więc tu do powiedzenia? Ze zrozumiałą obawa sięgałem po nową książkę Marka Waldenberga zatytułowaną: „Rewolucja i państwo w myśli politycznej W. Lenina", wydaną niedawno przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1978). Czy jest to jeszcze jedno opracowanie, powielające czy popularyzujące z dawna znane poglądy? Czy autor książki opowiedział własnymi słowami to co już o tych sprawach dobrze zainteresowanym wiadomo? Lektura obszernego dzieła rozwiała moje obawy. Marek Waldenberg, znany krakowski historyk myśli politycznej, autor między innymi ogromnej, dwutomowej monografii o Karolu Kautsky'm, również i tym razem dał nam do ręki dzieło, będące wynikiem poważnych badań, dotyczące ważkiej problematyki, która wciąż przecież ma walor nie tylko historyczny.

Chodzi bowiem w tej pracy o sprawę — nie tylko dla historyka myśli społecznej i politycznej — niebagatelną. Nie ma co do tego wątpliwości, że zarówno W. I. Lenin uważał, że „powodzenie swej działalności rewolucyjnej zawdzięczał marksizmowi", jak i rzeczywistość potwierdziła słuszność tego poglądu. „Teoria Marksa a szczególnie teoria rewolucji — powiada Marek Waldenberg — stała się narzędziem tak skutecznej działalności Lenina przede wszystkim dzięki sposobowi w jaki ją stosował, w jaki posługiwał się nią w odniesieniu do analizy problematyki rosyjskiej". Rzecz jednak w tym, że leninowska koncepcja rewolucji nie była w zgodzie z tym, co o tej sprawie myśleli i mówili wcale liczni ówcześni działacze ruchu socjalistycznego, przynajmniej zaś niektórzy z nich i to nie najmniejszego znaczenia.

Reprezentanci tak zwanego „ortodoksyjnego" marksizmu — na czele z uważanym za „papieża" socjalizmu Karolem Kautsky'm — wprawdzie byli głęboko przeświadczeni o konieczności nastąpienia rewolucji proletariackiej, uważali jednak, że dokona się ona niejako żywiołowo, na skutek działania immanentnych procesów rozwoju społecznego, nie zaś jakichkolwiek zorganizowanych działań ludzkich. Wierzyli, że rewolucji się „nie robi", że nadchodzi ona sama z siebie, jako nieuchronna konieczność działania „żelaznych praw" rozwoju ludzkości. Byłże to — jak się często sądzi — fatalistyczny pogląd na dzieje? Wielu badaczy jest tego właśnie zdania.

Marek Waldenberg nie po raz pierwszy daje wyraz odmiennemu stanowisku. Objaśnia, że „nacisk, z jakim ówczesna literatura marksistowska propagowała tezę o nieuchronności zwycięstwa socjalizmu, tłumaczy się doniosłą funkcją ideologiczną jaką teza ta spełniała" Nie ma co do tego wątpliwości, że teza ta, głoszona w szczególnie trudnych warunkach rozwoju ruchu robotniczego, dostarczała robotnikom „poczucia własnego znaczenia", dodawała wiary w sens toczonej klasowej walki. Zgadzamy się z autorem monografii, że „stanowiła ona też narzędzie zachowania przez klasę robotniczą postawy zasadniczej opozycji wobec kapitalistycznego społeczeństwa i państwa, przeciwdziałała procesom „wrastania" klasy robotniczej i jej organizacji w istniejące struktury społeczno-polityczne". Zgodzimy się nawet, że eksponowanie tezy, że rewolucji „nie robi się", miała swoje znaczenie jako przeciwstawienie „tendencjom blankistowskim", czy tzw. „puczyzmowi", wskazując na to, że rewolucji nie można „wywołać" w dowolnym momencie, że dla jej wybuchu muszą zaistnieć określone społeczne i polityczne warunki...

Ale istniała jeszcze i druga strona medalu, której nie ma potrzeby przemilczać. Poznamy ją dokładniej, skoro zapoznamy się z leninowską teorią rewolucji oraz dyskusjami, jakie toczyły się wokół niej w rosyjskim oraz międzynarodowym ruchu robotniczym. Teza, że rewolucji „nie robi się", że wybucha ona sama w wyniku działania „obiektywnych", „żelaznych" praw rozwoju kapitalizmu, tak popularna wśród działaczy II Międzynarodówki, mogła być rozumiana i była pojmowana w praktyce jako dyrektywa... dla biernego oczekiwania mającego nastąpić przełomu. Jakaż bowiem — jeśliby przyjąć tę tezę, jak to uczyniło bardzo wielu — była perspektywa ruchu robotniczego jaka rola przypadała jego partii? Co najwyżej włączania się do z góry zdeterminowanych procesów i niewiele ponad to. Nie było przypadkiem, że właśnie na gruncie tego sposobu rozumowania w socjaldemokracji niemieckiej — a także poza nią — poczęły odnosić sukcesy poglądy otwarcie reformistyczne i ewidentnie rewizjonistyczne. Dla wielu tak zwanych „ortodoksyjnych" marksistów przełomu XIX i XX wieku rewolucyjne koncepcje głoszone przez W. I. Lenina były po prostu... blankizmem, nie marksizmowi. Dobrze wiadomo że spotykały się one współcześnie z ostrą krytyką, że wśród polemistów — i to niezmiernie zaciekłych — znalazła się również Róża Luksemburg. Tak to fetyszyzacja „obiektywnego" charakteru procesu dziejowego, niezrozumienie dialektyki aktywności człowieka w dziejach, owocowały w płaszczyźnie politycznego myślenia niektórych działaczy socjaldemokracji.

O sprawach tych — powtarzamy: mających nie tylko znaczenie historyczne, bo nie tylko historyków obchodzi, czy lepsze jutro ma nastąpić „samo przez się" czy też ma być stworzone przez świadomie działających, podług możliwości, wyznaczanych okolicznościami aktywnych ludzi — toczą się dziś liczne dyskusje historyków, filozofów i innych przedstawicieli nauk społecznych. Z pewnością daleko im dzisiaj do końca, wszakże coraz silniej podkreśla się w nich, że proces historyczny ma charakter dialektyczny zgodnie z tym, co powiedział o nim niegdyś właśnie W. I. Lenin, a co dla „ortodoksów" wierzących w zmienianie się świata samo przez się było równoznaczne z herezją: „świadomość człowieka nie tylko odbija świat obiektywny, ale go też tworzy" (Zeszyty Filozoficzne). Monografia Marka Waldenberga jest poważnym głosem w dyskusji wokół tych jakże aktualnych dziś spraw.

ANDRZEJ F. GRABSKI

CZTER-DZIESTY KRYZYS

Ugo la Malfa, 75-letni przywódca Partii Republikańskiej, desygnowany na premiera Włoch, odbył w ubiegłym tygodniu serię rozmów z przedstawicielami poszczególnych ugrupowań politycznych. Jak wiadomo, la Malfa jest pierwszym od 1949 roku, kandydatem na premiera nie będącym członkiem Partii Demokracji Chrześcijańskiej. Mimo, iż komuniści i socjaliści są gotowi poprzeć misję la Malfy, aby nie przedłużać kryzysu politycznego w kraju, obserwatorzy wyrażają na ogół sceptycyzm co do szans jego misji wskutek sztywnego stanowiska PDCh.

Odpowiedzialnością za obecny kryzys rządowy we Włoszech obarczają komuniści chrześcijańskich demokratów, którzy postawili swoje wąsko pojęte interesy i antykomunizm ponad narodowe interesy kraju. Włoska Partia Komunistyczna stoi na stanowisku, iż wskutek polityki prowadzonej przez rząd Andreottiego, nie wykorzystano możliwości rozwiązania palących ekonomicznych i politycznych problemów kraju, na podstawie programowego porozumienia pięciu partii wchodzących w skład większości parlamentarnej. Fakt, iż komuniści nie poparli rządu Andreottiego nie był niespodzianką dla żadnej z partii, których przywódcy 26 stycznia brali udział w ostatnim „spotkaniu na szczycie" większości parlamentarnej. WłPK, jak informuje publicysta „Le Monde", zarzuca Partii Demokracji Chrześcijańskiej i sformowanemu przez nią rządowi, jak również innym partiom większości parlamentarnej, iż nie stworzyły niezbędnych warunków, w jakich jedność sił demokratycznych mogłaby się uporać z kryzysem. Warunki te sprowadzały się do szybkiego i konsekwentnego wprowadzenia w życie programu, przyjętego w marcu 1978 roku, stworzenia atmosfery współpracy oraz wzajemnego szacunku i lojalności.

Jeśli chodzi o pierwszy warunek, to Berlinguer ma pod ręką mnóstwo faktów, które świadczą, iż warunek ten nie został spełniony. Udział komunistów w parlamentarnej większości bynajmniej nie doprowadził do zmian w orientacji politycznej. W parlamencie nagromadziły się sterty nie rozpatrzonych spraw, podejmowane uchwały były sprzeczne lub tylko połowicznie wykonywane. Klasa rządząca nadal odmawia zgody na wprowadzenie jakichkolwiek zmian. Nie odczuwało się tego w aksamitnych latach ekonomicznego boomu, ale wszystko to stało się nie do zniesienia w warunkach narastania niezadowolenia bezrobotnych i przedłużającego się rozpasania terroryzmu. Wszystkie pozostałe fakty, na które powoływał się Berlinguer, można właściwie zamknąć w jednym słowie: antykomunizm. „Stale atakując WłPK — powiedział on — poddawano w wątpliwość zaufanie do samej idei większości". Jest to bezpośredni zarzut pod adresem chrześcijańskich demokratów, którzy, jak sądzą komuniści, odeszli od idei współpracy, z którą wyszedł Aldo Moro. W nowej interpretacji Partii Demokracji Chrześcijańskiej narodowy sojusz powinien być tylko czasowym, pośrednim etapem i PDCh czeka tylko na okazję, żeby powrócić do „formuł przeszłości". I, jak podkreśla Berlinguer, chrześcijańscy demokraci już niejednokrotnie to robili, przepychając przez parlament nie uzgodnione decyzje.

Jak się uważa we WłPK, jedyną formułą do przyjęcia jest „ukształtowanie rządu jedności z udziałem wszystkich sił demokratycznych". Innymi słowy, rządu, w którym byliby reprezentowani także ministrowie-komuniści, o czym Partia Demokracji Chrześcijańskiej nie chce nawet słyszeć. WłPK chodzi o jeszcze jedno, bardzo ważne uściślenie: partia komunistyczna, jeśli nawet znajdzie się w opozycji, zamierza nadal zajmować konstruktywną pozycję. Z punktu widzenia komunistów, uratowanie demokracji, głównie walka z terroryzmem, stoi ponad wszelką różnicą zdań.

Andreotti wchodził w skład 18 rządów i teraz, przekroczywszy próg sześćdziesiątki, nie zamierza bynajmniej rozstać się z ministerialnym fotelem. Tymczasem w jego partii, zresztą jak zawsze, panuje rozłam.

Włączanie się komunistów do władzy następuje stopniowo i nie można powiedzieć, żeby proces ten został zahamowany. Oficjalnie komuniści wyszli z opozycji we wrześniu 1976 roku Nie głosowali za rządem Andreottiego, lecz wstrzymali się od głosu, podobnie zresztą jak postąpili wtedy socjaliści, socjaldemokraci, republikanie i liberałowie. Chrześcijańsko-demokratyczny gabinet otrzymał poparcie w formie zupełnie niezwykłej koalicji, którą zaczęto nazywać „większością nie wyrażającą braku zaufania". Komunistom powierzono stanowiska — przewodniczącego izby posłów i przewodniczących siedmiu komisji parlamentarnych.

Ten „awans" komunistów objaśniano błyskotliwym zwycięstwem w wyborach w czerwcu 1976 roku (34 proc. głosów), ale jednocześnie i ich strategią: WłPK wystąpiła z ideą narodowego sojuszu w celu przezwyciężenia ogólnego kryzysu. Ów pierwszy etap współpracy przyniósł pozytywne wyniki. Stosunki między chrześcijańską demokracją i komunistami ułożyły się dobrze. W lipcu 1977 roku WŁPK wzięła udział w opracowaniu programu rządowego. Później jednak nastąpił gwałtowny zwrot w polityce Partii Demokracji Chrześcijańskiej, co w konsekwencji doprowadziło do obecnego kryzysu rządowego. Komentator rzymskiej gazety „Unita" podkreśla iż chodzi tu nie o poszczególne fakty, lecz o prawdziwą ofensywę najbardziej konserwatywnych kół chrześcijańskich demokratów, na którą coraz chętniej zaczęto spoglądać w sekretariacie PDCh. Mówią o tym zarówno liczne oświadczenia PDCh, jak i pozycja, jaką zajmowała w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej. Podstawowe punkty porozumień rządowych poddawano rewizji, sabotowano je i nie wykonywano (emerytury, porozumienie agrarne, reforma organów bezpieczeństwa wewnętrznego, szkoły, uniwersytety itd.). Rząd podjął szereg błędnych decyzji, sprzecznych z interesem narodu, jak na przykład pośpieszne przystąpienie do europejskiego systemu walutowego w warunkach niewygodnych dla Włoch, obsadzanie wyższych stanowisk państwowych i funkcji kierowniczych bez porozumienia i inne. Przy podejmowaniu tych decyzji rząd nie raczył brać pod uwagę opinii jednego z członków większości parlamentarnej — WłPK. Zaczęły się mnożyć manewry hamujące przeprowadzanie reform dotyczących ponownego rozdziału stanowisk w takich delikatnych sferach, jak prasa, radio i telewizja, wydawnictwa i inne. Wyjątkowo poważną kwestią jest sytuacja w dziedzinie ochrony porządku publicznego, co wymownie ilustruje wzrost przestępczości w Rzymie i w innych włoskich miastach.

Ponadto zarysowały się tendencje sprzeczne z zasadami solidarności, uczciwości i wzajemnego szacunku, które powinny leżeć u podstaw szeroko pomyślanej polityki, ukierunkowanej na rozwiązanie stojących przed krajem problemów. Nie przepuszczono jednak ani jednej okazji, żeby nie zaatakować i oszkalować komunistów. Wprzęgnięto do tych celów państwowe środki masowej informacji. Winę za tę sytuację, która doprowadziła do obecnego kryzysu rządowego ponosi PDCh. Ale nie tylko. Także polityka innych partii doprowadziła do odrzucenia wzajemnych zobowiązań i zrodziła tendencje konserwatywne, które wywierają zgubny wpływ na ogólny klimat polityczny, zadając dotkliwy cios przyszłości kraju. Komuniści włoscy już od dawna wskazywali na niebezpieczeństwo kryzysu politycznego. Nierozumną i niekonsekwentną politykę rządu potępiła również Włoska Partia Socjalistyczna.

Włochy przeżywają ciężki kryzys. Opóźnienie Południa w stosunku do Północy jest coraz bardziej wyraźne. Przed młodym pokoleniem rysuje się mroczna i niejasna przyszłość. Nadal w trudnej sytuacji znajduje się zarówno szkoła średnia jak i wyższa. Trzyletni plan rozwoju ekonomicznego, przedłożony niedawno przez rząd, nadal grzeszy jednostronnością i tendencyjnością, które krytykowała WłPK już w poprzednim planie. Otwarte pozostaje tak ważne dla Włoch problemy, jak sprawiedliwy podział dochodu narodowego, inwestycje, zwiększenie ilości miejsc pracy itd.

Włoscy komuniści wskazują na bardzo ważny fakt, iż Partia Demokracji Chrześcijańskiej, kierując się przede wszystkim własnymi partykularnymi interesami, pod naciskiem kół konserwatywnych, wyrzeka się zasad, na których powinno się opierać każde porozumienie wszystkich sił demokratycznych. Chociaż jednopartyjny rząd Andreottiego opierał się na większości parlamentarnej, to jednak prowadził on politykę chrześcijańskich demokratów, ignorując opinie innych uczestników koalicji.

JERZY CZECH

KRONIKA TYGODNIA

Mnogość wydarzeń na międzynarodowej arenie każe skupić uwagę na najważniejszych. Niestety, **ciągle trwa agresja wojsk chińskich na Wietnam** i to jest wciąż wydarzenie nr 1.

Fałszując fakty — Pekin twierdzi, że podjęte przez niego działania militarne mają ograniczony zasięg i są „karną ekspedycją" za prowokacje na granicy. W istocie — jest to „odwet" za upadek reżimu Pol Pota w Kambodży. Przyznał to wicepremier ChRL — Teng Siao-ping, sugerując możliwość rozmów z Hanoi na temat sytuacji w Kambodży Temat — mimo sprzeciwów ZSRR i CSRS — włączony został do porządku dziennego Rady Bezpieczeństwa, która miała rozpatrzyć projekt rezolucji wymienionych krajów, potępiający inwazję chińską na Wietnam.

Przemawiając na spotkaniu z wyborcami w Moskwie premier A. Kosygin stwierdził:

„Agresja Chin przeciw Wietnamowi obnażyła całą hegemonistyczną istotę polityki pekińskich kół rządzących i wykazała, z jaką łatwością mogą one przejść od szantażu do działań zbrojnych, z jakim brakiem poczucia odpowiedzialności przekracza się w Pekinie granice, dzielącą pokój od wojny".

Właśnie dlatego nie można pobłażać agresorom, a ich przestępczy krok powinien spotkać się z należytą odprawą.

We wspomnianym przemówieniu premier rządu radzieckiego rozprawił się także z próbami powiązania chińskiego ataku na Wietnam z sytuacją w Kambodży. Ci, którzy świadomie lub nieświadomie wtórują Pekinowi na międzynarodowej arenie, stosując jednakowe podejście do agresji chińskiej i wydarzeń w Kambodży, obiektywnie zachęcają najeźdźcę do nowych awantur. A narody zapłaciły już dostatecznie wysoką cenę za „politykę ugłaskiwania agresora".

Również naród chiński wie, czym jest wojna Dotąd jednak ofiary ponosił w imię wyzwolenia, teraz natomiast jest zmuszany do pełnienia roli wykonawcy obcych mu planów, wymierzonych przeciwko pokojowi i socjalizmowi.

„Jest to wielka tragedia dla narodu, ale należy wierzyć, że naród chiński wyjdzie zwycięsko z tej próby i będzie żyć w pokoju i wzajemnym zrozumieniu z narodami Wietnamu, Związku Radzieckiego i wszystkich pozostałych krajów".

W Europie drugim wydarzeniem, najczęściej odnotowywanym przez środki masowego przekazu w minionym tygodniu, był **kryzys rządowy we Włoszech.**

Po niepowodzeniach misji Andreottiego utworzenia nowego gabinetu — desygnowany został na premiera Ugo la Malfa, republikanin. W sobotę wieczorem podano jednakże do wiadomości, że konsultacje jakie prowadził z partiami, zakończyły się niczym. Komuniści wyszli z rozsądnym kompromisem: aby choć jeden członek rządu wywodził się z lewicy. Nieprzejednana postawa chadecji i takie rozwiązanie uniemożliwiła.

W chwili, gdy ślemy komentarz do druku — obserwatorzy rzymscy mówią o możliwości utworzenia rządu trójpartyjnego, w skład którego weszliby chadecy, republikanie i socjaldemokraci, popierani w ramach poprzedniej większości parlamentarnej przez komunistów i socjalistów. W takim gabinecie — przypuszczają oni — znalazłyby się miejsca dla „bezpartyjnych techników", akceptowanych przez WłPK i PSI. Trudno dziś przewidywać, czy jest to możliwa droga wyjścia z kryzysu. Coraz częściej we Włoszech pisze się, że pewnie jednak dojdzie do przedterminowych wyborów, chociaż takim biegiem spraw nie jest właściwie zainteresowana żadna z partii.

Trzeci temat przeglądu aktualiów — **to Bliski Wschód.**

Miniony tydzień przyniósł wiadomości o przygotowaniach do nowego szczytu egipsko-izraelskiego, który miałby się odbyć w obecności Cartera. Agencje zachodnie zauważają, że podejmując taką propozycję prezydent USA ponownie rzuca na szalę swój autorytet, aby odblokować przewlekłe negocjacje i doprowadzić do dwustronnego układu.

Tymczasem premier Izraela — Begin odrzucił propozycję spotkania się, po burzliwej, wielogodzinnej dyskusji w rządzie. Stwierdzono oficjalnie, że jest to niemożliwe, gdyż Kair jeszcze bardziej usztywnił swe stanowisko w kwestiach, będących tematem przetargów. Owa odmowa podobno bardzo zaniepokoiła Waszyngton. Jak więc sytuacja potoczy się dalej?

Kilka wierszy poświęćmy jeszcze na zasygnalizowanie, iż w ostatnich dniach wyraźnie wykrystalizowały się w **Iranie** dwie tendencje, które mogą na nowo skomplikować sytuację w kraju. Pierwszą z nich jest lewica, która zaprezentowała się jako dobrze zorganizowana siła świecka nie kapitulująca przed ruchem muzułmańskim. Druga — to separatyzm Kurdów irańskich, którzy domagają się odrębności. Rosnące napięcia we froncie antymonarchistycznym skłoniły nowego premiera — Bazargana do zagrożenia dymisją jeśli szybko nie zapanuje ład i wewnętrzna subordynacja.

W. SŁAWSKI

Z PRASY

◀ Nad rządem Republiki Południowej Afryki zawisła groźba wotum nieufności w związku z działalnością dwóch osób, cieszących się niegdyś ogromnymi wpływami w kraju. Są to: b. premier, a obecnie prezydent RPA, J. Vorster oraz były szef służby wywiadowczej, gen. Van den Berg. Kiedy w ub. roku wyszły na światło dzienne pierwsze fakty o ciemnych machinacjach wywiadowczego Biura Informacji, nastąpił poważny konflikt w łonie rządzącej Partii Narodowej, co znacznie skomplikowało rządzenie krajem. Partie opozycyjne zdecydowane do powiązania nazwiska Vorstera i, gdyby się to udało, także obecnego premiera P. Bothy, z nadużyciami państwowymi na ogromną skalę.

Były kierownik Biura Bezpieczeństwa Publicznego, gen. Van den Berg, w tych dniach rozmyślnie rzucił cień na rząd, składając oświadczenie przed komisją badającą działalność Biura, że na bieżąco informował J. Vorstera, kiedy ten zajmował stanowisko premiera, o wszystkich tajnych planach i działalności Biura, włącznie ze sprawą wyasygnowania 31 mln dolarów na sfinansowanie pewnej formalnie niezależnej gazety, która propagowała politykę rządu. Jednakże komisja odrzuciła to oświadczenie i twardo obstaje przy swojej wersji, że Vorster „jest niewinny". Zdaniem komisji, gen. den Berg, b. min. inofrmacji K. Mueller i podległy mu urzędnik E. Roody, są głównymi inicjatorami licznych tajnych i nielegalnych operacji, na które „wydali" łącznie około 100 milionów dolarów.

„FINANCIAL TIMES" — LONDYN

◀ Jak poinformował pewien urzędnik, będący autorytetem w dziedzinie handlu z ZSRR, wartość amerykańskiego eksportu do Związku Radzieckiego może wynosić 10 miliardów dolarów w ciągu najbliższych pięciu lat, jeśli Stany Zjednoczone zechcą się wokół tego zakrzątnąć. Jak powiedział prezydent Amerykańsko-Radzieckiej Rady Handlowo-Ekonomicznej, Mike Forrestol, Stany Zjednoczone mogłyby w takim wypadku zmniejszyć saldo swego wewnętrznego bilansu handlowego i osłabić napięcie między dwoma wielkimi mocarstwami nuklearnymi. Objętość eksportu amerykańskich towarów do ZSRR zwiększyła się ze 100 mln dolarów w 1972 roku, do 800 mln w 1976 r., ale zmniejszyła się w ciągu ostatnich dwóch lat do 600 mln dolarów. Winę za to, powiedział Forrestol, w dużym stopniu ponoszą Stany Zjednoczone. Uważa on, iż Rosjanie bardzo chcą handlować, ale przeszkadza temu amerykańska polityka. Powołanie Rady, której prezydentem został Forrestol w ub. roku, jest owocem handlowego odprężenia, do którego dążyły obie strony. Przy pomocy swoich przedstawicielstw, w których pracują i Rosjanie i Amerykanie w Stanach Zjednoczonych i w Moskwie, Rada efektywnie rozszerzała handel do momentu, aż Kongres USA odmówił przyznania ZSRR klauzuli największego uprzywilejowania do chwili, gdy zostanie zliberalizowana polityka Związku Radzieckiego w sprawie emigracji. W odpowiedzi Rosjanie odrzucili parafowane już porozumienie handlowe. W konsekwencji oni zostali bez amerykańskich kredytów, a amerykańskie opłaty celne są tak wysokie, iż eksport radzieckich towarów do USA praktycznie traci sens. Jak powiedział Forrestol, „on i Rada będą zadowoleni, jeśli w ciągu roku lub półtora uda się pokonać przeszkody stojące na drodze handlu ze Związkiem Radzieckim".

„ASSOCIATED PRESS" — NOWY JORK

UŚMIECH MĘDRCA

Z jubileuszem osiemdziesięciolecia urodzin Horacego Safrina, obchodzonym przez łódzkie środowisko literackie w styczniu bieżącego roku, zbiegło się opublikowanie nowego zbioru bajek oraz facecji żydowskich tego zasłużonego i popularnego autora.

Safrin zadebiutował tomikiem „Poezji" jako czternastoletni młodzieniec i od tej pory systematycznie ogłasza swoje utwory. Jest nie tylko poetą, satyrykiem, kolekcjonerem anegdot i przysłów. Jego artystyczna biografia jest o wiele bogatsza. Już jako student filologii germańskiej i angielskiej w Wiedniu zgłębiał tajniki wiedzy teatralnej, a potem szmat czasu spędził na scenie eksperymentalnego teatru im. Goldfadena w Stanisławowie. Pracował tam nie tylko jako aktor — pełnił również funkcję kierownika literackiego, reżyserował liczne spektakle, a gdy zaistniała potrzeba występował jako konferansjer. Horacy Safrin własnym piórem zasilał repertuar teatru: pisał rewie satyryczne (wystawiane także na innych scenach), tłumaczył na język żydowski wybitne utwory literatury światowej, między innymi Szekspira, Strindberga, Przybyszewskiego. Na język polski przekładał autorów żydowskich. Dodajmy do tego, że twórczość oryginalną autor „Przy szabasowych świecach" (która to książka ukaże się w tym roku po raz piąty) uprawia nie tylko w języku polskim — pisuje też po żydowsku i niemiecku.

„W arce Noego" jest dwudziestą książką Horacego Safrina. I z pewnością nie ostatnią, bo na druk czeka już zbiór nowych humoresek, anegdot i przysłów żydowskich oraz rymowana „Biblia na wesoło". Zbiór ten nosił będzie tytuł „Dlaczego się rozwiodłem?" Nim jednak wspomniana książka się ukaże odpowiedź na to intrygujące pytanie znaleźć możemy już teraz:

Prawda to stara jak sam Matuzalem:
Szakal lwu schodzi z drogi, wilk drży przed szakalem,
koń przed wilkiem umyka, psy przed końmi tchórzą...
Wszyscy zaś przed złą żoną wieją jak przed burzą!

Jednocześnie zaś potraktujmy ów niewinny wierszyk (złe żony pojawiają się przecież wyłącznie w bajkach) jako przykład sztuki bajkopisarskiej Horacego Safrina. Najchętniej posługuje się Safrin formą bajki zwierzęcej. Zwierzęta symbolizują określone typy i postawy ludzkie, związki zaś i zależności między nimi odpowiadają różnym przejawom stosunków społecznych i funkcjonujących w naszym świecie instytucji. Bajki Horacego Safrina otrzymują na przemian kształt narracyjny i epigramatyczny, co po prostu urozmaica lekturę. Zakres tematyczny tych bajek opiera się w znacznym stopniu na tradycji, ukazuje przechodzące z pokolenia na pokolenie wady i przywary, ale autor ustosunkowuje się też do najnowszych zjawisk obyczajowych. Przestrzega przed szkodliwością, zachęca do działań zgodnych z etyką, tępi głupotę. Przede wszystkim zaś rozśmiesza. Cóż bowiem znaczyłby dydaktyzm bajki bez efektu humorystycznego!

Garść utworów poświęcona jest Herszlowi z Ostropola, kpiarzowi żydowskiemu z przełomu XVIII i XIX stulecia, nazwanemu przez autora Stańczykiem chasydyzmu. Safrin bardzo Herszla ceni i jakby za nim tęskni, stąd i często liryczna nuta w facecjach:

Pozostała po tobie nie pisana księga,
filuterna, swawolna, z respektu wyzuta,
i kamrat nieodłączny: humor twój, łazęga,
wystający jak palec z podartego buta.

Plebejski jest dowcip Herszla, wynikający z mądrości ludu, z potrzeby zdrowego śmiechu z różnych fanaberii i udziwnień, dla zwykłej obrony przed deformacjami cywilizowanego świata.

Za motto przygód Herszla z Ostropola posłużyły słowa Izaaka Babla: „Szakal wyje, kiedy głodny, każdemu głupcowi wystarcza głupoty, żeby się frasować, a tylko mędrzec rozdziera śmiechem zasłony bytu..." Nie zapomnijmy o tym, czytając tomik Horacego Safrina.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Horacy Safrin, W arce Noego. Bajki oraz facecje żydowskie, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, nakład 100 000 + 330 egz., s. 110, cena zł 20,— (w oprawie twardej zł 30,—).

DZIECKO OSKARŻA

Leży przede mną dwunasta książka,*) a trzecia powieść w dorobku Bolesława Faca, poety, prozaika, tłumacza poezji szwedzkiej i niemieckiej, w życiu pozapisarskim inżyniera stoczniowca, długoletniego pracownika stoczni gdańskiej. Książka jest opowieścią o dniu powszednim przed wojną pewnej zasiedziałej rodziny i jej kręgu sąsiedzkiego w nie nazwanym mieście na zachodnich rubieżach przedwojennej Polski i o wrześniowej tułaczce. Fac stara się i miastu, i losom ludzkim, nadać cechy maksymalnej typowości czy — może lepiej, powszechności, tak aby przedstawione w powieści życie, jego specyfika i konflikty pasowały do życia każdego z miast wielkopolsko-pomorskiego makroregionu.

Konwencja, po którą w „Ucieczce niedaleko" sięgnął Fac, wydawałaby się na pierwszy rzut oka nieprzydatna, czy wręcz ryzykowna dla ukazania spraw bardzo istotnych i rzucenia potępień bardzo zasadniczych. Jest to konwencja pokazywania świata ludzi dorosłych oczyma dziecka i mówienia o ich złożonych sprawach w sposób zgodny z jego możliwościami interpretacji. Książce w niej pisanej grożą wybitnie dla niej niebezpieczne Charybdy i Scylle — w postaci już to wpadnięcia w „świerszczykowy" infantylizm, już to w ple-ple a la „Rodzina Matysiaków". O tym że na żadnej z groźnych tych skał powieść Faca nie rozbiła się, zadecydowały dwie okoliczności: pewne dość istotne analogie w sposobie widzenia świata przez dziecko i dorosłych o określonych środowiskowo cechach charakterologicznych oraz pewna pastelowość odbioru świata przez dziecko.

Jedną ze wspomnianych analogii jest widzenie wszystkiego oddzielnie. Tak widzi dziecko z natury rzeczy i tak skłonne jest widzieć świat, środowisko, w którym się to właśnie wychowuje. Widzenie zaś wszystkiego oddzielnie jest, jak to m .in. sformułował Tuwim w znanej satyrze „Mieszkańcy", jak raz właściwością tego środowiska. Mimo urzędniczych zawodów obojga rodziców, jest ono drobnomieszczańskie — w pochodzeniu w pewnych cechach obyczajowości czy mentalności. O tym zresztą za chwilę, tu powiedzmy jeszcze, że zderzenie pastelowości odbioru świata przez dziecko z wydarzeniami, o których dobrze wiemy, że są przerażające, wywołuje w nas, czytelnikach, swoistą eksplozję wzburzenia.

Nazwałem przedstawiony w „Ucieczce niedaleko" świat drobnomieszczańskim. Wiem, że w naszym odczuciu brzmi to nie bardzo sympatycznie, nawet obraźliwie. Ma przecież cholernie złe imię i w literaturze okresu przegięć, i co w tamtej posiadającej już autorytet klasyki: „Moralność pani Dulskiej", „antymydlarska" twórczość i anegdota Młodej Polski, wspomniana wyżej bezlitosna satyra na „strasznych mieszczan" Tuwima. Zgoda. Tyle, że pokazani bardzo wiernie przez Faca mieszczanie wielkopolscy, poza myśleniem oddzielnie i niewybieganiem wyobraźnią i aspiracjami w daleki świat, niewiele mieli wspólnego z galicyjskimi Dulskimi czy kongresowiackimi kołtunami, co to „w strasznych mieszkaniach" zasypiają „z mordą na piersi". Przypominają za to żywo sympatycznych poczciwców — mieszczuchów z czeskiego filmu, specjalizującego się, jak wiadomo, w przedstawianiu owych ludzi z serdecznym przymrużeniem oka. Jako że ci u Faca — zgodnie zresztą z ocenami socjologów i wspomnieniami mojego pokolenia — właśnie byli poczciwi. Lubili dzieci, byli pracowici, rządni, zgodliwi (jedyne w „Ucieczce niedaleko" niesnaski wybuchły przelotnie między rodzicami narratora, którzy zresztą jako pracownicy umysłowi musieli już nasiąknąć po trosze i inteligenckością — i te jednak rychło kończą się trwałym pojednaniem, a przy tym bynajmniej nie miały przebiegu brutalnego); byli towarzyscy, życzliwi dla innych, wbrew oczekiwaniom bynajmniej nie żywiący uprzedzeń narodowościowych do Niemców — sąsiadów o dom, o skrzyżowanie ulic, o słupy graniczne w pobliżu miasta. I to mimo wystawionych przez niedawną jeszcze przeszłość pod zaborem — rachunków krzywd.

Wyniósłszy z tej niedawnej przeszłości znajomość języka niemieckiego, posługują się nim bez jakowejś abominacji — m. in., gdy nie chcą, by dzieci rozumiały, o czym mówią. Widzą — powiedzieliśmy to już — wszystko oddzielnie i — też wspomnieliśmy — nie są zbyt ciekawi nowinek z dalszego świata: wystarcza im własny — rodzinno-sąsiedzki. Nie posiadają zbyt ruchliwej wyobraźni, i umiejętności przewidywania, toteż obce są im lęki eschatologiczne i co znamienniejsze — te bardzo realne — gwałtownie zaostrzającą się sytuacją polityczną. Niewiele jest o niej, mowy, jak wynika ze skąpości miejsca poświęcanego tym sprawom w narracji dziecięcego porte-parole autora, w rozmowach starszych i to w chwili, gdy na tę część Europy, i na ich miasteczko, w pobliżu którego musiałaby przebiegać zażądana przez Hitlera autostrada eksterytorialna — zwrócone są drapieżne bądź niespokojne spojrzenia polityków agresji i naszych dziwnych gwarantów. Niewiele — albowiem lubiący ład, spokój i nie pożądający żadnej cudzej rzeczy bohaterowie książki Faca nie są w stanie — podobnie jak patrzący niezmiennie na świat ufnymi oczyma malutki narrator — wyobrazić sobie, że któregoś pogodnego ranka jacyś ludzie, jakaś siła, jakaś niepojęta apokalipsa zechce totalnie zagrozić ich egzystencji, zakwestionować ich prawo do cieszenia się sobą i posiadania schludnych, zagospodarowanych mieszkań z kanarkami w klatkach.

Monolog małego narratora toczy się jednym ciurkiem przez całą powieść. Nie ma w nim przerwy oddechowej, czy pauzy dla zaakcentowania, że się jakiś ciąg wydarzeń zakończył — mówiąc inaczej, nie ma podziału na rozdziały czy nawet „świateł" w druku. A to dla oddania prawd, z których oczywistości nie zawsze zdajemy sobie sprawę — że życie nie zna jakichkolwiek przerw i że, dopóki nie uruchomimy analitycznych mocy naszego umysłu, których potencje bywają również i uwarunkowane środowiskowo, w świadomości naszej rozgrywają się właściwie na jednym planie sprawy doniosłe i np. wypuszczenie kanarka z klatki, żeby sobie trochę pofruwał po pokoju.

Piszę o tym. m. in. po to, żeby podkreślić, iż w narracji dziecka — którego percepcja świata, jak pisaliśmy, nie jest zbyt odległa (gdy weźmiemy poprawkę na wiek i wykształcenie) od percepcji środowiska — nie ma jakiejkolwiek cezury między ostatnim tygodniem pokoju, a tym, co się stało pierwszego września. Wojna zjawia się w jego opowieści jak kukułcze pisklę w cudzym gnieździe nagle, bez żadnej zapowiedzi i jak kukułcze pisklę rozpycha się i unicestwia na tym jednoplanowym świecie różnoważnościowych zdarzeń w świadomości chłopca i środowiska — wszystko, co nie jest wojną.

I gdy dziecięcy narrator trafiony podczas wędrówki zabłąkaną kulą, znalazłszy się na granicy życia i śmierci, jeszcze raz rozejrzy się po świecie, i wówczas spojrzenie jego nie straci niczego z dziecięcej ufności do mądrego świata dorosłych, a też i wówczas nie odbije się w nich nienawiść.

I to spojrzenie inteligencko-drobnomieszczańskiego dziecka oraz owcza bezradność dorosłych z jego środowiska — wprawdzie widzących wszystko oddzielnie — co nie jest ich winą ani grzechem) lecz spokojnych, bez wybujałych pożądań i nie życzących nikomu niczego złego — czyni z powolnie jak woda sączącej się do niedawna opowieści — książkę wstrząsającą. Oskarża wojnę i jej sprawców kto wie, czy nie silniej, niż bogata literatura patetycznego krzyku.

Może przyczyną jest niezbyt częste ukazywanie tego właśnie nieheroicznego środowiska w powieściach o wojnie i okupacji? Może przedawkowanie literatury tamtej? A może dyskretny urok... tak rzadkiej dziś w pisarstwie skromności i prostoty? Dość, że ta nader lichutko wydana powieść Faca, nie rzucająca się w oczy na witrynach, nie kokietująca czytelnikami żadnymi „śmiałymi scenami" ani chodliwymi ekscentrycznościami, jest moim niemodnym, zdaniem, piękna i ważka jak mało która.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

*) Bolesław Fac, „Ucieczka niedaleko", Wydawnictwo Morskie, Gdańsk, 1978, zł 16.—

Z GRECJI VIA ATLANTYK

Czekaliśmy na tę premirę bardzo długo, właściwie już od momentu, w którym dyrektor Wodiczko zapowiedział wprowadzenie „ZORBY" do repertuaru Teatru Wielkiego, a było to bodaj półtora roku temu... Byliśmy niezmiernie ciekawi tego musicalu, tym bardziej, że dopiero łódzka, prapremierowa w naszym kraju inscenizacja, miała otworzyć mu drogę na polskie sceny. Ciekawość nasza — trzeba to przyznać — miała u swego podłoża cień niepokoju i obawy. Takie bowiem uczucia jawią się w nas zwykle na wieść, że coś, co znamy i cenimy, ma oto przybrać zupełnie nowy kształt, skonkretyzować się w innej materii, w innym zgoła gatunku.

Wspaniałego Zorbę — postać będącą uosobieniem optymizmu, głębokiej wiary w człowieka i nieprzemijającą urodę życia poznaliśmy już dość dawno. Przybył do nas najpierw na filmowej taśmie, potem zaś wracał ku nam, ilekroć wyciągnęliśmy dłoń po książkę, z której kart tak sugestywnie przemawiała do nas jego pełna greckiego słońca filozofia życia.

Na przeciwległej półkuli takie znajomości z bohaterami literackimi chętnie zawiera się przez musical. Czy jednak w takim wypadku rzeczywiście chodzi o popularyzację wartości literackich? O nie, nie łudźmy się! Już sam fakt, że autorzy musicali sięgają najczęściej po sprawdzone wzory, świadczy, że twórcami tymi rządzą twarde prawa rynku, na którym wartość określa się wysokością popytu, a w tym przypadku mocą frekwencji i aplauzu publiczności. A że publiczność pokochała Zorbę gwałtowna, czasem zbyt zachłanną miłością, nic więc dziwnego, iż jego nowe, musicalowe wcielenie przyjęła z radosną wdzięcznością dla autorów kolejnego przeboju Broadwayu.

John Kander i Fred Ebb napisali razem kilka musicali. Współpracują też z wytwórniami w Hollywood przygotowując opracowania muzyczne do powstających tam filmów (dwa lata przed „Zorbą" powstał m.in. ich „Kabaret"). Przystępując do pracy nad nową wersją opowieści o Greku, który tańcem wyrażał bogactwo swoich przeżyć, mieli więc za sobą wiele cennych doświadczeń, dużą swobodę w kształtowaniu muzycznego i literackiego tworzywa, w dowolnym operowaniu nim dla potrzeb sceny i zgodnie z wymaganiami tego niezwykle trudnego gatunku, jakim jest musical. Przystąpiwszy więc do dzieła, pewni perfekcji swojego warsztatu twórczego, skomponowali rzecz o sporych walorach artystycznych i dużych a wcale nie bezpodstawnych ambicjach dorównania pierwowzorowi (zwłaszcza filmowemu). Powstało zatem dzieło ze świetną muzyką, zwartą i jasną konstrukcją fabularną, niezwykle wartką (dzięki mnogości króciutkich scen) akcją i dobrymi piosenkami. Cztery świetnie, choć skrótowo zarysowane postacie oraz nawiązująca do reguł greckiej sztuki teatralnej osoba Leadera, któremu powierzono rolę wieszczącego i komentującego przebieg akcji chóru, znakomicie rozgrywają ów dramat. Te walory znakomicie odpowiadają wymaganiom stawianym musicalowi. Czegóż zatem chcieć więcej? Nie dodać — nie ująć. Sukces sceniczny pewny! „Zorba" zdobył Broadway!

Niedostatki rodzimej produkcji w zakresie musicalu, a w końcu także chęć zaspokojenia głodu dobrej rozrywki i nurtującej naszego odbiorcę ciekawości przebojów wielkiego świata — oto główne powody dla których dziełko to zjawiło się na naszej scenie. Kierownictwo muzyczne przygotowanego w Teatrze Wielkim spektaklu objął Tadeusz Kozłowski, a nadanie widowisku najciekawszego kształtu scenicznego powierzono szwedzkim twórcom: Holgerowi Reenbergowi (reżyseria i choreografia) i Göranowi Arfsowi (scenografia), kierując się w tym wyborze faktem, iż mają oni w realizacji „Zorby" duże doświadczenie, z powodzeniem wystawiali bowiem ten właśnie musical na kilku scenach swojego kraju. Mieczysław Rymarczyk przygotował chór i oto broadwayowski musical zjawił się przed nami w całej swej okazałości, a my już po kilku minutach wiedzieliśmy... czego poza organicznymi walorami, które wynikają z kompozycji i libretta można by chcieć więcej, by bardziej jeszcze ucieszył on nasze oczy i uszy. Z całą świadomością używam tu słowa „bardziej", by zaznaczyć, że łódzka inscenizacja bynajmniej nie rozczarowała mnie niemile, aliści pewne jej punkty wydały mi się odrobinę za słabe.

Zacznijmy jednak od pozytywów. Nie budzi zastrzeżeń muzyczna strona spektaklu, świetnie brzmiąca i dobrze prowadzona orkiestra zwracała tego wieczoru uwagę jakąś daleką i egzotyczną barwą. Reżyser wyraźnie zaznaczał główne akcenty fabularne. Szkoda tylko, że nie wszystkie rozwiązania sytuacyjne tchnęły szlachetnością równą tej, jaka zachwyciła nas w scenie miłosnych wyznań Nika i Wdowy (w scenę tę pięknie wplótł inscenizator partię Leadera, jemu właśnie każąc wyjawić uczucia pięknej kobiety i być jej lecącą ku młodzieńcowi serdeczną myślą).

Mniej podobała się scena w tawernie, gdzie Zorba przepija pieniądze swego chlebodawcy, sporo zastrzeżeń dla swego zbyt chyba ostrego konturu budzić może scena pierwszych przekomarzań Zorby z „Bubuliną" (ta z broadwayowskim zgoła „chórkiem admirałów" w tle). Mało przekonywające wydały mi się sceny zbiorowe. Było ich wiele, a tylko kilka z nich (scena otwierająca spektakl, śmierć Bubuliny, scena finałowa) mogło podobać się publiczności. Układy choreograficzne zyskały zasłużony aplauz widowni. W nadaniu spektaklowi wartkiego tempa, jakiego wymaga filmowy niemal montaż poszczególnych scen nie pomógł, niestety, scenograf. Plastyczna strona przedstawienia tchnęła wyraźnym brakiem jednoczącej całość koncepcji stylistycznej. Dla proponowanej w jej miejsce różnorodności rozwiązań i stylów nie znaleźliśmy, niestety, uzasadnienia.

Serdeczne uczucia budzą wykonawcy czołowych partii tego widowiska, a szczery zachwyt jego główny bohater — Włodzimierz Zalewski — znakomity wokalnie, pokazał również niezwykle sugestywne, wysokiej klasy aktorstwo, tworząc postać wielowymiarową i wstrząsającą swym prawdziwym człowieczeństwem.

Równie przekonywający wydał mi się Kazimierz Kowalski, choć w jego propozycji aktorskiej zabrakło, moim zdaniem, tej prawdy, którą niesie w sobie Zorba. Wolelibyśmy także, aby tak dobrze śpiewający i świetnie tańczący odtwórca roli Nika wkładał nieco mniej deklamatorskiej siły w wykonanie partii mówionych. Ta ostatnia uwaga odnosi się zresztą do wszystkich, poza Włodzimierzem Zalewskim, wykonawców przedstawienia. Uznanie widzów, także i tym razem w pełni zasłużone, zdobyła Alicja Pawlak (Hortense—Bubulina). Jej piosenka o wspaniałej młodości i otaczającym ją niegdyś uwielbieniu była prawdziwym majstersztykiem wokalnym i aktorskim. Siłę dramatycznego wyrazu ujawniła artystka w ostatnich scenach, które widownia przyjmowała w skupieniu i ciszy. Ewelina Kwaśniewska jako piękna Wdowa wniosła do spektaklu subtelność i łagodny liryzm otaczając nim kreowaną przez siebie postać. Bardzo podobała się Izabela Kobus-Udorowiecka. W jej pierwszej scenie (podobnie jak u wszystkich wykonawców) czuło się element skrępowania nowym, odbiegającym przecież od klasycznego stylu operowego, sposobem śpiewania ale w dalszej części niezwykle trudnej partii Leadera poprowadziła ją tak dobrze, że na widowni wyczuwało się oczekiwanie na każde następne wejście tej postaci prowadzącej spektakl meandrami dość zawiłej akcji i skomplikowanych przeżyć bohaterów.

Duży zespół pozostałych wykonawców wypada ocenić pozytywnie. Nie znajdując w utworze materiału na wyraźnie zarysowane role, stworzyli oni jednak ciekawe i zróżnicowane tło dla głównych protagonistów i rozgrywających się zdarzeń. Odnotujmy zatem interesujący udział w tym przedstawieniu Tomasza Fitasa, Jerzego Jadczaka, Jerzego Rynkiewicza, Stanisława Heimbergera, Eugeniusza Niziola, Adama Dulińskiego, Ireneusza Jakubowskiego i Stanisława Michońskiego.

Zespół Teatru Wielkiego zaliczyć może ten spektakl do udanych. Zapewne pojawią się jednak także nie pozbawione racji głosy twierdzące, iż „Zorba" w większym jest stopniu materiałem dla śpiewających aktorów, niż grających śpiewaków. Warto zadumać się nad nimi przez chwilę i może popracować jeszcze nad tempem i aktorską stroną przedstawienia, choćby po to, by z dobrego uczynić je bardzo dobrym.

Żałować wypada, że pracy takiej nie mogą już podjąć autorzy polskiego przekładu libretta i piosenek. Przekłady te wydają się ciężkie, a piosenki pozbawione koniecznej prostoty, która nie musi przecież przekreślać szlachetności, sformułowań. Autorowi zależało na niej tak bardzo że nazbyt wymyślnych używał w niektórych piosenkach skojarzeń, nazbyt wymyślna posługiwał się stylistyką, czyniąc przez to niektóre z nich (piosenka Nika) niemal niezrozumiałymi. A szkoda, bo o problemach, które porusza ten musical — o miłości i śmierci, radości i rozpaczy, o szczęściu i wolności, o pięknym greckim słońcu, o zwykłym życiu — należy mówić zwykłymi, prostymi słowami. Dopiero wtedy brzmią prawdziwie.

EWA PANKIEWICZ

Włodzimierz Zalewski — Zorba i Kazimierz Kowalski — Niko.
Foto. Chwalisław Zieliński

„Wódz" w Nowym

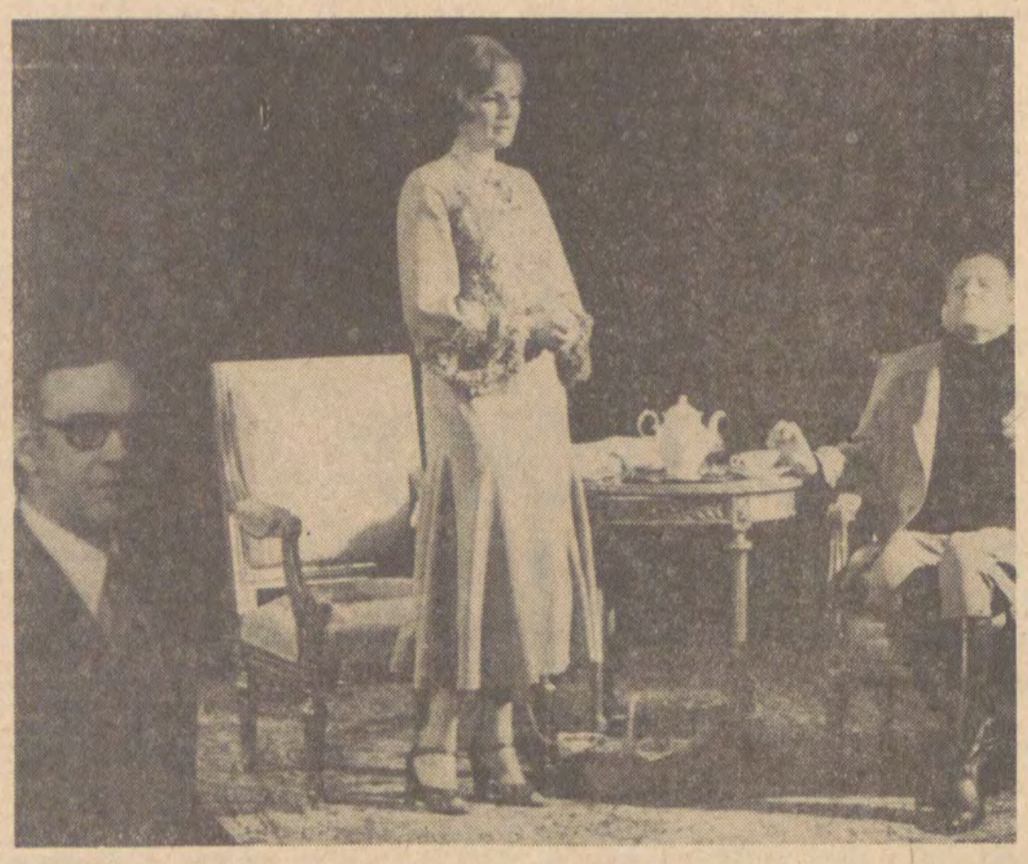

Od lewej: ◆ Andrzej Żarnecki — Narrator, Róża Czaplewska — Hrabina, Zbigniew Józefowicz — Wódz.

Foto: Jerzy Neugebauer

BIEDNEMU WIATR W OCZY

W ubiegłym tygodniu telewizja zakończyła emisję dwóch seriali: amerykańskiej „Pogody dla bogaczy" i rodzimego „Śladu na ziemi". Oba zasługują bez wątpienia na uwagę. Dla nas większe znaczenie ma seria filmowa Zbigniewa Chmielewskiego ze względu na jej bezpośredni styk z rzeczywistością, w której żyjemy. Z tych względów Redakcja „Odgłosów" zorganizowała dyskusje na ten temat z udziałem naukowców, krytyków filmowych i praktyków życia gospodarczego. Plon tej wymiany zdań będę miał przyjemność zaprezentować na łamach naszego pisma w następnym numerze.

Serial reżysera Davida Greene'a „Pogoda dla bogaczy" (tytuł oryginału: „Poor men rich men"), nakręcony na motywach powieści Irwina Shaw'a pod tym samym tytułem, przez dziewięć tygodni odwiedzał nasze domy w rytmie siedmiodniowym. Nie bez kozery porównuję tu serial z odwiedzającymi nas w domu gośćmi. Bohaterów takiego telewizyjnego sekwensu można bowiem rozpatrywać w podobnych kategoriach. Gdy pojawiają się po raz pierwszy, jesteśmy wobec nich nieufni, jak wobec ludzi, których dopiero co poznaliśmy. Przyglądamy się im, śledzimy, staramy się ich sobie określić. Stopniowo, w miarę kolejnych edycji, zaczynamy ich poznawać coraz lepiej, wyrabiać sobie o nich opinię, obdarzać ich sympatią lub antypatią. Przy czym uczucia nasze nie zawsze zgodne są z intencjami autorów serialu. Jak w życiu: często ludzie, których ze względu na ich zalety powinniśmy polubić, nie budzą w nas cieplejszych uczuć i na odwrót. Myślę jednak że dobry warsztat reżyserski i scenariopisarski potrafi nam narzucić punkt widzenia autorów.

W przypadku „Pogody dla bogaczy" główni bohaterowie, bracia Rudi i Tom Jordache, ukształtowani zostali w sposób modelowy. Zasadniczym chyba zadaniem realizatorów i wykonawców tych ról było odpowiednie zróżnicowanie obu braci, scharakteryzowanie ich na zasadzie opozycji. Aktorzy Peter Strauss i Nick Nolte (nazwiska ich zdradzają niemieckie pochodzenie, tak jak niemiecką była proweniencja rodziny Jordache'ów) już zewnętrznie stanowili w serialu przeciwieństwo. Rudi i Tom przeciwstawieni są sobie w różnych płaszczyznach.

Pierwszy z nich jest typem konformisty, choć nie pozbawionego zalet i uroku, któremu niejednokrotnie ulegaliśmy podczas oglądania serialu. Jest to człowiek, który potrafi uporządkować swoje życie i dążyć konsekwentnie do wyznaczonych sobie celów. Głównym celem Rudiego w pierwszym okresie było zdobycie wykształcenia i związanej z nim wyższej pozycji społecznej. Po uzyskaniu tego szczebla skupia się na szybkim robieniu majątku. Wykazuje przy tym rzutkość, pomysłowość i silny charakter, słowem cechy umożliwiające mu w warunkach powojennej koniunktury stać się bogatym i cenionym byznesmenem. Taka sytuacja w warunkach amerykańskiego establishmentu stworzyła świetną pozycję wyjściową do kariery politycznej.

Jeżeli pokusić się o określenie tej cechy charakteru Rudiego, która była determinantą jego powodzenia życiowego, wymienić by należało upór. Z podziwu godnym uporem pnie on się w górę i na ogół wygrywa. Upór jego przejawia się nawet w sferze uczuciowej. Przez ileż to lat nie rezygnuje z walki o Julie, swoją pierwszą młodzieńczą miłość!

Dramatem Rudiego jest to że realizacja zamierzeń nie przynosi mu szczęścia. Sumują się jak gdyby wszystkie kompromisy z własnym sumieniem, na jakie poszedł w przeszłości. Osoba która mimo woli wymierza mu sprawiedliwość, jest ukochana kobieta, doprowadzająca do załamania się jego tak wspaniale rozpoczętej kariery politycznej.

W szybkim stosunkowo czasie przekonaliśmy się, że gwałtowny, porywczy Tom znacznie góruje moralnie nad swoim bratem. Zdradza go owa łza, spływająca mu po policzku, gdy opuszcza dom rodzinny, wdawszy się uprzednio w grubiańską awanturę z ojcem. Tom nie ma cech charakteru które otworzyłyby mu szansę szybkiego awansu w społeczeństwie amerykańskim. Jest na to zbyt impulsywny, spontaniczny, bezinteresowny. Sam pcha się w kolejne tarapaty, które snują się za nim przez całe życie jak pasmo dymu i dają o sobie znać na koniec: śmierć dosięga Toma w momencie, gdy wreszcie uporządkował swoje życie i znalazł szczęście.

Jakie więc jest ostateczne posłanie serialu „Pogoda dla bogaczy"? W zasadzie obaj bracia Jordache w pewien sposób przegrywają. Rudi ma jednak jeszcze pewną szansę uratowania się. Śmierć brata zapewne dopomoże mu zrozumieć, na czym polegały jego błędy, dokąd zaprowadził go jego egoizm. Prochy Toma wrzucone zostały do morza. On już żadnej szansy nie ma.

Więc? Biednemu wiatr w oczy?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Ten okropny Przybyszewski

„Ten okropny Przybyszewski" — takie słowa padały wciąż za życia pisarza i wiele lat po jego śmierci. Mówiąc i pisząc o Przybyszewskim nie przebierano w słowach. Przed paru laty, przy okazji książki Ewy Kossak o Dagny Przybyszewskiej, popularny magazyn pisał: „grafoman, alkoholik, komediant i kłamca".

Tyle potrafił powiedzieć współczesny krytyk o pisarzu, który wywarł ogromny wpływ na literaturę Europy początków wieku. Ale jeśli nawet owe epitety są w trzech czwartych prawdziwe, to co z tego wynika?

Przybyszewski jest w literaturze postacią kontrowersyjną i większa część jego dorobku dziś jest raczej mało czytelna. To prawda, ale prawdą jest również i to, że Przybyszewski w literaturze polskiej funkcjonuje jako wcale nie ostatnia postać. Przed laty ukazała się solidna i obiektywna książka prof. Stanisława Helsztyńskiego o Stanisławie Przybyszewskim. Pisał o nim Boy — w tonacji sentymentalno-wspomnieniowej, co zresztą jest zrozumiałe. Przewijał się przez książki Krystyny Kolińskiej, spisującej losy znanych postaci minionej epoki. Przewijał się zresztą przez wiele pamiętników i wspomnień.

Był bowiem postacią tyle fascynującą, co ogromnie kontrowersyjną. Jako człowiek był — być może — postacią małą, nieczułą, czasem wręcz odrażającą. Ale ocena twórczości i śladu pozostawionego w literaturze nigdy nie bywa oceną uczciwą, gdy się jej dokonuje przez dziurkę od klucza. Gdy mowa o twórczości, nie mają sensu plotkarskie dywagacje na temat intymnych, głęboko osobistych spraw. Każdy artysta nosi bowiem w sobie jakieś odchylenie od normy, które jednocześnie jest błogosławieństwem jako artysty i przekleństwem jako człowieka.

A jednak właśnie Przybyszewskiemu należała się taka książka, jaką napisała Krystyna Kolińska. Książka nie mówiąca o jego twórczości, a właśnie o jego kolejnych żonach i licznej gromadce dzieci.

Legenda o tym okropnym Przybyszewskim musiała zostać zrównoważona rzetelną, bez uprzedzeń napisaną książką o okropnym życiu tego pisarza.

Jaki był naprawdę Stanisław Przybyszewski? Czy był inspiratorem zła, demonicznym szatanem czy człowiekiem o ewangelicznej dobroci i gołębim sercu? Czy był ofiarą dziedziczności czy sam zaprogramował swoje tragiczne życie? Jakim był synem, mężem, kochankiem, ojcem i przyjacielem?

I dlaczego był taki? Czym fascynował i zniewalał? Czym oburzał?

Swoją rzetelną książkę oparła Krystyna Kolińska na dokumentach — na wiarygodnych świadectwach. Nie ma w tej książce uprzedzeń, choć o nie tak łatwo.

Z opowieści o „Stachu" wyłania się postać bardziej może tragiczna niż zła, bardziej chora niż nieczuła. Twórczość Przybyszewskiego przysypał już popiół zapomnienia. Fragmenty jego młodopolskich powieści, pisanych nieznośną dziś manierą, czytają czasem artyści kabaretowi dla rozbawienia publiczności. Jego manifesty poetyckie są dziś tylko historycznym dokumentem.

Odtrącona, zlekceważona córka Stanisława, autorka „Sprawy Dantona", pół wieku po swojej śmierci przeżywa renesans na współczesnych scenach. Twórczość córki wytrzymała próbę czasu — sztuk Przybyszewskiego dziś po prostu nie da się grać, są tylko literacką ciekawostką.

A przecież Stanisław Przybyszewski funkcjonuje w świadomości kulturalnego Polaka lat siedemdziesiątych. Przetrwała jego legenda. Myślę, że najtrwalszym, twórczym dorobkiem tego pisarza nie są jego słowa zapisane na papierze, ale jego pokrętne, pełne sprzeczności, szaleństw i dramatów życie. Właśnie, jego życie było tym tworzywem, z którego sam ukształtował swoją legendę.

Nic zatem dziwnego, że właśnie to życie bardziej interesuje współczesnego pisarza i czytelnika, niż owe powieści, poematy i sztuki teatralne — doszczętnie zwietrzałe, obce naszej wrażliwości, puste, a czasem, po prostu — śmieszne.

Potrzebna więc była opowieść o tym życiu, opowieść spisana przez kogoś wrażliwego i obiektywnego. Sam Przybyszewski na krótko przed śmiercią podjął próbę opisania swojego życia we wspomnieniach „Moi współcześni". Niestety, artysta, który tak dramatycznie zainscenizował własne życie, opisał je w sposób skłamany, niepełny i nudny.

Dopiero Krystyna Kolińska dopisała „Moim współczesnym" rozdziały odkrywające możliwie pełną prawdę o tym tragicznym życiu.

JERZY WILMAŃSKI

Dylematy gwiazdorstwa

W krótkim czasie, weszły na nasze ekrany dwa filmy, których tłem jest świat amerykańskiego show-businessu, a głównymi postaciami — najświetniejsze gwiazdy music-hallu, Liza Minnelli i Barbra Streisand, którym partnerują Robert De Niro i Kris Kristofferson.

Ambitny Martin Scorsese, wskrzeszając w filmie „New York, New York" lata czterdzieste i pięćdziesiąte, a tym samym epokę „Big Bands" z wszystkimi jej stylami muzycznymi, aż po nowoczesny jazz, dając swym aktorom znakomitą szansę prezentacji wszystkich swych umiejętności aktorskich i piosenkarskich, nie poprzestał na rekonstrukcji klimatu tych czasów. Poprzez biografię swych bohaterów, których różnią tak artystyczne upodobania jak i stosunek do wykonywanego zawodu, powiedział Scorsese coś więcej o ludziach, których życie łączy się ze sztuką. Mówił nie tylko o talencie i cenie, jaką się zań często płaci, mówił o pasji pracy i o wyborach, o autentyczności i o rutyniarstwie, o zależnościach sztuki i wielkiego biznesu, co jest znamiennym signum współczesnej kultury.

Prezentując muzykę i jej na różny sposób znakomitych wykonawców (prawdziwa w całości Liza Minnelli i „syntetyczny" Robert De Niro, uzupełniany muzycznie przez saksofonistę Georgie Aulda), Scorsese swój musical zrealizował pastiszowo w stylu hollywoodzkim. W tym pastiszu jest coś z autobiografii reżysera, który w Ameryce realizuje filmy „Alicja już tu nie mieszka" i „Taksówkarz", a potem „New York, New York" — a więc coś z autobiografii artysty uwikłanego w różne warianty kultury.

Przypominam tu film Martina Scorsese nie tylko ze względu na zbitkę w czasie z drugim amerykańskim filmem muzycznym, który możemy obecnie oglądać, a więc z „Narodzinami gwiazdy" w reżyserii Franka Piersona. Ta zbieżność w czasie sprawia, że dość przypadkowo oba te filmy stają się lekcją dziejów estradowej muzyki. Style wykonawcze, które reprezentują bohaterowie „Narodzin gwiazdy", wprowadzają nas w czasy późniejsze, to znaczy w okres intensyfikacji pop-muzyki w jej różnych także stylach. Przypominam jednak film Scorsese również dlatego, że w zestawieniu z tym drugim, każe myśleć o szlachetności sztuki.

Nie chcę tu mówić, że w filmie „New York, New York" mamy do czynienia ze szlachetniejszym nurtem estradowej muzyki. Interesuje mnie styl, w jakim muzyka i jej wykonawcy stają się tworzywem i bohaterami filmu. Z pozoru zdawać by się mogło, że o jego dostrzegalnej inności decyduje w „Narodzinach gwiazdy" brutalniejsze niż ongi funkcjonowanie show-businessu i inny styl samej muzyki i sposobów jej interpretacji. I tak zresztą jest. Jednakowoż Scorsese doprowadził do idealnej harmonii wszystkich elementów swego filmu, jego znakomici wykonawcy służyli muzyce i służyli filmowi. Co więcej, jak zostało to powiedziane, udało się reżyserowi skłonić odbiorcę do odrobiny refleksji, wykraczającej poza konwencję musicalu, do refleksji o artyście w ogóle i o kinie samym także.

„Narodziny gwiazdy" są natomiast typowym produktem konwencji, przeciwko której, a'rebours, „New York, New York" został zrealizowany. Funkcjonalna w filmie Scorsese konstrukcja losów bohaterów, w „Narodzinach gwiazdy", mimo pewnej jej zbieżności, trąci fałszem melodramatycznej proweniencji. Bohaterowie tej fabuły w interpretacjach Barbry Streisand i Krisa Kristoffersona istnieją w swej doskonałości sami dla siebie. Mało znany u nas, Kristofferson — kompozytor, piosenkarz i aktor, wprowadza w pierwszej części filmu znakomitą postać pop-idola i aż żal, że w połowie opowieści scenarzyści i reżyser postać tę gubią, koncentrując uwagę na niezwykle słabej aktorsko i znakomitej jako wykonawczyni piosenek Barbrze Streisand.

Stało się tak zresztą z jej woli, to ona — zakupując prawa do scenariusza, decydując o wyborze reżysera, komponując część piosenek, czuwając nad całością układu muzycznego filmu, projektując stroje, w których występuje — zdecydowała o ostatecznym kształcie filmu, który krytyka amerykańska nazwała „ostatnim pomnikiem egocentryzmu", końcem epoki wielkich hollywoodzkich gwiazd.

Cóż tu więcej dodać? Paradoksalne — „New York, New York", przenosząc nas z czasem akcji w odległą dziś przeszłość muzyki i kina, okazał się filmem bardzo nowoczesnym i szlachetnym. „Narodziny gwiazdy", współczesne czasem akcji, ukazały mało strawne, stare oblicze kina, dość nieznośne w swych fabularnych schematach i w sposobach prezentacji wielkich gwiazd. Jako przyczynkarską dla sprawy ciekawostkę warto tu wspomnieć, iż jest ten film czwartą realizacją tego samego scenariusza, był on filmowany w 1931, 1937 i w 1953 roku. Po raz ostatni George Zukor realizował go dla Jamesa Masona i Jury Garland — matki Lizy Minnelli. Wszystkie trzy poprzednie wersje toczyły się w świecie filmu, a nie estrady.

Są jednak w „Narodzinach gwiazdy" rzeczy, które świadczą, że mógłby to być dobry film. Myślę o dwóch znakomitych sekwencjach ukazujących gigant-występy idoli piosenki, myślę o niezwykłej osobowości Krisa Kristoffersona i o kilku mistrzowskich interpretacjach Barbry Streisand, super-gwiazdy, której nieco pokory by się może przydało, ale która może w autentycznym, brutalnym świecie show-bussinessu muzycznego i filmowego nie może sobie na to pozwolić. Lizę Minnelli można uwielbiać, Barbrę Streisand trudno lubić, można ją jednak podziwiać w pojedyńczych wykonaniach. Który model estradowego i aktorskiego bycia okaże się trwalszy?

EWA NURCZYŃSKA

MANKO

Od dłuższego już czasu Andrzej Krzysztof Waśkiewicz — poeta, recenzent i edytor w jednej osobie — usiłuje się przedstawić jako rozumny sputnik pokolenia poetów polskich, którzy zadebiutowali wkrótce po roku 1960. Sam Waśkiewicz uważa się zresztą nie za recenzenta, lecz za krytyka generacji, rozumiejąc pod tym mianem teoretyka świadomości zbiorowej, który wytycza horyzonty zbłąkanym owieczkom po piórze.

„Po pierwsze — zauważa skromnie w wywiadzie dla czasopisma „Student" uważając widocznie, że młodzi ludzie nie mogą pamiętać tych spraw — jako poeta jestem związany z pewną formacją, która była wielokrotnie atakowana [1])... uprawiając określony rodzaj poezji muszę wierzyć (bo taki jest przywilej każdego piszącego wiersze), iż moja liryka otwiera największe perspektywy, jest poezją najlepszą".

Z tego przeświadczenia, będącego symptomem rzeczywiście dobrego samopoczucia, Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza zrodziło się wyznanie następne:

„Na aktualne realizacje poetyckie mogę spoglądać już z pewnej perspektywy, tak jak na to patrzy krytyk—ekspert, a nie krytyk—ideo-

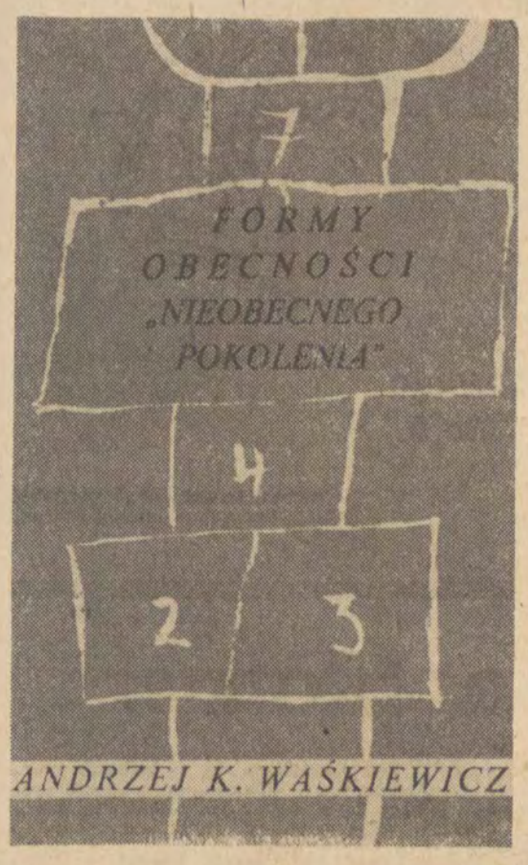

log pewnej formacji intelektualnej, formacji poetyckiej".

Patrzcie, patrzcie jak ten A. K. W. obrasta w ambicje. Już mu teoretyk nie wystarczy i na ideologa się przymierzył, a teraz spogląda na nas jako ekspert. Ekspert biegły w buchalterii, jak o tym świadczy najnowsza książka Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza, o której sam mówi w ten sposób:

„Otóż wydałem niedawno książkę, która nazywa się „Formy obecności „nieobecnego pokolenia" i traktuje o ruchu literackim młodych. Badałem tam struktury tego ruchu, na różnych zresztą planach m.in. pod kątem pewnych form wypracowanych pod mecenatem rozmaitych organizacji".

Czytelnikowi, który nie zna geografii i historii ugrupowań poetyckich w Polsce lat ostatnich, należy się kilka słów wyjaśnienia. Otóż po zastoju lat schematyzmu przełom październikowy 1956 roku zaowocował niezwykle interesującymi debiutami, które zmieniły układ sił na mapie poetyckiej kraju. Młody wówczas krytyk Jan Błoński, widząc zresztą to zjawisko szerzej, ogłosił wręcz „Zmianę warty". W ten sposób wykreowane zostało pokolenie „Współczesności", od nazwy dwutygodnika literackiego grupującego większość nowych nazwisk. „Współczesność", jakby rekompensując sobie długie lata wyczekiwań na debiut, mocno okopała się na szańcach nie dostrzegając, że wkrótce pojawili się młodsi, których zrazu pogardliwie nazywano pokoleniem 1960.

Termin „pokolenie" był zresztą w owym czasie w krytyce literackiej słowem — wytrychem. Grubo ciosanym przez partaczy i na tyle pojemnym, że usiłowano nim wyważać drzwi dawno nie istniejące albo otwarte przez przeciąg. Przypomnijmy choćby wdzięczenie się Juliana Rogozińskiego do „pokolenia wnucząt" to znaczy starych, warszawskich koni, dobrze po trzydziestce, z których na siłę robiono młodych poetów. W tym modelu infantylizmowi krytyki miał odpowiadać infantylizm literatury, stąd też na przykład każdy debiut prozatorski bywał, niezależnie od treści, zaliczany do tzw. „małego realizmu" jako odpowiednika społecznej „małej stabilizacji".

Udawało się w ten sposób co najwyżej zamrozić hierarchię nazwisk, czemu między innymi służyła kategoria przynależności pokoleniowej, przy czym do jednego dobrze było należeć, była to swoista nobilitacja, do innego zaś nie najlepiej, to stawiało poza nawiasem.

Nie najlepiej, na przykład, było przynależeć do „pokolenia 1960" negowanego przez pewien odłam krytyki (czytaj: recenzentów) jako formacja umysłowa, a nawet zjawisko estetyczne. Dopiero na jakimś seminarium młodych pisarzy Michał Sprusiński, dziś jeden z czołowych krytyków, postanowił z tego nieuznawania zbić kapitał dla pokolenia i ogłosił listę obecności „nieobecnego pokolenia". Referat jego ogłoszony w kwietniowym numerze „Miesięcznika Literackiego" z roku 1969, jeszcze dziś, po dziesięciu latach, zaleca się trafnością diagnozy:

„Debiutanci lat sześćdziesiątych są znacznie mniej pewni swej poetyckiej sprawy niż ich poprzednicy. Wątpią w bezpośrednią sprawdzalność wiersza. Lecz bez wątpienia są przekonani, że być poetą, to znaczy posiadać „siłę profesji" uprawnienie do zabierania głosu we własnym imieniu, uznanym arbitralnie za imię społeczne. Czy to rozterka to wynik „kawiarnianej" proweniencji młodej liryki? Czy też rezultat zmiany statusu poety, nie tylko diametralnie odmiennego niż w romantycznej dobie, lecz całkowicie innego niż w latach pięćdziesiątych?".

Pozostawmy tymczasem te pytania bez odpowiedzi. Nie daje ich niestety również książka Andrzeja K. Waśkiewicza „Formy obecności nieobecnego pokolenia", której nie waham się nazwać największym bublem Wydawnictwa Łódzkiego w roku 1978. Na dwustu dwudziestu pięciu stronach plus przypisy oraz indeksy, które sugerować mają chyba bezstronność i naukowe podejście do sprawy, snuje AKW swoje rozważania o formach organizacyjnych (sic!) literatury „pewnej" jak to on nazywa formacji umysłowej. Czytam i nie rozumiem czy to dobrze, że były one tak bogate: działalność grupowa, wydawnicza, zjazdy, sympozja, seminaria i konkursy, bo dla mnie literatura to były zawsze teksty, a ściślej treści, które te teksty przynoszą, ich społeczny rezonans, wywoływanie wzruszeń. Obecność literatury to przecież nic innego jak stary, z romantyzmu się wywodzący „rząd dusz", które ona potrafiła sobie zaskarbić, tłum zwolenników, których zdołała przekonać i przyciągnąć, gromada tych, których zdołała odepchnąć i przerazić. Andrzej Krzysztof Waśkiewicz wychodzi z założenia przeciwnego: ważniejsze jest, że u jego cioci na imieninach było paru młodych ludzi mających etykietki poetów, bo to są formy obecności. Ejże, szanowny krytyku. Metody statystyczne zawodne są nawet w statystyce, a cóż dopiero w tak delikatnej materii jak liryka.

Przypomina się natychmiast anegdota, którą usłyszałem swego czasu w Związku Radzieckim, jak to pewien działacz kulturalny podczas jakiejś rocznicy tołstojowskiej w Jasnej Polanie mówił o tym, że przed rewolucją w okręgu tulskim był tylko jeden literat, obecnie zaś w samej Tule jest pięćdziesięciu członków związku pisarzy. Miało to dowodzić rozwoju literatury w okręgu. Wówczas jeden z zaproszonych gości zapytał, czy mógłby usłyszeć nazwisko pisarza, który działał w okręgu tulskim przed rewolucją. „Lew Tołstoj" — odparł nie zmieszany działacz. „Dziękuję, to mi wystarczy" — rzekł na to pytający.

Kiedy się nie ma nic do powiedzenia o określonym ruchu literackim poza statystyką, trzeba zachować przynajmniej rzetelność.

Tymczasem czytam u Waśkiewicza z niepomiernym zdziwieniem, że działająca w Łodzi w latach 1960—61 grupa „Nowa linia", której byłem współzałożycielem, liczyła pięciu członków, gdy w rzeczywistości było ich tylko trzech: prócz mnie Zbigniew Kosiński oraz Józef Henryk Wiśniewski. I mówię jak ten uczestnik sesji tołstojowskiej: dziękuję, to mi wystarczy. Czytam następnie w odpowiedniej rubryce, bo Waśkiewicz lubi szufladkować, że „Nowa linia" nie miała programu, co jest absolutną bzdurą, gdyż już w samej nazwie nawiązującej do krakowskiej „Linii", zawierał się program estetyczny. A realizowaliśmy w tej grupie także istotny program społeczny, co było szczególnie ważne ze względu na robotniczy charakter miasta, w którym przyszło nam działać. Prawdą natomiast jest, że „Nowa linia" poza jednodniówką „Z tej strony" (pod mecenatem ZŁ ZMS), która była próbą prezentacji pokoleniowej, nie ogłosiła nigdy żadnego manifestu. Ale manifest, to jeszcze nie program. I znów oceniając walory Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza jako „krytyka—eksperta" muszę powtórzyć: dziękuję, to mi wystarczy.

Gwoli uczciwości trzeba jednak przyznać, że Andrzej Krzysztof Waśkiewicz uprzedza niejako te do niego pretensje. A oto jego usprawiedliwienie we „Wstępie" do książki, które zechce ocenić czytelnik, bo moim zdaniem nie wymaga ono komentarza:

„Fakt, iż wpierw niż badaczem autor był uczestnikiem opisywanych zjawisk, zdeterminował zapewnie nie tylko ton rozdziału finalnego. Staraliśmy się jednak, by sympatie do określonych grup, imprez, wydawnictw, nie dochodziły bezpośrednio do głosu. Zapewne i tak nie uniknęliśmy stronniczości, choćby w proporcjach, rozkładzie akcentów. Ostatecznie w tym, co tu opisujemy jest także nasz wkład. Nazwisko, które widnieje na karcie tytułowej tej książki, pojawia się także w składzie kolegiów opisywanych pism, wśród redaktorów wydawnictw, współorganizatorów imprez... Że jest to sytuacja dwuznaczna? Oczywiście! Ale też naprawdę obiektywny opis będzie możliwy wówczas, gdy zatrze się żywa pamięć zdarzeń i gdy — nie jest to niestety obawa płonna — wiele opisywanych tu faktów będzie niemożliwych do ustalenia. Jest to więc dokument obserwacji uczestniczącej. Pisany z całą świadomością czyhających niebezpieczeństw. Być może także dokument „fałszywej świadomości".

Andrzejowi K. Waśkiewiczowi, mieniącemu się obrońcą pokolenia 1960, udało się napisać nieświadomie paszkwil na nie, na jaki nie zdobył się nigdy żaden krytyk wcześniejszej ani późniejszej startującej generacji. „Nieobecne pokolenie" zupełnie odarte z treści, przestaje istnieć na mapie literackiej Polski. Można by pomyśleć, że w ciągu dziesięciu lat, kiedy poczta codziennie przynosiła do byle redakcji kilogramy wierszy, zupełnie zaniechano tworzenia poezji. A propos. Przesyłka pocztowa to także „forma obecności", w której AKW nie wiedzieć czemu nie uwzględnił w swym formularzu. Dla Waśkiewicza przecież „Nieobecne pokolenie" to nie „Morze, pergamin i ty" Edwarda Balcerzana, tylko wyjazd z Torunia grupy Helikon. To nie „Galaad" Macieja Zenona Bordowicza, tylko mecenat towarzystwa kulturalnego nad działalnością świetlicy w Żarach. To nie „Podjęcie bieli" i następne tomy wierszy Krzysztofa Gąsiorowskiego, tylko Sympozjum Młodych Twórców Polski Centralnej. To nie „Lokacje" Jerzyny, tylko konkurs preferujący jednocześnie „utwory związane z 50-tą rocznicą Rewolucji Październikowej, 750-leciem Piotrkowa i 10-leciem Związku Młodzieży Socjalistycznej". A gdzie się podziały „Zbliżenia" Krzysztofa Nowickiego, „Asocjacje" Wawrzaka, „Orzech i nimfa" Marka Wawrzkiewicza? Gdzie się podziały książki, takie choćby jak „Jesień z Judaszem" Szargana, które w ówczesnej, niełatwej sytuacji literackiej przemówiły własnym głosem i co tu dużo mówić odcisnęły trwalszy ślad w polskiej poezji?

Ale nawet operując absurdalnym pojęciem „form obecności" [2]) Waśkiewicz obraz tego pokolenia poddaje swoistym zabiegom manipulacyjnym. Wbrew zastrzeżeniu, że jego sympatie nie będą dochodziły do głosu bezpośrednio, robi to wyjątkowo prostacko. Kiedy przejrzeć uważnie książkę „Formy obecności „nieobecnego pokolenia" okazuje się z niej, że na dobrą sprawę w latach sześćdziesiątych istniały w Polsce dwa tylko aktywne ośrodki ruchu literackiego młodych: Warszawa... i Zielona Góra. Że Warszawa to można zrozumieć. Podobnie jak można by się zgodzić na Wrocław, Poznań, Łódź, Gdańsk, a także Opole, Katowice, Toruń, Olsztyn, Kraków, które jednak nie wzbudziły już takiego entuzjazmu Waśkiewicza jak Warszawa, bo mówi o „formach obecności" w tych miastach tylko półgębkiem, przeinaczając fakty, jak to ma miejsce choćby w wypadku grupy „Nowa linia". Ale u licha skąd się w tych rozważaniach Waśkiewicza wzięła Zielona Góra i to rejestrowana tak wysoko? Zaglądam do słownika Lesława M. Bartelskiego „Współcześni pisarze polscy 1944—1974" i zaczynam rozumieć czytając pod hasłem Waśkiewicz: „Członek zespołu redakcyjnego „Nadodrze" w Zielonej Górze, związany z „Orientacją Poetycką Hybrydy". I znowu muszę powtórzyć: dziękuję, to mi wystarczy.

Dlatego stwierdzam, że Andrzej Krzysztof Waśkiewicz występując w roli buchaltera „Nieobecnego pokolenia" popełnił niedopuszczalne manko.

KONRAD FREJDLICH

---

[1]) „Student" nr 2 z 1969 r.
[2]) To tak, jak ktoś chciałby na podstawie spisu nazwisk w książce telefonicznej powiedzieć coś na przykład o poglądach politycznych abonentów.

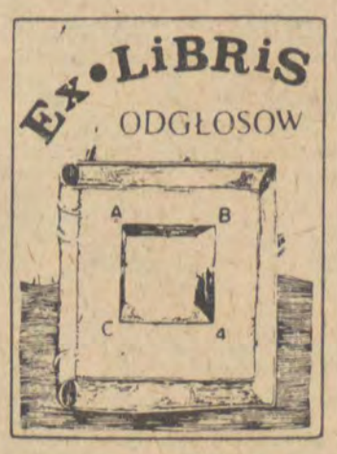

„TRZY KOBIETY"

W twórczości Roberta Musila, austriackiego pisarza, którego sława ugruntowała się dopiero po jego śmierci dzięki przede wszystkim arcydziełu „Człowiek bez właściwości", „Trzy kobiety" zajmują osobne miejsce. Musil, który zwykł swoją prozę wzbogacać eseistyką, w trzech nowelach poświęconych trzem różnym kobietom jest przede wszystkim epikiem. Opowiada historie, które mogą dać satysfakcję nawet niezupełnie przygotowanemu do odbioru głębszych znaczeń czytelnikowi. „Czytelnik taki — pisze w interesującym posłowiu Egon Naganowski — nie dostrzeże wielu „subtelniejszych momentów", jak się sam Musil wyraził. Nie zorientuje się też zapewne, że głównymi postaciami nowel nie są wcale tytułowe kobiety, lecz mężczyźni, którzy za sprawą zagadkowych, „księżycowych istot kobieco-zwierzęcych lub wręcz zwierzęcych, wracają do zasypanych źródeł swej osobowości, doznają wewnętrznej odnowy, dojrzewają i osiągają jakąś bliżej nie określoną, jedynie przeczuwalną pełnię". Artystyczne i emocjonalne walory prozy „Trzech kobiet" fascynują nie tylko koneserów. Stąd popularność nowel. Wśród przekładów prozy Musila „Trzy kobiety", bądź też przekłady pojedyńczych nowel, ukazały się w 25 różnojęzycznych edycjach. Warto odnotować że pierwsze niemieckie wydanie tomu ukazało się w roku 1924.

Drugie, polskie wydanie „Trzech kobiet" (pierwsze rozeszło się piętnaście lat temu — opublikował „Czytelnik" w popularnej serii „Nike".

Robert Musil, „Trzy kobiety", przełożyły: T. Jętkiewicz, W. Kwaśniakowa, E. Sicińska, Czytelnik, W-wa 1978, str. 166, cena zł 21,—

„DZIENNIK Z OBLĘŻONEJ WARSZAWY"

Pod datą — 18 listopada, piątek — Halina Regulska zanotowała: „Nie będę już dalej prowadziła swojego dzienniczka. Coraz bardziej ogarnia nas noc okupacji. Niemcy robią ciągle rewizje po domach, więc boję się ryzykować". Dziennik został schowany na strychu domu w Zarybiu i przetrwał całą okupację. Obecnie trafił do rąk czytelnika.

Halina Regulska, działaczka społeczna i czołowa przed wojną automobilistka, prowadziła swój „Dziennik z oblężonej Warszawy" od 28 sierpnia do 18 listopada 1939 r. Dzień po dniu opisywała skrupulatnie nie tylko przeżycia swoje i swoich najbliższych, choć one stanowią podstawę zapisu. Autorka dziennika przedstawia codzienne życie w oblężonej Warszawie, nastroje panujące wśród mieszkańców, przekazuje informacje o ważniejszych wydarzeniach na froncie czerpane z radia polskiego i radiostacji zagranicznych oraz z artykułów prasy codziennej. W „Dzienniku" znajdziemy treść apeli i obwieszczeń rozlepianych w Warszawie, a także fragmenty przemówień prezydenta Stefana Starzyńskiego. Mąż autorki, Janusz Regulski, w okresie obrony Warszawy był Komendantem Głównym Straży Obywatelskiej i bliskim współpracownikiem prezydenta. Stąd też w „Dzienniku" znalazły się rozmowy Stefana Starzyńskiego z Januszem Regulskim.

„Dziennik oblężonej Warszawy" to jeszcze jeden dokument czasu wojny. Mimo, że ukazuje się w niemal czterdzieści lat od oblężenia Warszawy, to jak autorka przyznaje, poprawiła tylko styl oryginalnego zapisu oraz opatrzyła niektóre fragmenty swego pamiętnika niezbędnymi przypisami.

Otrzymaliśmy wierny i prosty zapis dramatycznych przeżyć warszawiaków w pierwszych tygodniach wojny.

Halina Regulska, „Dziennik z oblężonej Warszawy", Instytut Wydawniczy PAX, W-wa 1978, str. 178, cena zł 50,—

„SŁOWNIK JĘZYKA NIBY-POLSKIEGO"

Pełny tytuł książki brzmi „Słownik języka niby-polskiego, czyli błędy językowe w prasie". Autorem jest Walery Pisarek, którego „Studio 2" spopularyzowało tak dokładnie, że przedstawiać go bliżej nie ma sensu. Książka powstała na podstawie kartoteki błędów językowych Ośrodka Badań Prasoznawczych w Krakowie. Cytowane przykłady są autentyczne i pochodzą z dzienników i czasopism z lat 1966—1975.

„Tylko dla obdarzonych poczuciem humoru" — taki podtytuł książki proponuje Walery Pisarek i wyjaśnia sens pojęcia „język niby-polski": „Do języka niby-polskiego zaliczamy to wszystko, co zachwaszcza naszą mowę, a przeciw czemu się buntuje nasze poczucie poprawności, logiczności i piękna". Słownik Pisarka ułożony jest według schematu: 1 — forma niepoprawna, tzn. niby-polska, 2 — forma poprawna tzn. polska, 3 — przykład użycia formy niby-polskiej; w nawiasie wyjaśnienie źródła formy błędnej. Sięgnijmy po przykład:

ODDAĆ SKOK, po polsku: skoczyć, wykonać skok. Np. „Już wszyscy zawodnicy oddali po 3 skoki (poprawnie: wykonali po 3 skoki).

Przykładów jest wiele. Błędy znaleziono wprawdzie w prasie, ale nie tylko dziennikarze powinni zajrzeć do „Słownika języka niby-polskiego". Wszyscy bowiem kaleczymy piękną polszczyznę w sposób okropny.

Walery Pisarek, „Słownik języka niby-polskiego czyli błędy językowe w prasie", Ossolineum, 1978, str. 175, cena zł 35,—

WARTO PRZECZYTAĆ

1. Szuster E. — Wędrówki zimą i latem. WŁ. 1978, s. 259, zł 26,—
2. Aszyk-Milewska. — Iwo Gall. Poszukiwania teatralne. WŁ 1978, s. 178, zł 20,—
3. Terlecki W. — Złoty wąwóz. Czyt. 1978, s. 310, zł 28,—
4. Šutovec M. — Mężczyźni i broń. Czyt. 1978, s. 232, zł 22,—
5. Pietryk E. — Maraton sprintera. WPoz. 1978, s. 221, zł 25,—
6. Babiński J. — Dobrze wyceniony. LSW 1978, s. 159, zł 20,—
7. Niemyska-Rączaszkowa C. — Z rybałtami po Mazowszu. WLub. 1978, s. 189, zł 20,—
8. Tisma A. — Księga Blama. Czyt. 1978, s. 232, zł. 23,—
9. Jastrun M. — Piękna choroba. Czyt. 1978, s. 328, zł. 34,—
10. Rogala St. — Modlitwa o grzech. LSW 1978, 177, zł. 20,—
11. Britto Garcia L. — Prosto w twarz. WLit. 1978, s. 187, zł. 20,—
12. Błoński J. — Odmarsz. WLit. 1978, s. 298, zł. 60,—
13. Panas H. — Powrót z krainy Tzemil. WŁ 1978, s 245, zł. 25,—
14. Michaux. — Poezje PIW 1978, s. 144, zł. 30,—
15. Wordswort. — Poezje wybrane. PIW 1978, s. 94, zł. 30,—
16. Kwiatkowski T. — Cugow. U drzwi moich płomień dalekiego ogniska. WLub. 1978, s. 48, zł. 10,—
17. Wachowiak E. — Powstańczy polem wiedzie ślad. WPoz. 1978, s. 84, zł. 35,—
18. Blum H. — Jonasz Stern. WLit. 1978, s. 70, zł. 50,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ZBIERAJMY PIENIĄDZE!

O numizmatyce mówi się, że jest to zbieractwo elitarne, że kosztuje krocie, że wiedza do tego potrzebna jest ogromna... Trochę w tych opiniach jest prawdy, ale i wiele przesady.

Oczywiście — wiedza jest potrzebna, lecz potrzebna jest ona również zbieraczowi etykiet zapałczanych, nalepek firmowych z serów czy podstawek do kufli. W ogóle każde zbieractwo wymaga specjalistycznej — nie raz bardzo wąskiej, ale głębokiej — wiedzy. I każdy zbiór — jeśli jest kompletny i kompetentny — stanowi jakiś istotny dokument kultury materialnej.

Tak więc wiedza jest potrzebna na każdym piętrze i w każdej dziedzinie kolekcjonerskiego wtajemniczenia.

Ale czy prawdą jest, że numizmatyka to zbieractwo bardzo kosztowne i elitarne? Owszem — bywało tak niegdyś i bywa jeszcze dziś, gdy ktoś zbiera wyłącznie srebro, albo monety z epok głębokiej historii. Istnieje wszakże ogromny krąg numizmatyków, kompletujących swoje skromne zbiory choćby z polskich wydań pamiątkowych. Już dziś kolekcja naszych dziesięciozłotówek stanowi bardzo ładny zbiór — zróżnicowany zarówno artystycznie jak i tematycznie. Podobnie kolekcja srebrnych monet Polski Ludowej jest dostępna dla każdego, kto cierpliwie odkładał do klasera emitowane stu czy dwustuzłotówki.

Rozwinęła się także turystyka — ludzie jeżdżą na urlopy i do rodzin za granicę — przywożą stamtąd w charakterze suwenirów monety o egzotycznych rysunkach i napisach. Numizmaty te, najczęściej tanie i masowe egzemplarze, trafiają do naszych domowych klaserów, stanowiąc zrazu miłą pamiątkę pobytu, ale z upływem lat mogą stać się numizmatem o wartości historycznej.

Amerykańska jednocentówka z Lincolnem, w swoim czasie najpopularniejsza moneta USA, dziś, w związku z dewaluacją dolara staje się monetą coraz rzadszą, bo mało użyteczną. Podobnie jak polski banknot 50-groszowy z roku 1945.

Oczywiście numizmatyka turystyczno-amatorska nie jest zbieractwem z prawdziwego zdarzenia, ale może być — i jest — hobby coraz powszechniejszym.

Wśród numizmatyków istnieją więc różne stopnie wtajemniczenia i różne zakresy zainteresowań. Być może członek Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego, właściciel zbioru denarów i brakteatów wzruszy ramionami z lekceważeniem na te domowe, amatorsko-turystyczne kolekcje. Ale — jak sądzę — dobrze, iż takie kolekcje powstają.

Jak również dobrze się stało że wznowiono publikację bardzo cennego wydawnictwa **„Łódzki Numizmatyk"**, redagowanego przez **Anatola Gupieńca, Stanisława Bulkiewicza i Andrzeja Mikołajczyka.** Jeśli nawet owi niedzielni numizmatycy nigdy nie włączą do swoich zbiorów denara Chrobrego czy talara z Niderlandów — to przecież nie zaszkodzi, gdy o tych wszystkich kolekcjonerskich cudach sobie poczytają.

Zresztą redaktorzy **„Łódzkiego Numizmatyka"** nie zapomnieli o swoich początkujących kolegach. Jest przeto w najnowszym numerze biuletynu, kolejny — dziewiąty już — odcinek instruktażu pod tytułem „ABC początkującego numizmatyka".

Z publikacji łódzkich numizmatyków dowiedzieć się można sporo, choćby na temat tradycji tego zbieractwa w naszym mieście. A jest ona dość starej daty, bo pierwsze Koło Numizmatyków powstało w Łodzi ponad 60 lat temu.

Mnie osobiście lektura biuletynu — obok niewątpliwych wartości poznawczych — przyniosła pewną nader miłą niespodziankę. Otóż znajduje się tam fotografia jednego z wybitniejszych polskich kolekcjonerów monet i medali — **Rudolfa Mękickiego**, pozującego do zdjęcia na tle swoich zbiorów. Fotografia pochodzi z roku 1910.

Wśród eksponowanych medali i plakiet Mękickiego jeden przykuł moją uwagę. Był to owalny medal z podobizną Tadeusza Kościuszki. Identyczny posiadam w swoim zbiorze — i zawsze myślałem, że jest to medal w najlepszym razie z lat dwudziestych naszego wieku. A tu — okazuje się — rzecz jest chyba z końca XIX wieku i na tyle cenna, że wybitny kolekcjoner włączył ją do swego zbioru.

Bywa więc często, że — zgodnie ze starym przysłowiem — sami nie wiemy co posiadamy. Biuletyn **„Łódzki Numizmatyk"** służy więc temu, aby — tacy jak ja — niedzielni kolekcjonerzy, mogli rozszerzać zakres swojej wiedzy, abyśmy znali wartość swoich amatorskich zbiorów.

Bo, że zbierać warto — temu nikt nie zaprzeczy. To przecież z prywatnych i nieraz dość dyletanckich zbiorów tworzyły się po latach wspaniałe kolekcje dzieł sztuki i zabytków kultury materialnej.

Kolekcjonerstwo jest piękną pasją — źródłem zaskoczeń i radości — to prawda. Ale odgrywa ono także ogromną rolę w życiu kulturalnym, wpływa na rozwój sztuki i nauki — a przede wszystkim sprzyja upowszechnianiu kultury.

WIDOK

PROPOZYCJE

CZŁOWIEK I SAMOCHÓD

Zdarzyło mi się już napisać to i owo o łódzkich taksówkach i chociaż nie pamiętam, abym o konkretnej taksówce i jej kierowcy pisał źle, to przecież o taksówkach jako całości nie wyrażałem się najlepiej. I nadal nie mam o tym przedsięwzięciu najlepszego wyobrażenia, szczególnie, kiedy stoję sobie spokojnie na postoju, a mimo mnie kolejno przejeżdżają wolne taksówki i w dodatku jadące w tym kierunku, w którym i ja jadę. Wiem, że taksówkarzom nie wolno wybierać kursów, ale czasem przecież można zapytać, czy ktoś nie jedzie w kierunku, w którym zmierza taksówkarz, co będzie z pożytkiem dla pasażera i kierowcy.

Zarówno pasażerowie, jak i kierowcy mają swoje ulubione postoje. Są to „dobre postoje". Moja koleżanka jechała akurat z drukarni do redakcji i przejeżdżała koło postoju przy ul. Wigury. — Jaki to niedobry postój — powiedział taksówkarz — wystaje się tu całymi kwadransami. — Co też pan mówi — powiedziała na to moja koleżanka — nie dalej jak wczoraj stałam tu trzy kwadranse nim nadjechała taksówka. — A — stwierdził na to taksówkarz — bo pani chciałaby jeździć taksówkami w godzinach szczytu.

Do tej pory chwaliłem taksówki warszawskie. Jest ich niewątpliwie więcej. Taksówkarze starają się zabierać komplet pasażerów w kierunku, w jakim jedzie pierwszy, co i pasażerom jest na rękę i taksówkarze sobie z tego powodu nie narzekają. W Łodzi natomiast każdy jeździ jak panisko, każdy sam. Łódzcy taksówkarze nie wydają się być pazerni na pieniądze i czasem odnoszę wrażenie, że poświęcają się dla dobra społecznego, że robią to z wyższej konieczności, a nie po to, aby utrzymać siebie i rodzinę. Ale po tym, co dowiedziałem się o innych taksówkarzach nie będę już narzekał na łódzkich, choć nadal nie mam powodu być z naszych taksówek zadowolony.

Mój znajomy, który przebywa za granicą został wezwany do centrali w Warszawie. Przyleciał na Okęcie akurat następnego dnia, kiedy podrożała u nas benzyna. — Czy pan wie — zapytał go warszawski taksówkarz — że w Polsce podrożała benzyna? — Nie, nie wiem — odpowiedział mój znajomy. — Bierzemy teraz dopłaty — powiedział taksówkarz. Z lotniska do domu mojego znajomego taksa wynosi 48 zł, płacił więc zawsze równe 50. — Ile dopłacam? — zapytał. — Teraz kurs wynosi równe 100 zł — powiedział taksówkarz. Mój znajomy wszedł do domu i z miejsca wyraził niezadowolenie: — Ale u was teraz benzyna podrożała — powiedział z niesmakiem. — A ile dopłaciłeś? — zapytał jego syn. — Pięćdziesiąt złotych. Syn śmiał się serdecznie, a mojemu znajomemu wcale nie było do śmiechu, kiedy zrozumiał, że płacąc tradycyjne 50 złotych, też byłby w porządku. A bywało przecież i tak, że w dniach, kiedy Warszawę zasypało śniegiem taksówkarze nie chcieli jechać za mniej niż 200 zł.

Przyjechałem do znajomych wieczorem, gdyż następnego dnia odlatywałem samolotem z Warszawy. Odlot był bardzo wcześnie, na Okęciu powinienem był już być przed szóstą. Byłem spokojny o to, jak się tam dostanę z drugiego krańca Warszawy, bo przecież w Warszawie jest „radio-taxi". Ale oni mnie wyśmieli. — Jeśli chcesz dojechać — pojedź autobusem do placu Konstytucji, a stamtąd masz autobus LOT na lotnisko. W Poznaniu, kiedy też mi się bardzo spieszyło, zamówiłem sobie taksówkę na określoną godzinę do hotelu. Nie przyjechała. W Łodzi umówiłem się z taksówkarzem na następny dzień, aby odwiózł mnie na dworzec, też nie przyjechał. Z tego wniosek, że choć nie mamy lepszych w Łodzi taksówek, to nie mamy także gorszych.

Mój znajomy, który pracuje w piśmie satyrycznym i ma samochód, całkiem poważnie utrzymuje, że samochód wyzwala agresję. W zetknięciu zmotoryzowanego człowieka z człowiekiem pieszym każdy z nich ma o drugim zdanie wcale nie najlepsze. Zmotoryzowany mówi do pieszego per baranie, a pieszy nie pozostaje mu dłużny. Ale jest to raj w stosunku do tego, co w śnieżnych dniach zimy czuli nawzajem do siebie zmotoryzowani. Kiedy czytałem felietony KTT, Daniela Passenta, czy Jerzego Iwaszkiewicza o tym, co sobie nawzajem robili zmotoryzowani, to włosy jeżyły mi się na głowie i uwierzyłem mojemu znajomemu z pisma satyrycznego, kiedy mówił poważnie o agresji, jaką wywołuje samochód. Z drugiej strony, muszę przyznać, że nie słyszałem, aby łódzcy zmotoryzowani przecinali sobie nawzajem opony tylko dlatego, że ktoś zaparkował w miejscu odśnieżonym przez innych. Zastrzegam się, że nie słyszałem, co nie znaczy, że takie wypadki nie mogły mieć miejsca. Chociaż wolałbym, aby nie miały.

Wiem też, że ludzie zmotoryzowani pomagali w trudnych chwilach pieszym i sobie nawzajem. Może więc jednak to nie samochód, ale naturalne skłonności osobników rodzą agresję? Dzięki temu bowiem samochód nie przesłoniłby mi wiary w ludzi.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

CO SIĘ NAPRAWDĘ OPŁACI?

Wiele lat temu producent, chcąc zachwalić swe wyroby, umieszczał na opakowaniu informację, że jest dostawcą dworu cesarskiego lub królewskiego. Później pojawiły się na opakowaniach reprodukcje całych rzędów medali, uzyskanych przez produkt na różnych wystawach i targach, w tym także na naszych targach poznańskich. Gwarantem jakości miał być też znak fabryczny; rzeczywiście — był nim przez wiele lat, gdy zakładowi w warunkach ostrej konkurencji zależało na przebiciu się na rynek, na zdobyciu zafania klientów drogą właśnie wysokiej jakości i niezmiennego wieloletniego standardu własnych wyrobów. Ale i te czasy minęły. Mamy rynek producenta, a to znaczy, że popyt przewyższa podaż, czyli o konkurencji wytwórców nie ma mowy. Ważny jest plan, nie klient. Czy ktokolwiek z nas szuka skarpet ze spółdzielni „Przyszłość", a odrzuca skarpety ze spółdzielni „Jutro"? Czy buty z zakładów imienia Janka Muzykanta to całkiem co innego, niż buty z zakładów imienia Bartka Zwycięzcy?

Coś jednak trzeba było robić, żeby zdopingować wytwórców do jak największej staranności, zachęcić ich do podnoszenia jakości towarów. Apelowanie do ambicji, tradycji, akcentowanie złej i dobrej sławy, to czynniki bardzo chwalebne, ale niewymierne i nie mające żadnego styku z zainteresowaniem materialnym, związanym wyłącznie z wykonaniem planu. Było piękną i zaszczytną tradycją posiadanie znaku fabrycznego o ustalonej renomie wśród klientów, ale przecież za tymi zaszczytami stały obroty, zyski, pieniądze. Więc co wymyślić, żeby był i zaszczyt i pieniądze?

Wymyślono znak jakości. Są dwie klasy tego znaku, jak w orderach i krzyżach bojowych: znak „1" i wyższy w hierarchii — znak „Q". Powołano — oczywiście niemałe — Biuro Znaku Jakości, któremu zakład przedkłada wniosek podparty plikiem dokumentów, po czym odnośny wyrób się analizuje, kroi, sprawdza, opiniuje — i już po pół roku przyznaje mu się — w korzystnym wypadku — prawo do znaku jakości. Za „Jedynkę" producent inkasuje potem 5 proc. od ceny zbytu, za „Q" — 10 proc. A więc powinien być zainteresowany?...

Tak, ale musi wtedy czekać parę miesięcy, wysilać się, dokumentować, aby wreszcie dostać 5 proc. Tymczasem, zamiast tego, może zmienić byle kwiatuszek w tkaninie, byle szew na bucie, byle gwoździk w meblu i już ma nowość, za którą sam, we własnym zakresie, ustala od razu cenę o 30—50 procent wyższą. To jest dopiero gra warta świeczki! Tu dopiero wykonanie planu wartościowego z dnia na dzień skacze radośnie w górę, a dyrekcja wraz z załogą już obliczają premię. Więc jak — opłaci się znak jakości i jego ogromna, biurokratyczna nadbudowa?

Niech to obliczą ekonomiści. My tymczasem pławmy się w samych nowościach.

ĆWIEK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Czytuje.
Cytuje.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

Piłka błotna

Tego nikt nie przewidział. Spodziewaliśmy się, że piłkarze rozpoczną wiosenną rundę na ośnieżonych i oblodzonych boiskach, tymczasem aura spłatała kolejnego figla. Zima, acz niechętnie, zaczęła ustępować wiośnie i dzięki temu powstały warunki dla zupełnie nowej dyscypliny sportowej — piłki błotnej.

Jest to widowisko mało u nas jeszcze znane, ale przyszłość przed nim ogromna. Jest to widowisko pełnie nieoczekiwanych, zaskakujących atrakcji. Na przykład: ślizg na plecach po błocie, efektowne wpadanie do kałuży pełnej błota, kopanie błota zamiast piłki, błotny prysznic. Wyjątkową atrakcją, głównie dla widzów, było zupełnie nieoczekiwane zatrzymywanie się piłki w miejscu. Na meczu Widzewa z mielecką Stalą piłka zatrzymała się tuż przed linią bramki Stali i nie byłoby wyrównania, gdyby Dąbrowski nie przepchnął jej przez tę linię. Bo w piłkę błotną trzeba grać na „popych i zasuw".

Podobno Amerykanie, którzy lubują się w ekstrawagancjach, wymyślili kiedyś zapasy błotne. Wyśmiano ich i pomysł upadł. W ubiegłą niedzielę, kiedy ruszyła pierwsza liga, nikt się jakoś nie śmiał, choć sporo było komizmu w zmaganiu się piłkarzy z błotem. Jednak nawet najlepszy gag powtarzany co chwila, przestaje być śmieszny, a staje się tragicznie żałosny.

Po pamiętnym meczu Polska — RFN w 1974 roku mieliśmy masę pretensji do organizatorów, że pozwolili grać na stadionie zalanym wodą. Do dziś został nam po tym osad. Ciągle powtarza się, że gdyby nie ta woda, to kto wie, jakby się potoczyły losy Mundialu 74. W niedzielę niemal na wszystkich boiskach piłkarskich Polski warunki były równie złe, albo nawet i gorsze, a mimo to zainaugurowaliśmy. Zgodnie z kalendarzem. Ale z kalendarzem PZPN.

Na pierwszą kolejkę ligową kibice czekają z niecierpliwością, gdyż chcą wiedzieć, jak poszczególne zespoły wykorzystały przerwę. Na ogół jednak po pierwszej kolejce meczy trudno powiedzieć, w jakiej formie są zespoły i poszczególni gracze. Potrzeba na to trzech, czterech meczy. W tym wypadku nie ma w ogóle o czym mówić, gdyż była to jedynie formalna inauguracja wiosennej rundy. W pięciu spotkaniach padły remisy. Piłkarze na ogół grali tak, żeby tylko przetrzymać 90 minut. I trudno im się dziwić, skoro o wszystkim decydował przypadek, a nie umiejętności. Jak to powiedział trener opolskiej Odry — Antoni Piechniczek, każdemu w każdej chwili groziła kontuzja. Wstrzemięźliwość w grze była więc usprawiedliwiona, choć piłkarze z poświęceniem i samozaparciem nurzali się w błocie. Aż przykro było patrzeć.

Najtragiczniej było w Łodzi na stadionie Widzewa. Zbigniew Wojciechowski ujął to chyba najtrafniej, kiedy powiedział, że boisko przypominało odsmażony bigos na bardzo czerstwym chlebie. Inni sprawozdawcy radiowi stosowali mniej barwne porównania. Mówili o bryi, grzęzawisku, borowinie.

Kibic wie, że wiosenna runda sezonu 1978—1979 ma szczególne znaczenie, bo czekają naszą reprezentację eliminacje do mistrzostw Europy. Już w kwietniu gramy z NRD. Ma to wpływ na kalendarz rozgrywek pierwszej ligi. I słusznie. Ligowe rozgrywki liczą się w bilansie przygotowań reprezentacyjnego zespołu. Ale to tylko jedna strona zagadnienia. Jest bowiem i druga.

Warto zastanowić się nad tym, jaką korzyść dały piłkarzom niedzielne występy. Odbyła się formalna inauguracja wiosennej rundy. I tyle. Czyżby kalendarz PZPN był rzeczą świętą i niezmienną? Czyżby nie podlegał logice i zdrowemu rozsądkowi? Czy nie warto było pomyśleć o bezpieczeństwie piłkarzy? Nieszczęśliwy wypadek mógł zdarzyć się w każdej chwili. Obyło się jakoś bez tego i bardzo dobrze. Ale na tym sprawa się nie kończy.

Swego czasu mieliśmy pretensje do sędziego, który zdecydował się na prowadzenie meczu w Monachium w 1974 roku, o czym już wspominałam. Czy teraz nie powinniśmy mieć pretensji do sędziów, którzy zgodzili się na inaugurację piłki błotnej? Być może sędziowie nie są władni naruszać kalendarza PZPN, ale decydują o tym, czy mecz odbywa się w warunkach gwarantujących bezpieczeństwo graczom. A poza tym, jak wiadomo, na meczach są obserwatorzy PZPN. Czy oni nie widzieli co działo się w czasie rozgrywania meczy w piłkę błotną? W komentarzach często słyszało się — „parodia piłki nożnej". Oceny te nie mijały się z prawdą.

Wiosenną rundę sezonu 1978—1979 zainaugurowaliśmy zgodnie z kalendarzem PZPN. Obawiam się, że niezupełnie zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 479. A-14.